

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA
Gdańsk-Wrzeszcz,
Libermana 36

26718

IGNACY CHODŹKO.

PAMIETNIKI KWESTARZA.

WSTĘPEM I OBJASNIENIAMI OPATRZYL

DR. PIOTR CHMIELOWSKI.

CZEŚĆ PIERWSZA.

CZEŚĆ DRUGA

KRAKÓW.

Staraniem

W. SZCZEPANOWSKIEGO I A. POTOCKIEGO.

1898.



Josephine M. Weibla

CZYTELNIA POLSKA

»»» TOM III. »»»

IGNACY CHODŹKO.

PAMIĘTNIKI KWESTARZA.

WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI OPATRZYŁ

Dr. PIOTR CHMIEŁOWSKI.

CZEŚĆ PIERWSZA.

KRAKÓW.

STARANIEM S. SZCZEPANOWSKIEGO i A. POTOCKIEGO.

1898.

k. 1506/59



26718

884

IGNACY CHODŹKO.

Autor »Pamiętników Kwestarza« pochodził z rodziny, która w początkach XIX wieku wydała kilku uzdolnionych pisarzy. Najstarszym w tym szeregu, jakby patriarchą, był Jan Chodźko, zwany »Panem Janem ze Świsłoczy« z powodu książki dla ludu pod tym napisem wydanej. Następnie znany jest przyjaciel Mickiewicza, poeta i orientalista, Aleksander, co przez lat wiele wykładał w kolegium francuskim w Paryżu literatury słowiańskiej. We Francyi również pracował bardzo ruchliwy publicysta i historyk, Leonard Chodźko, zaznajamiający cudzoziemców z naszą literaturą i naszemi dziejami. Prócz tego dali się jeszcze poznać: Dominik, Józef, Michał, Stanisław na różnych polach działalności naukowo-literackiej, pierwszy jako biograf i wydawca, drugi jako inżynier wojskowy, trzeci jako publicysta i tłumacz poetów francuskich i angielskich, czwarty jako chemik.

Najpopularniejszym atoli z całej tej rodziny, blisko ze sobą spokrewnionej, stał się Ignacy Chodźko, ponieważ utwory jego powieściowe potrafiły sobie pozyskać największą liczbę czytelników, a nawet przez czas długi zaliczane były do prawdziwych arcydzieł literatury naszej. A chociaż dzisiaj nie można im już przyznać tak zaszczytnego tytułu, cenić je wszakże musimy jako rzetelnie i z wielkim talentem plastycznym odtworzone obrazki powszednich zwyczajów, obyczajów, krajobrazów litewskich z końca XVIII i początków naszego stulecia.

Ignacy Chodźko był synowcem pana Jana ze Świśłoczy, a synem Antoniego i Katarzyny z Widmontów. Urodził się r. 1794 w Zabłoczyźnie (powiecie wilejskim), dziedzicznym majątku swego dziada po matce, którego tak ładnie potem opisał w »Domku mojego dziadka«. Wychowywał się zaś w Dziewiętniach, przy dziadku po ojcu, Michale, wojskim oszmiańskim, pod wpływem ducha religijnego i rodzinnego; opowiadania dziadunia o świetnym dworze Radziwiłła Panie-kochanku w Nieświeżu wywierały silne wrażenie na wyobraźnię dziecka. W dziesiątym roku życia oddany został do szkoły w Borunach (pow. oszmiańskim), utrzymywanej przez ks. Bazylianów, a tak serdecznie przedstawionej potem przez Chodźkę w obrazku p. t. »Boruny«. Ukończywszy ją, wszedł w r. 1810 do uniwersytetu wileńskiego, kiedy rektorem był Jan Śniadecki, a poezję i wymowę wykładał Euzebiusz Słowacki; otrzymał tu stopień kandydata sztuk i nauk wyzwolonych.

Po śmierci rodziców r. 1814, dwudziestoletni młodzian przeszedł pod opiekę stryja Jana, z którym odbył w r. 1815 podróż do Warszawy, gdzie się z wielu literatami i wolnomularzami zapoznał. Potem pracował w kancelaryi Radziwiłłowskiej, został członkiem satyrycznego »Towarzystwa Szubrawców« pod imieniem Wirszajtos, członkiem loży wolnomularskiej w Wilnie i Mińsku. Następnie osiadł w wiosce rodzinnej Dziewiętniach i pisywał ody, anakreontyki, epigramata w duchu klasycznym.

Z Antonim Edwardem Odyńcem i Julianem Korsakiem, lubo młodszymi od siebie, związał się ścisłą przyjaźnią, ale ich upodobań romantycznych z początku zgoła nie podzielał. Umysł jego naówczas był skłonny do satyry, przygotowywał więc Chodźko artykuły do »Wiadomości brukowych«, organu »Tow. Szubrawców«. Niektóre z nich p. n. »Próby nowego dykcyonarza« ogłosił drukiem dopiero pod koniec życia r. 1860. Ślad sporów, staczanych przez Chodźkę ze zwolennikami romantyzmu, pozostał w »Dzienniku wileńskim« z r. 1824, gdzie się mieści list poetyczny Chodźki do Odyńca, doradzający temuż kończenie rozpoczętego przekładu Rasyna. Do narzeczonej Chodźki, Ludwiki Mackiewiczówny, odnosi się wiersz Mickiewicza z r. 1824: »Nieznajomej dalekiej — nieznaney, daleki«.

W życiu ówczesnem obywatelskiem Chodźko czynny brał udział. Najprzód był deputatem wywodowym gubernii wileńskiej, potem przez trzy lata prezesem sądu

grodzkiego powiatu zawilejskiego, następnie podkomorzym tegoż powiatu i prócz tego prezydował na wielu ekswizjach, będąc duszą zebrania, czy to za stołem sądowym, czy w chwilach wypoczynku. Przez lat 18 sprawował urząd kuratora honorowego szkoły powiatowej święciańskiej.

Zaniechawszy rymów, wziął się Chodźko do prozy. Pierwsza jego próba powieściowa p. t. »Poddany«, drukowana w noworoczniku, wydanym przez Odyńca w Warszawie p. t. Melitele (na r. 1829), odbija pojęcia i poglądy wieku XVIII, dążność do zrównania stanów i filantropią; pod względem stylu i artyzmu przypomina powiastki Ignacego Krasickiego. Mickiewicz, przeczytawszy »Poddanego«, pochwalił go, wróżąc podobno autorowi świetną przyszłość w piśmiennictwie. Zachęciło to Chodźkę do dalszej pracy, ale owoce jej nierychło ukazały się w druku. Upłynęło lat 8, zanim nową, tym razem żartobliwą powiastkę p. t. »Samowar« ogłosił w noworoczniku Biruta na r. 1837. Powiastka ta podobała się, przedrukowało ją zaraz Muzeum Domowe, wydawane przez Dmochowskiego w Warszawie. Ale i w tej powiastce niema jeszcze śladu wpływów nowego kierunku poezji; i ta powiastka całkiem się jeszcze pod względem sposobu opowiadania zaliczyć może do wytworów końca XVIII wieku.

Długiego było potrzeba czasu, ażeby autor, przeszedłszy czterdziestkę, zaczął rzewnem okiem rozpamiętywać niedawno ubiegłą przeszłość, przypominać sobie

podania słyszane w dzieciństwie, rozmiłowywać się w widzianych krajobrazach, dostrzegać w ludziach strony miłe, sympatyczne, grać na strunie uczuciowej. Wtedy już wiek XVIII ze swoją filozofią »z piekła rodem« i krytyką wydał mu się »bezbożnym niedowiarkiem, starcem, skonałym w zgryzotach i obłąkaniu, który oniemił ziemię dla Boga«. Wtedy postaci staro-szlacheckie przedstawiły mu się w świetle idealnem, gdyż lubo ujemnych w nich stron nie zaprzeczał, taką otaczał ich serdecznością, tyle w nich dopatrywał mądrości prawdziwej, bo opartej na religii, tyle im przypisywał uczuć ofiarności i poświęcenia, że niepodobna ich było nie ukochać, kiedy się na nie przez jego pryzmat patrzyło.

Taki nastrój, takie przekonania i poglądy znajdujemy w kilku zarysach, objętych pierwszym tomem »Obrazów litewskich«, wydanych w Wilnie r. 1840; należą tu mianowicie: »Domek mojego dziadka«, »Śmierć mojego dziadka« i »Boruny«. Ukazały się one w czasie, »kiedy, jak powiada znakomity stylista i esteta, Julian Klaczko, mogiły z 1831 roku pozapadały się w ziemię, kiedy zapal i rozpacz przestały wstrząsać uczucia widokiem świeżej krwi męczeńskiej«, kiedy społeczeństwo, zwłaszcza na Litwie i Rusi, spragnione spokoju i dobrobytu, zaczęło się przyzwyczajać do istniejącego porządku rzeczy, roniąc tylko łzy niemęskie nad minioną chwałą, lub też przypominając sobie wesołe anegdoty o hulaszczycach i krewkich przodkach. W literaturze naszej na Litwie i Rusi

stronictwo zachowawcze, zabarwione silnie szlachecką i pobożnością zewnętrzną, brało górę nad niezbyt liczną garstką młodych postępowców, pragnących swobody słowa i wyzwolenia ludności wiejskiej z poddaństwa. Tacy pisarze, jak Henryk Rzewuski, Michał Grabowski, Ignacy Hołowiński, Józef Emanuel Przeclawski i Ludwik Szyrmer nadawali ton piśmiennictwu, a za pośrednictwem swego organu, ogłaszanego p. t. »Tygodnik Petersburski«, rozdawali stopnie godności literackich „piszącym” orzekali, kto zdrowo i rozumnie myśli, a kto jest gorszym narodem.

Pod względem politycznym wyznawali oni zasadę ścisłej łączności Litwy z państwem rosyjskiem i publicznie, w druku, nie wahali się mówić, że ojczyzną ich jest Rosya. Zastrzegali jeno sobie prawo posługiwania się językiem polskim i wyznawania religii katolickiej.

Pod względem literackim cenili najwyżej utwory, poświęcone pamiątkom przeszłości, a Michał Grabowski wprost utrzymywał, że tylko przeszłość może dostarczyć wątku dla prawdziwego poety. Stąd poszło bezgraniczne uwielbienie dla »Pamiętek Imć Pana Seweryna Soplicy« (1839), napisanych przez Henryka Rzewuskiego, stąd mnóstwo poematów i powieści, opisujących z zapałem wieki minione pod względem potocznych drobiazgów życia, nie zawsze godnych uznania i pochwały.

Autor »Obrazów litewskich« nie był naśladowcą Rzewuskiego; poszedł on właściwym sobie torem, lecz po-

glądy jego i uczucia były zgodne w znacznej części z tem, co głosił autor »Listopada«; znalazł się więc w atmosferze literackiej zupełnie dla siebie odpowiedniej, a pisma jego harmonizowały wybornie pod względem nastroju z tem usposobieniem, jakie popierała i chwaliła koterya »Tygodnika Petersburskiego«.

Najwyraźniej to widać w ocenie stosunków poddańczych. Dawniej, jako wolnomularz, jako członek »Towarzystwa Szubrawców«, Chodźko patrzył z goryczą na »niewolę« chłopca i wyraził to dobitnie w opowiadaniu p. t. »Poddany«, gdzie chłop ukształcony, nauczyciel w szkołach, został poznany przez dziedzica i zmuszony do powrotu na wieś dla odrabiania pańszczyzny. Teraz, wystawianie ucisku chłopów wydawało się naszemu autorowi krzyczącą niesprawiedliwością względem szlachty. Zaczął on w dziejach stosunku panów do chłopów odróżniać trzy okresy. Pierwszy z nich, patryarchalny, odznaczał się miłością i łagodnością chrześcijańską ze strony rządzących, a przywiązaniem i ufnością ze strony rządzonych. »Urodzenie — powiada Chodźko — rozdzielało te dwie kasty głęboką przepaścią, ale tę przepaść zapełniała miłość chrześcijańska, za którą idąc przebywali ją panowie i z ojcowskim sercem wnosili do chat włością swoich troskliwość, radę, pomoc wszelką i pociechę; przechodzili ją wzajemnie i włością, niosąc śmiało do dworu swoje potrzeby i troski, pewni opieki i wsparcia«. O ile z niewyraźnych napomknien wniesić

można, trwał ten stan patryarchalny aż do końca XVIII w. Nastąpiły potem w szybkim tempie dwa inne. Okres drugi nacechowany był obniżeniem moralności a wzrostem potrzeb materyalnych wskutek wkradającego się do domów szlacheckich zbytku. Zmuszało to »do jeszcze ściślejszego zajmowania się gospodarstwem i ciągnięcia zeń coraz większych dochodów«, co powodowało jeszcze większe wymagania od włościan. Rwały się wtedy dawniejsze ogniwa zobopólnej życzliwości, ale równocześnie powstała myśl, że »od stanu zamożności włościan zależał i stan dziedziców«. Interes zastąpił serce; »skutek materyalny prawie tenże sam, bo wzbudzający takąż samą troskliwość pana o byt jego chłopków; ale moralnie zeszliśmy daleko niżej«. Trzeci wreszcie okres wynikł z bankructwa wielkich majątków i zajęcia ziemi przez tych, co swe kapitaliki na tych majątkach niegdyś lokowali. »Improvizowani nowi dziedzice — powiada Chodźko — napłynęli na ziemię, bez innych celów i usiłowań, jak wynagradzania sobie przymusowo na niej lokowanych kapitałów. Usiłowania te powiększyły zapewne masę ziarna w kraju, ale też powiększyły i pracę około niego, a zatem i znoje włościanina, poglądującego na nowego pana, z którym go żadna przeszłość nie łączyła, nienawistnie, a często z poniewierką, jeżeli zwłaszcza był to parweniusz, w którym ekonomiczny pierwiastek przebijał się w każdym kroku (a takich było bardzo wielu); i nastąpiło jakieś rozstrojenie, w którym zdawało się, że los

włościan najmniej nie obchodził właścicieli». (Nowe Pamiętniki Kwestarza, 1862, str. 145—150).

Tak więc nie szlachta z dziada pradziada, lecz parweniusze, wzbogaceni ekonomowie uciskali chłopów, zdaniem przemienionego w wyobrażeniach swych Chodźki. Owszem szlachta sama dawała inicjatywę do wyzwolenia włościan, a autor nasz z chlubą się powołuje na sejmiki gubernialne z r. 1817, o których Mickiewicz w przypiskach do »Pana Tadeusza« wspomina.

Ogół przyjął »Obrazy litewskie« sympatycznie, gdyż tchnące z nich uczucia religijne i rodzinne działały na serca, poziom zaś wyobrażeń autora nie różnił się od poziomu przeciętnej inteligencji szlacheckiej, a nie raził Chodźko takimi krzyżującymi paradoksami, jak hr. Rzewuski. Ponieważ bezwarunkowa większość czytelników składała się ze szlachty, a Chodźko w pismach swoich był rzecznikiem szlachetczyzny, ogół był zatem z autorem w zupełnej zgodzie i chciwie jego opowiadania pochłaniał.

Pod względem artystycznym bardzo znaczna, niemal przepaścista zachodziła różnica pomiędzy tymi utworami a »Poddanym« lub »Samowarem«. Nie szło już autorowi o zwięzłość opowiadania, lecz raczej o plastyczne odтворzenie szczegółów, o opis malowniczy miejscowości, domów, sprzętów, o żywe odwzorowanie ludzi, jeżeli mają w sobie coś znamiennego. Chodźko jest w szczegółach realistą, lubo całość opromienia tchnieniem uwiel-

bień i rozrzewnień, a więc podmiotową idealnością. Fantazję plastyczną okazał on w tych utworach bardzo silnie rozwiniętą, jakkolwiek obejmującą tylko przedmioty najbliższego otoczenia. W dalszych utworach szła ona w szerz tylko, a nie w głąb.

W roku 1842 ukazały się »Brzegi Willii«, ubogie w wątek powieściowy, ale bogate w przepyszne krajobrazy i zarysy charakterystycznych postaci, skreślone w »błogosławionych chwilach prawdziwego natchnienia«, jak się wyraża Syrokomla. »Oto zimny i wyrachowany pan prezydent, postać podobniejsza do naszej epoki, niż do staroświeckich wzorów; oto pan szambelan, wdowiec bezdzielny, bogacz, skąpiec, tchórz jakich mało — i z głową gorzej jak nie tęgą; oto pan Brzeziński, muzykus starej daty, kulawy, dobry do kielicha i imponujący orkiestrze swoim rwij! rozkazującym; oto ksiądz przeor, starzec głuchy z krzyczącym głosem, gotów zawsze p o...b ł o...go...s ł a w i ć każdej łączącej się parze; oto charakterystyczny sternik staruszek Bartłomiej, który się krząta na płynących do Królewca wicinach, gawędzi o starych czasach i komenderuje czeladzi swoim flisowskim językiem: staubuj! na stos! ulaż! — oto nieoceniony marcowy kawaler, pan Tadeusz Koniuszyc, wesóły, gościnny, przyjacielski do upadłego, lubiący mówić wierszami i grać na gitarze, z wiecznem na ustach przysłowiem: p o m a l e ũ k u i k a t e g o r y c z n i e, które się u niego zamieniło w maksymę życia; — oto nakoniec dwa typy jurystów: pan

podstoli, wykrętacz sądowy dawnego autoramentu, i pan regent, prawnik nowszych wyobrażeń«.

W r. 1844 wyszła trzecia serya »Obrazów litewskich«, zawierająca »Pamiętniki Kwestarza«, uważane powszechnie za najznakomitszy utwór Chodźki i liczące rzeczywiście największą liczbę wydań (dziesiąte, wyszło w Wilnie r. 1894 z portretem autora i trzema drzeworytami, str. 248; istnieje także wspaniale ilustrowana edycja warszawska). Nie stanowią one zaokrąglonej w sobie całości; składają się raczej z urywkowych obrazków i opowiadań, przedstawiających, z kilku przerwami, stosunki prowincjonalne (polityczne, a głównie obyczajowe) z końca XVIII i początków XIX stulecia. O psychologii Chodźce nie szło, tak dalece, że fakt wewnętrzny najważniejszy, t. j. przyczyna rozstania się Michała Ławrynowicza, domniemanego autora pamiętników, z wojewodą, został przemilczany, a powód wstąpienia do zakonu zbyty ogólnikiem. Tam natomiast, gdzie chodzi o nakreślenie znamiennych postaci (książę Radziwiłł Panie-kochanku, ksiądz gwardyan, a potem ksiądz definitor; Marcin, woźnica kwestarski; Swieboda, wdówka pijaczka; mąż sierdzisty pod pantoflem; gwardyan symplak i t. p.), lub też o opis zwyczajów, obyczajów, praktyk sejmikowych, conceptów staro-szlacheckich, przygód powszednich, umysłów płytych, Chodźko wywiązuje się ze swego zadania wybornie. Wielkie wypadki dziejowe, widziane z ciasnego kącika i obejmowane nierozległym umysłem (Napoleon

w Wilnie 1812 r.), również są dobrze odtworzone. Sytuacje wzniosłe, tragiczne (śmierć Wołodkowicza, śmierć ks. definitora), są natomiast niedociągnięte, wskutek słabego lotu fantazyi opowiadacza.

W czwartej seryi »Obrazów« (r. 1845) mamy cztery małe powiastki: »Jubileusz«, »Duch opiekuńczy«, »Autor swatem« (najmniej udatna), »Panna respektowa«.

W seryi piątej (1850) mieszczą się »Dworki na Antokolu« — ładna i liczna galerya doskonale nakreślonych typów i scen. Romans Ludwika ze starościanką służy autorowi tylko za kanwę do przedstawienia już to widoków samych, jak np. długo ciągnących się dworków, jeziora Świrskiego, Szemetowszczyzny, już to wspomnień, jak np. o sali Mülllerów, już to znamionujących epokę dawniejszą wypadków, jak np. dwaj Turcy na maskaradzie, zagajenie trybunału litewskiego, pełne uroczystości wniesienie na krzesło umierającego Łopacińskiego, podróż księcia Radziwiłła Panie-kochanku, polowanie w lasach żuprańskich, obiad w Szemetowszczyźnie, kompromisy, rozsądzone przez księcia, i jego skuteczne dziewosłębny w interesie Ludwika Dowiata.

Po »Obrazach« nastąpiły »Podania litewskie«, również seryami ogłaszane. Pierwsza serya z r. 1852 składa się z dwu pięknych powiastek: »Wyklęty« i »Kamień w Olgienianach«. Druga serya z r. 1854 zawiera najobszerniejszą kompozycję powieściową Chodźki p. t. »Żegota z Milanowa Milanowski«. Rzecz odbywa się na

Żmudzi w wieku zeszłym. Milanowski, mazur z rodu, mający przy boku nieodstępnych kozaków: Poroczkę i No-rejkę, żyje w nieprzyjaźni z kasztelanem S. i bratem jego, pułkownikiem cudzoziemskiego autoramentu. W konfederacyi barskiej kasztelan trzymał z królem, Milanowski z barszczanami. W sprawie o rękę Doroty Uwojnianki starli się przeciwnicy. Było trzech konkurentów: Mejra, pułkownik i Milanowski. Chorąży, ojciec panny, zwlekał, ażeby korzystać z sąsiednich pól, będących w sporze, a należących do spółzalotników. Nareszcie nadeszła chwila stanowcza: wszyscy trzej oświadczyli się. Mejra i Milanowski porwali się do pałaszów, na prośby przytomnych cisnęli je, ale poskoczyli do siebie z pięściami. Milanowski wyrzucił Mejrę za okno; pułkownik się spił. Milanowski został na placu i otrzymał pierścionek zaręczynowy. Gdy wracał do domu, zastrzelony został przez Mejrę. Przywieziono trupa do domu chorążego. Chorążyna wołała, aby zdjąć mu pierścień, ale umarły rękę zacisnął. Dorota, do głębi wstrząśniona, wstąpiła do klasztoru panien Benedyktynek w Krożach. Charaktery w tej powieści są odmienne od dawniej przez Chodźkę malowanych, mają w sobie dużo siły i determinacyi. Opowiadanie dość żywo się rozwija.

Serya trzecia i czwarta »Podań« z r. 1858—60 obejmują opowiadania: »Pustelnik w Proniunach« i »Nowy pustelnik w Proniunach«. Oprócz tych utworów seryami ogłaszanych, wyszły w r. 1857: »Dwie konwersacje

z przeszłości«, zawierające ciekawą charakterystykę różnych faz w rozwoju umysłowo-literackim Litwy w przeciągu 50 lat XIX wieku. Po śmierci autora wyszły w r. 1862 słabe wielce »Nowe pamiętniki kwestarza«, do których przy końcu dołączył autor wiadomość o wolnomularstwie na Litwie.

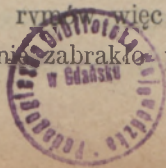
Ostatnie lata Chodźki nie należały do szczęśliwych. Wprawdzie różne godności, jako wyraz uznania zasług jego literackich, spotykały go jedna po drugiej: w r. 1855 został członkiem komisji archeologicznej w Wilnie, w 1858 wiceprezesem komitetu włościańskiego tamże, w 1859 członkiem korespondentem krakowskiego Towarzystwa Naukowego. Ale najprzód strata córki, a potem artykuł Juliana Klaczki p. t. »Odstępcy« zatręły mu resztki życia. Smutny, a nawet bolesny nastrój duszy wywołał u Chodźki kilka utworów wierszowanych: »Ostatni dziedzic«, »Rocznica«, »Mój kamień nad jeziorem Świrskim«.

Powszechnie i jednomyślnie dawniej wielbiony, został Chodźko bardzo dotkliwie scharakteryzowany przez Klaczkę, który przyznawał mu talent, ale zarzucał ciasnotę horyzontu umysłowego, co sprawiało, że u Chodźki »zamiłowanie rodzinnej ziemi znajduje ostatni zakres widnokręgu w dziedzicznej wiosce; przywiązanie do dawnego sielskiego porządku czy nieporządku wyklucza wszelką myśl zmian i ulepszenia; zwrot w przeszłość pozostawia dla przyszłości tylko zwątpienie, obojętność i niechęć«. »Nigdzie utajonej iskry świętego ognia naro-

dowego, któraby z duszy autora przekradła się w duszę czytelnika i z wielkim bólem dała jej wielkie pokrzepienie; nigdzie tego westchnienia żalu, któreby otwierało pierś aż do niebios nadziei. Wszystko tu zacieśnione, poziome, odwrócone w dziedzinę wspomnień, rajskich wprawdzie, ale w łupinie orzecha, jak mówi Hamlet roz tęskniony«.

Sens moralny pism Chodźki streścił Klaczko w tych jaskrawych słowach: »Co było, to było bardzo piękne, dobre, a nadewszystko dziedzicom wiosek przyjemne, ale minęło nieodzownie; teraz trzeba tylko trzymać się oburącz kęska puścizny ojcowskiej, otulić się kożuchem, spożywać barszcz domowy, — pouczać się obrazami dawnych czasów i wreszcie złożyć swoje kości obok popiołów przodków«. Pomijając zbyt wielką dosadność wyrażenia, trudno nie zgodzić się z Klaczką na samą treść charakterystyki. W głąb duszy ludzkiej Chodźko nie zajrzał, kwestyj ważnych nie dotykał, uczuć wielkich nie malował, prądów wieku zrozumieć należycie nie mógł.

Właściwości swego usposobienia i talentu czuł sam Chodźko, kiedy pisał w autobiografii: »Nigdy ja nie był poetą we właściwym znaczeniu, jakie dzisiaj temu przymiotowi nadano; ale imienia rymotwórcy odrzec-bym się nie mógł niegdyś; bo też dzieć poznano, że to, co w owych czasach nazywało się poezją, było po największej części rymotwórstwem tylko; rymotwórcy więc nam nigdy nie brakowało w potrzebie; nie zabrakło też natchnienia, ani



treści, bośmy cudze i obce sobie przywłaszczali. Ale wiek dojrzałszy mój na dojrzałsze i w literaturze trafił zdania i poczucia; przekonałem się i ja, że źródła prawdziwej poezji w sercu własnem szukać należy; a serce to moje napawało się natenczas uczuciami najśłodszymi człowiekowi, miłością szczęśliwego męża i ojca; napawało się rozkoszą spokojnego życia, pobudzającą mię w tkliwszych godzinach do poezji prostej, rzewnej, bogobojnej, do wierszy oznaczających niejako w pamiętnikach mych domowych peryody mego błogiego żywota...*

Co tu o wierszach swoich powiedział autor, z jednaką słusnością powiedzieć też można o jego utworach powieściowych. Polotu wyższego nigdzie w nich niema.

Wielbicielka talentu Chodźki, p. Kościałkowska, widzi przecież braki jego umysłowe, mówiąc: »Chodźko, którego talent jest nawskróś realny, trzeźwością poglądów artystycznych zarył się umysłem we wszystkie przesady, we wszystkie rojenia ludzi wstecznych i ciemnych... Tak samoistny, gdzie idzie o twórczość artystyczną, — gdzie idzie o zasady, o przekonania, zdobywa się zaledwie na niedołężne komunały niewytrzymujące krytyki, staje się echem biernem, chociaż i krzykliwem tego, co słyży na prawo, tego, co słyży na lewo... z przesadą niewolnictwa powtarza rzeczy osławione. Ta wrodzona mu trzeźwość, która tylko przed filozoficzno-społecznymi wywodami daje nurka, ostrzega go, że na drodze postępu bądźcobądź

stawać niebezpiecznie, bo obali nieprzepartą siłą i zdepcę. Dogodniej jest zatem obwieścić coś pośredniego.

»Ekonomiczne wycieńczenie kraju przy karmazynowych ferezyach, brylantowych spinkach, kosztownych furdymentach, iluminacjach w Nieświeżu, potokach miodu, zalewających rynki miasteczek, w których gromadzi się sejmikująca szlachta, stołach, uginających się pod jadłem, spienionych puharach, po których okładają wojewodom lodem dymiące się łyby, nie ściągnęło na siebie ani razu jego uwagi... Ten, co tak prześlicznie malował dwory i dworki, ani jedną czarną kreską nędzy nie zespecził harmonii swego dzieła. Kreska ta wprawdzie przewija się spodem, natrętna, coraz wyraźniejsza, ujawniająca się przed czytelnikiem, choć ją pominięto, i dlatego może ujawniająca się tak wyraźnie, że ją pominięto... Gdy idzie o zjawisko codzienne, należące do epoki, w której żyje, ten, tak szeroko o zaletach skromnego bytu rozprawiający pisarz, tak czuły na gangreny idące z dołu, niezbyt się gorszy, gdy pan prezydent targuje się z przyszłym zięciem o intercyzę i gotów w braku zapisu zerwać ułożone małżeństwo córki... Gromi lenistwo, zachwala pracę, ale obraca się najswobodniej w bawiącym się bez troski o jutro kole, nie może się powstrzymać od apoteozy kielicha...

Nowe zbiorowe wydanie »Pism« Chodźki wyszło w Wilnie w 11 tomach roku 1875—77.— Do życiorysu Chodźki sam autor podał trochę materiału, zarówno

w »Dwóch konwersacyach«, jak i w urywku z autobiografii, wydrukowanym r. 1858 w »Tece Wileńskiej« (Nr. 3, str. 38—56) p. t. »Peryody życia«. Ludwik Kondratowicz zaraz po śmierci Chodźki skreślił jego »Życie i pisma« (Wilno 1862, str. 96). Najobszerniejsze i najgruntowniejsze studyum nad talentem i umysłowością Chodźki, po części na podstawie niedrukowanych listów, napisała Wilhelmina Zyndram Kościałkowska w »Ate-neum« r. 1884, t. I i II.

Piotr Chmielowski.

WSTĘP AUTORA.



Dnia wczorajszego zawołał mnie zrana pan wojewoda do swojej kancelaryi, i wchodzącego zapytał:

— A czy traktowałeś waśc, ojczye święty! (takie jest przysłowie pana wojewody) szkoły?

Zdziwiłem się mocno na taką kwestyę, i odpowiedziałem: — Aż do *Poezymy inclusive*, JW. panie!

— A dlaczegoż waśc nie słuchałeś i *Retoryki?*

— Przewidywałem, JW. panie, że się nasłucham *retoryki* na służbie u wielkich panów.

— Oho! znać dworaka. No, ale choć waśc nie retor, potrafisz jednak pisać *currente calamo* pod dyktacyą.

— A wszakżeby to i dobry *infimista* potrafił — odpowiedziałem, i pokręciłem wąsa.

Pan wojewoda poznał, że wcale nieobyczajne zadawał mi kwestye.

— Nie gniewaj się, ojczye święty! — rzekł on — ksiądz kapelan, który, jak wiesz, spełnia u mnie razem i sekretarską funkeyę, zachorował dzisiaj; musisz więc jego zastąpić, choć aż to do ciebie, jako do marszałka

mojego dworu, wcale nie należy; ale, ojcze święty, pomiarkujemy się o fatygę, a tymczasem siadaj i pisz list, który ci dyktować będę. Masz tu wszystko gotowe: papier, pióra etc.

Usiadłem zatem przy stoliku, i przyłożywszy się regularnie — jestem gotów — rzekłem.

Pan wojewoda zapalił fajkę u komina, przeszedł kilka razy po pokoju i zaczął:

»Wielmożny Mości!... a Dobrodzieju! — z figielkiem«.

— Jest — z figielkiem.

— Jako? co waść napisałeś? — zapytał wojewoda, spojrzawszy przez moje ramię na papier.

— To, co JWpan dyktowałeś.

— Porzuć waść, ojcze święty, te ze mną facecye. Na co masz głupca udawać, kiedy nim nie jesteś?

— A skądże JWpan tak prędko poznał mój rozum, kiedy tylko co wątpił, czy ja traktowałem *infimę*?

— No, no, dość tego. Weź drugą ćwiartkę papieru i pisz znowu.

— To więc JWpan chcesz, abym *Dobrodzieju!* napisał *per abbreviationem*?

— A tak, tak właśnie. Widzisz, żeś się dorozumiał, co znaczy z figielkiem.

— Tak, dorozumiałem się wprawdzie, ale zawsze należało panu, któryś zapewne i retorykę przeszedł i na Akademię frekwentował, dyktować wolej *per abbreviationem*, jak to często zdarzało mi się słyszeć w szkołach, gdzie żadne figielki nie uchodziły, i gdzie ciężki z nich bywał w sobotę rachunek.

Uśmiechnął się wojewoda, puścił kilka gęstych kłębów dymu, i po jakimś namyśle:

— Wiesz co? — rzekł — czy nie lepiejby, dawnym obyczajem, zacząć od »*Mnie wielce Mości Panie Bracie!*«

— I mnie się zdaje, że lepiej.

— Ale bo widzisz, ojcze święty, ta staroświecka fałszywa *parentela* wychodzi już z mody; i prawdę mówiąc, szlachcic nie bardzo lubi pobratanie się z sobą pana, kiedy mu go wzajemnie bratem nazwać nie godzi się; bodaj więc lepsze, *Wielmożny Mości Dobrodzieju*, każdemu jednostajnie przypadające. Addytament *Jasności* przyczepia się dziś do urzędów, które i brat szlachcic nieraz osiąga; a tak wszyscy kontenci. Pisz więc, ojcze święty, jakem wprzód dyktował... tylko że... czekaj! Idzie mi o rzecz. Ten pan podstoli *potens* w swoim powiecie, a nie bardzo mnie życzliwy... jak się urazi za figielek, i weźmie to za *postpozycyę*, gotów mi wzajemnego figielka wypłatać, i nasze imprezy sejmikowe, do których plany i insynuacye aż z Warszawy odebrałem, pomięsza, a właśnie go tym listem zapraszam dla porozumienia się... Pisz więc *Dobrodzieju!* wyraźnie.⁷

Zadyktował potem cały list wojewoda dość gładko i grzecznie, pod końcem jednak znowu namyślać się zaczął, i biorąc pióro do podpisu — Jak rozumiesz? ojcze święty: — zapytał — *uniżonym* czy *najniższym* sługą?

— A jakbyś JWpan napisał, gdyby nie sejmiki?

— Naturalnie, że tylko *uniżonym*, a możeby się i bez tego obeszło.

— No, to ja radzę JWpanu pisać teraz *uniżonym*: bo podstoli pozna, że tylko przed sejmikami pan wojewoda jest jego *najniższym* sługą, a potem i *uniżonym* nie będzie.

— Mądrze mówisz, ojcze święty! Stary sejmikowy Judasz nie da sobie zamydlić oczu... a zatem *non tam libenter quam reverenter*... — I wymawiając powoli tę jakoby *protestacyę*, podpisał się wojewoda *uniżonym* sługą.

— No, teraz, ojcze święty, wpisz ten list choćby tylko treścią, *ad continuationem* mego dyaryuszu, to jest, do tej księgi pod datą dzisiejszą; a potem go zapieczętujesz, zapiszesz kopertę i wyszlesz umyślnym.

To rzekłszy, wyszedł wojewoda, a ja otworzyłem wskazaną mi wielką, do połowy już zapisaną księgę. Charakter w niej był rozmaitej ręki: i samego wojewody, i księdza kapelana, i różnych innych; rzecz też rozmaita była. Wpisywano tam razem publiczne i prywatne interesa i *cyrkumstancye*; codzienne prawie *eventa* dworu naszego, rozporządzenia ekonomiczne komisarzom, instrukcye plenipotentom do spraw w subseliach i w trybunale; a obok tego i w większej części, opisanie publik i sejmików, przez pana wojewodę traktowanych, podróży odbytych, listów i odpowiedzi, niektórych ważniejszych *per extensum*, a niektórych w treści. Takóż rozmaite nowiny i zdarzenia krajowe, oracye i głosy, tak *in publico* przez samego pana wojewodę, jakoteż i przez innych sławnych oratorów miewane, a nawet rozmaite historye, sentencye, wesołe dykteryjki i wiersze przez przybyszów i bywalców światowych opowiadane, a które wojewodzie się podobały; nakoniec niektóre ciekawe prognostyki, oraz sekreta i *arkana* doktorskie, na różne defekta tak ludzkie jako i końskie, które ja sobie najpierwej skopiować postanowiłem, słowem, bardzo to ciekawa i pożyteczna księga.

Na pierwszej karcie, nasz kochany, mądry ks. Ma-

ciej, kapelan, wymalował, choć to atramentem, ale pięknie, w doskonałym *konterfekcie*, herb pana wojewody, jakoby nad bramą *adornowany*, a pod nim takie napisał wiersze:

Otwarta brama, z świętej Niebios rady,
Dla Tadeusza cnót ślicznej parady;
Za którą i sam postępując w tropy,
Wolny odprawi wjazd do nieba z Europy.

Podobno za ten koncept ks. Maciej dostał srebrną tabakierkę od wojewody.

Lecz odkładając na wolniejszy czas czytanie onej i kopiowanie, wziąłem się teraz do wpisania tam, podług rozkazu JW. pryncypała, mojego listu do pana podstolego.

Na stronicy, gdzie mi przypadło pisać, było już nieco napisanego z góry, a na marginesie, zanotowana jakąś nieznaną ręką sentencya łacińska, wiadoma każdemu dworsko traktującemu: »*Dum subera suberant, subera suberare memento*«¹⁾. — A toć — pomyślałem — wyraźną daje mi Pan Bóg przestrozę. Wojewoda tylko co powiedział, że o fatygę sekretarską ze mną pomiarkuje się; otóż zręczność i *momentum suberare subera*; dodawszy do tego wątpliwość pańską, czyli ja traktował szkoły... *summa facit* — atlasowy żupan. Wziąłem więc demestykę papieru i napisałem:

»W *rekompensę* funkcyi sekretarskiej, oraz uznając »przykładną aplikacyę w szkołach marszałka dworu mojego, JJ. Michała Ławrynowicza, asygnuję mu ze

¹⁾ Drzyj lyka, kiedy się drą.

»sklepu kupca Abrahama w Połosku, atlasu paliowego
»w *ehcie* na żupan łokci dziewięć. Datt. 178...«

Właśnie gdym ukończył pisać i list pieczętowałem,
nadszedł wojewoda.

— A co? ojczy święty! gotowe? — zapytał.

— Jeszcze tu potrzeba jednego podpisu JW. pana. —
I podałem asygnacyę.

Przeczytał, pokręcił głową, ale rozśmiał się, z czego
wraz sobie dobrze tuszylem.

— Niechże i tak będzie — rzekł. Zręcznie się do-
mawiasz. Ale na cóż tak wiele atlasu? Czy nie możnaby
per abbreviationem? naprzykład łokci pięć?

— Nie można, JW. panie, bo byłby żupan z fałszem;
a ja prawdą chcę żyć na świecie.

— Trudno odmówić, na wszystko masz gotową ra-
cyę. — I podpisał.

Powróciłem zatem do mojej oficyny w wyśmienitym
humorze, a zapaliwszy także fajkę i popijając piwko,
dumałem sobie to to *owo*; więc przyszło mi na myśl,
że to wyśmienita książka pana wojewody, i gdybym
to ja taką pisać zaczął? — Uważałem rzecz tę *pro et*
contra.

— Na co mi ta praca liczna przyda się? Gdybym
to jeszcze był żonaty... to dla pamiątki dzieciom...

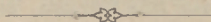
— A kto wie?... może i ożenię się? Panna Ra-
chela, respektowa wojewodzinej, nie źle na mnie po-
gląda...

— Tfu, do licha! — myślałem znowu — oto by-
łaby praca daremna... Teraz głowa wolna... Czy szatan

kusi? No, ale zresztą, pędzę życie światowe, dworskie; nie z jednego pieca chleb jadłem i nie z jednego jeszcze zdarzy się jeść. Cóż to złego byłoby, mieć sobie na starość kiedyś w ciepłej chacie nad czem rozpamiętywać?... Głowy sobie łamać nie będę, bom nie teolog, ani jezuita; a Zoila nie boję się, bo nie na *publicum*, ale *sibi soli* pisać będę. A zatem —

*Adsis inceptis Benigna Virgo meis!*¹⁾.

¹⁾ »Przybądź początkom moim w pomoc, Miłościwa Panno!«



I.

Sejmiki połockie w Uszaczu ¹⁾.

Anno 178... odbyliśmy z panem wojewodą sejmiki poselskie połockie. *Laus tibi Christe*, że prawie żywi wróciliśmy!

Jest co wpisać do tej księgi, ale początek niefortunny.

Przybyliśmy do Uszacza w licznej asystencji dworu naszego i przyjaciół; za nami nazajutrz napłynęła bracia szlachta naszej wojewodzińskiej partyi i zajęła całą ulicę. Żydów z ich domów wyrugowałem, uczyniwszy jednak każdemu niejaką gratyfikację, choć oniby sami się przed nami wynieśli.

Przyciągnęła także nazajutrz i nasza milicya, to jest, dwieście ludzi piechoty, która siedziała w chatach swoich po dobrach pana wojewody, a na rozkaz jego stawała

¹⁾ Uszcz, miasteczko dziś w powiecie dziśnieńskim, w gubernii mińskiej, w którym odbywały się sejmiki województwa połockiego.

w potrzebie. Mundury gotowe na cały komplet, leżały na lamusach i każdy przybywający żołnierz zrzucał siermięgę, a ubierał się w zieloną kurtkę, w także szarawary, kładł nowe buty, kaszkiecik lakierowany z kitką na głowę, patrontasz przez ramię, brał flintę w rękę i stawał do szeregu.

Pan Piekarski, porucznik, który jest razem i koniuszym u pana wojewody, komenderuje tą piechotą i tygodniem przed wyjściem na publikę, najczęściej sejmikową (bo pan wojewoda z nikim, chwała Bogu, nie wojuje), wyprowadza ją codzień na zmianę poparną za dworem na musztrę.

Pan Piekarski traktował za młodu żołnierkę w pruskim wojsku; zaczął więc z początku komenderować po niemiecku, ale że chłopci nie zrozumieli i nie mogli przyzwyczać się do jego *Rychteyt*, więc musiał potem po polsku ich musztrować, i pięknie to prostactwo wymoderował; nie mógł jednak żadnym sposobem nauczyć ich pruskich tempów do nabijania broni. Jak więc komenderował: *nabijaj!* to czekał potem, aż każdy po swojemu nabił, i z cicha pytał: *czy już?* Jak odpowiedzieli także z cicha: *już!* wtenczas krzyczał: *tou! tuy!* O Bożym świecie nie wiem, co znaczy takowe *tou! tuy!* Musi to być komenda niemiecka; ale po niej kurki *traf, traf,* nakoniec *cel! pal!* i zawsze jakbyś *orzech zgryzł.*

Pan Piekarski rozłożył się z kompanią swoją za miastem na polu. Przeciwna nam partya Sieleckich i Norwickich z gromadą swojej szlachty, zajęła także kilka ulic i krzyczała, że pan wojewoda chce być *opressorem* województwa, bo na walny sejmik przyprowadził żołnierzy; ale my odpowiadaliśmy, że to nie dla *opressyi* lub jakiej gwałtownej *preponderencyi*, ale dla powagi

i asystencyi jego senatorskiej godności: bo i po prawdzie mówiąc, ładunki prawie wszystkie naszych żołnierzy były puste, jak do salwy przy wiwatach, i tylko dla przypadku mieli oni po kilka z grubym wilczym szrotem w zapasie. Wielką miałem biedę z dostarczeniem i rozporządzeniem *sumptu* dla takiego tłumu, musząc nadto i *quam maxime* myśleć, aby obiady wojewodzińskie były sute i wspaniałe, i asystować jeszcze jako marszałek dworu, to jest pierwszy dworski, samemu panu. Dobrawszy jednak sobie do pomocy kilku trzeźwych i rzeźwych szlachty, wydobywałem wszystkiemu za pomocą Bożą.

Szło wojewodzie o ważną rzecz, bo o utrzymanie na poselstwie z naszego województwa pana Sulistrowskiego i pana Brzostowskiego, żądanych z góry; a przeciwnicy forytowali pana Sielickiego i pana Reuta, dobrą mając po sobie potencję szlachty, a nawet niektórych urzędników ziemskich. Rzecz więc była wątpliwa; zwłaszcza, że pan Sulistrowski, oczekiwany codzień z Warszawy, nie przybywał, a sejmik rozpoczynać koniecznie trzeba było, bo wszyscy tego domagali się.

Dopisali wprawdzie i nam przyjaciele. Pan rotmistrz Rudomina przyprowadził *sto szabel*; wszedł on do miasteczka takowym szykiem: — Na przodzie sam konno, w mundurze wojewódzkim, z buzdyganem rotmistrzowskim w ręku, jakich już i nie widać teraz. Personat! niema co powiedzieć. A wąż! mój dobrodzieju! wąż! mój nawet marszałkowski przed nim ustąpićby musiał z placu. Za nim sześć pięknych, młodych, wysokich a opieklých dziewczek, w czerwonych aksamitnych gęsto galonowanych gorsetach i błękitnych gredyturowych spodnicach. Wszystkie sześć grzmiały na waltorniach hucznego marsza; a za

niemi szła szlachta, krzesząc w takt pałaszami iskry z kamieni.

Tak przeciągnąwszy przez wszystkie ulice i zgromadziwszy około siebie tłum ludu dziwiącego się takiej paradzie, pan Rudomina przyszedł do kwatery wojewody i rejestr swej partii złożył mu w ręce.

— Ojcie święty! — zawołał wojewoda, patrząc na waltornie — miałbym tego za trzy litery, toby się do takiej partii nie łączył.

Pan Stanisław Swieboda, mój dobry przyjaciel, przyprowadził także z pięćdziesiąt rębaczów takich jak sam; a faworyt to pana wojewody i filar nasz sejmikowy, bo trudno znaleźć takiego jak on gracza do korda.

II.

Wizyta po przyjaciółach.

W wigilią *reasumpcyi* sejmiku, pan wojewoda rano po śniadaniu, rzekł do zebranej drużyny: — Ojcowie święci! kto łaskaw ze mną do obejścia prześwietnych urzędników województwa naszego, poczynając od pana podkomorzego Sielickiego?

— Dlaczegoż pan podkomorzy pierwej nie złoży *submissyi* panu wojewodzie? — odezwał się pan Rudomina.

— Mniejsza o to, ojcie święty! Nie idzie tu o *preminencyą*, ale o sprawę publiczną. Owszem, dajmy z siebie przykład umiarkowania naszym przeciwnikom i dajmy pierwszy krok *ad unanimitatem* w sejmiku. Pójdźmy.

Więc ruszyliśmy wszyscy i zabrawszy jeszcze po drodze pana podwojewódzkiego Korsaka, naszego także *adherenta*, szliśmy w kilkunastu za panem wojewodą.

Pan Sielicki, uprzedzony widać o tej naszej wizycie, spotkał nas w bramie swojego dworku, w którym kwaterował. Kordyalne napozór między nim i wojewodą zaczęły się *exwisceracye* i wszyscy w najlepszej komitywie weszliśmy do pokojów.

Pan podkomorzy kazał podać węgryzna i spełnił pierwszy kielich za zdrowie wojewody; zaczęliśmy więc pić regularnie.

W naszej kompanii, za wojewodą przyszedł i pan Stanisław Swieboda, wlokąc przy boku swego *Harasima*. Tak on ochrzczył swój zasłużony pałasz z furdymentem, jak kocia głowa, szeroki, prosty i ciężki, jak sztaba żelaza. Pan Stanisław nie jak na galę był ubrany: bo będąc chudym pachółkiem, może i nie miał w co lepszego się ustroić; ale przecież po szlachecku i chędogo. Miał on na sobie żupan sajetowy *werdragonowy*, dobrze wprawdzie podszarzany, ale przecież jeszcze nie dziurawy, ani łatany; pod nim pas choć jedwabny, ale słucki i nowy, a na wierzchu kurtkę z takiegoż sukna, spiętą na guzik srebrny pod szyją.

Nie podobał się taki ubiór krewnemu pana podkomorzego panu szambelanowi, młodemu szalawile, podpitemu już dobrze i szukającemu zatem guza. Obchodził on po kilka razy pana Stanisława i domawiając wrzekomo do jego zielonej kurtki: *Strzelczyk!* — powiadał — dalibóg *strzelczyk!* — Pan Stanisław pokręcał głową i nic nie odpowiadał. Tem ośmielony panicz, coraz to głośniejszym *strzelczykiem* go nazywał, z różnych stron *aspektując* jego

figurę; uśmiechali się i drudzy, a zatem nie wytrzymał nakoniec i pan Stanisław.

— Panie bracie! Panie szambelanicu! — rzekł on — Waspan mnie znasz dobrze; ale że teraz nie poznałeś i nazywasz mnie szlachcica strzelczykiem, otóż, panie bracie, *strzelczyk waszeci nastrelaje!* — Pan Stanisław niekiedy z ruska zarywa.

Szambelanic chwycił się do szabli. Natenczas postrzeżono zwadę, której w tłumie dotąd nie słyszano. Pan podkomorzy zgromił swego krewniaka; pan wojewoda uspakajał pana Stanisława; ale ten ukłoniwszy się grzecznie, nasunął czapkę na uszy i wyszedł.

Nie bawiąc długo, ruszył się i pan wojewoda; już bowiem przerwała się harmonia, której gdy na gorącym razie nie sklejono, można było łatwo zgadnąć, na czem się to skończy. Zasedłszy potem jeszcze do pana chorążego Nornickiego i do kilku innych, wróciliśmy tandem na obiad do domu.

III.

Wyzwanie.

Pan wojewoda zapytał o pana Stanisława, ale go nie było i we własnej jego kwaterze nie najdziono; wiadać, że się gdzieś zaszył, aby nie być *molestowanym* przez wojewodę o zaniechanie dalszych kroków z panem szambelanicem; aż oto pod wieczór wszedł on *insperate* do mojej stancyi.

— Panie bracie! Panie Michale! — rzekł — pofatyguj się z łaski swojej do tego huczka, co mię strzelczykiem nominował. Nowe panicz *stallum* dla szlachcica wymyślił! Poproś więc jego, aby jutro rano, ze wschodem słońca, obaczył się ze mną przy krzyżu na gościńcu wileńskim, stąd o ćwierć mili; czekać go tam będziemy z tobą, panie bracie! A kiedy nie raczy wyjść, to wiesz, bratku, co przydeklarować!... Plac ostrzelam i uszy za pierwszym spotkaniem się obetnę.

— Czy nie możnaby, panie Stanisławie, zmodyfikować się? Pan wojewoda...

— A gdyby i dziesięć wojewodów! — przerwał żywo pan Stanisław. — Znaj to, panie bracie, panie Michale, że gdyby rzecz była ze szlachcicem, to mniejsza o to; nie fatygowałbym ani siebie, ani mojego *Harasima*; ale pan szambelanic pan, a przynajmniej siada między pany; to potrzeba go nauczyć *mores*, aby *szlachtom* po nosach nie jeździł. Więc jeżeli lękasz się narazić wojewodzie lub siebie ekspensować, to, panie bracie, powiedz mi otwarcie, a ja poszukam innego przyjaciela.

— Na to nie pozwalam — rzekłem. — Funkeya moja marszałkowska u pana wojewody nie może mi *negować* posługi honorowej przyjacielowi: idę więc, a czekaj tu na rezolucję.

Jakoż i poszedłem do panów Sieleckich, którzy całą familią mieszkali razem; znalazłem podkomorzego i starszych wszystkich śpiących, a młodzież w przeciwkowej izbie podpiłą i dziwnie na nas wykrzykującą przechwałki. Już oni nas i przekreskowali, i wypędzili, i posłów wybrali.

Gdym wszedł, porwał się z za stołu, na którym pełno butelek i dzbanów, szambelanic i krzyknął:

— A ty, chłystku wojewodziński, po co tu! — na szpiegi? *na praktyki?*

— Nie jestem szpiegiem — odpowiedziałem — ale posłem; a posła ani ścinają, ani wieszają.

Siedział między nimi pan Podwiński, pisarz ziemski połocki; głowacz to wielki, ale *filogranowej roboty!*... Więc go oni na swoją stronę chcąc przeciągnąć, poili i ujmowali. On pił mało, a mówił jeszcze mniej, tak, że go oni ani skorumpować, ani wyrozumieć nie mogli. Najczęściej występuje on jako medyator i dlatego od wszystkich jest konsyderowany. Zna on mnie dobrze, bo bywa u wojewody, więc powstał i wstrzymując zapędy szambelanica, rzekł:

— Mości panowie! to jest uczciwy szlachcic, pan Michał Ławrynowicz, mostowniczyz derpski. — (Bogiem a prawdą, chyba mój jaki prapradziad był tym panem *derpskim*: bo ja, jak zawsze Ławrynowicz i nie wiem, jak kiedy przyszło mi zostać razem i mostowniczym i derpskim). — Mój to dawny znajomy i przyjaciel; proszę więc go nie *agrawować* i wysłuchać.

— Mów więc swoje poselstwo! — krzyknęli.

— Poselstwo moje — rzekłem — tyczy się jednego pana szambelanica; możebyś więc pan raczył wysłuchać mnie *semotis arbitris*.

— Niema żadnego sekretu pomiędzy nami; mów, jak stoisz.

— A kiedy tak, to i powiem. Otóż przysłany tu jestem przez pana Stanisława Swiebodę, podczaszego oszmiańskiego, abym prosił waćpana, panie szambelanicu, o honorową satysfakcyę za krzywdę, którąś pan dzisiaj jemu dopełnił, nazywając go strzelczykiem, z wyraźną dlań *postpozycyą*. Czekać więc on pana będzie jutro ze

wschodem słońca, na rozstajnych drogach pod krzyżem, na gościńcu wileńskim, stąd o ćwierć mili, aby *in circuitu* juryzdykcyów sądowych nie mieć *akcyi*. Przytem ostrzegam pana, że jeżelibyś odmówił satysfakcyi i nie stawił się na wyzwanie (czego się nie spodziewamy), pan podczasy plac ostrzela, a z panem do spotkania.

— Nie doczekasz — krzyknął szambelanic — abys dla mnie plac ostrzelał! Potrafię ja podczesać pana podczaszego.

— A tymczasem — rzekł, chwytając za szablę Junosza, szlachcic z traktu zapońskiego¹⁾, zawołany sejmikowy zawadyaka — oporzędzim pana posła.

— Mości panowie! — rzekłem, odstępując w tył kilka kroków — protestuję się i biorę na świadectwo obecnego tu wielmożnego pisarza, żem nikogo z ichmościów nie obraził; więc jeżeli poniosę jaki *grawamen*, zaraz *manifestuję* niesłuszny attak i od tego momentu *nego activitatem* ichmościom na sejmiku.

Porwał pan Podwiński za kark zapończyka. — Idź spać, opoju! — rzekł, popychając go do alkierza. — Panie szambelanicu! obudzę podkomorzego, jeżeli nie dasz pokoju tym burdom. — A do mnie: panie marszałku! zrobiłeś swoje, więc nie masz tu po co dłużej czekać.

Wyszedłem zatem; dopędził mnie wraz na ulicy pan pisarz. — Panie Michale! — rzekł on — wybawiłem cię z kłopotu: bo czy cię dyabli nadali przychodzić z taką propozycyą, gdym ja ku pojednaniu i ku wygranej naszej

¹⁾ Trakt zapoński, dziś w powiecie borysowskim, w gubernii mińskiej idący, nasiedlony dawniej gęsto drobną szlachtą, sławną niegdyś w sejmikowych bójkach.

(rozumie się wojewodzińskiej) rzeczy nachylał? dlatego jedynie byłem między nimi.

Poznałem lisa, ale podziękowałem pokornie i za siebie i za wojewodę.

— Może się dadzą rzeczy utraktować i między panem Stanisławem a szambelanicem, gdy przez noc szum z głowy im wyjdzie. Waść zaś perswaduj podczaszemu.

— Trudno to będzie — odpowiedziałem.

— No, to jak sobie chce zresztą. Nieźle to czasem, kiedy młodzika zuchwałęgo trochę przyuczą. Ale powiedz wojewodzie, że pracuję szczerze w jego zamiarach.

— Bodaj tyle pies płakał! — pomyślałem i uściśnawszy się kordyalnie, rozeszliśmy się.

Pan Stanisław, uradowany z odbytego poselstwa, podziękował mnie z płaczem prawie. — Panie bracie! panie Michale — rzekł potem — pójdę teraz do Dominikanów na nieszpory i zaraz spać: bo przededniem trzeba nam być na koniach; i ty, panie bracie, staraj się wywczasować się, bo cię jutro *summo mane* obudzę. — Ale mnie nie było czasu myśleć o odpoczynku: bo wnet pan wojewoda przysłał po mnie i kazał asystować sobie do pana Rudominy, który go na wieczorną hulanekę zaprosił.

IV.

Wieczorynka.

Idąc my gromadnie i huczno przez miasteczko, na różne trafialiśmy komplementa. Po wszystkich prawie

szynkach brzmiała muzyka rozmaita: bo i ja rozdzieliłem dwudziestu czterech naszej kapeli na kilka części i rozprowadziłem po kwaterach szlacheckich; i pan Sielicki miał swoich muzykantów i z dziesiątek żydków z cymbałami przywlokło się na sejmiki. Z doświadczenia wiedzieli oni, że bród i pejsów całych nie wyniosą; ale też znali i to, że w kieszenie napakują korończyków sownie.

Szlachta wrzeszczała, śpiewała i piła; gdyśmy więc około swoich przechodzili, wypadała z domów, krzyczała: » *Wiwat pan wojewoda połocki! wiwat!* « Chwytała przysięgą na ręce wojewodę i podrzucała w górę. Nie opponował się tej subiekcyi wojewoda, owszem wypijał za każdym razem po szklance miodu za zdrowie braci szlachty i przyjaciół.

Ale gdyśmy mijali domy nabite partyą przeciwną, to i wetowano nas niepomału; jednak wszystko mimo uszy puścić trzeba było. I tak: wyskoczył z jednego dziedzińca, na którym pili zapończyki, jakiś urwisz, a poprawiwszy czapkę na bakier, stanął przed wojewodą i tak perorował:

Panie wojewoda!
Co to za moda?
Na to nie zgoda!
Żołnierzy zbierasz,
Szlachtę pożerasz!

Ryknęła za nim cała chałastra: *Szlachtę pożerasz! Szlachtę pożerasz!* — Pan wojewoda nie odpowiadając, wszedł między nich na dziedziniec. Patrzali wszyscy, co z tego będzie? Zaczepnął miedzianym kubkiem miodu z cebra i ukłoniwszy w około — Ojcowie święci! —

rzekł — piję za zdrowie przezacnych braci szlachty traktu zapońskiego. *Wiwat!*

— *Wiwat!* — wrzasnęła szlachta — *wiwat* wojewoda połocki! *wiwat!* — I zapomniawszy wierszów, porwała także wojewodę na ręce i podrzuciła w górę, nie przestając wykrzykiwać: *Wiwat!*

Jako u nas nigdy w sercach zawziętości niema! Ale domyśliliśmy się, że wiersze składał pan Reut: bo to ptaszek *Scholarum Piarum*, do niego z całego województwa, jak do doktora po recepta, udają się po oracye, a on sypie wszystkim jak z rękawa.

Przebywszy zatem szczęśliwie wszystkie szkopyły, doszliśmy przecie do dworku pana Rudominy, który nas ze swemi sześciami waltorniami, w licznej *komitywie* przyjaciół, spotkał na ulicy.

Wszedłszy do środka, znaleźliśmy wieszczkę nie z *marcypanów*, ale *honeste* zastawioną. Zrazy zawijane, rozmaite kwaszeniny, rosołu kilka waz, a pieczonej zwierzyny *quantitas*, że aż stół się uginał. P. Rudomina jest myśliwym; przed sejmikami poluje ze sześć tygodni. Pieczenie więc łosie i sarnie, głowy i szynki dzikowe, łapy niedźwiedzie zajmowały środek ogromnego stołu; a z zajęcy i różnego ptactwa na szerokich cynowych blatach góry poukładane: prócz tego na osobnych misach rantowych oładki do zrazów do rosołu. Odbywwszy więc kolejkę starej wódeczki, zaczęliśmy repetować wysmienicie, zapijając tłuste kęsy wybornym trojnakiem, którego pełne flasze stały na kominie. Na miejsce opróżnionych mis i półmisków stawały nowe, również sowite; te znowu się opróżniały, bo ścisk był około stołu i coraz to więcej przybywało kompanii. Ale kuchnia pana Rudominy przemogła nakoniec nasz wilczy apetyt. Za trzecią i czwartą

odmianą, nietknięte już danie zebrano ze stołów, a pan rotmistrz kazał podać wina i zaczęły się wiwaty.

Pan wojewoda *in casu necessitatis* nie odbiega od kielicha i rzadko komu udało się go spoić. W domu własnym gdy traktował gości, miałem zawsze kilka butelek wody zafarbowanej winem i zręcznie z nich nalewałem wojewodzie; ale gdy raz złapał nas na uczynku pan podwojewodzi Korsak, musieliśmy porzucić tę sztukę, bo się rozgłosiła wszędzie; teraz więc, *volens nolens* szczerzy ciągnie trunek; a jeżeli już tak się spije, że go do łóżka prowadzić trzeba, to mam w pogotowiu kilka serwet i misę zimnej wody, okładamy zatem całą głowę umoczonemi w wodzie serwetami. Wnet gorąca czupryna pana wojewody parować zaczyna, ale razem i chmiel wychodzi. *Probatum*, że takim sposobem trzy razy od pory do pory upić się i wytrzeźwić się można; a zapisuję to dla pamięci własnej i *propter utilitatem publicam*.

Więc tedy po wieczerzy piliśmy u pana Rudominy *lautissime*; za każdym wivatem, do dna duszkiem spełnionym, brzmiały waltornie i dziewczki przyspiewywały chórem i wesoło:

Wypił, wypił, nie zostawił —
Hu! ha! nie zostawił!
Bodaj go Bóg błogosławił —
Hu! ha! błogosławił!

a potem huknęły *kurdesza* i *czumadrychę*. Wytrzymać już nie można było! *Czumadrycha*, to skoczna nuta: więc poły za pas zawinawszy, wrywali nasi bracia dziewczki od waltorniów, i dalej w *obertasy*.

Ja tego uczynić nie mogłem z racyi prezencji wojewody, ależ jednakowo choć na miejscu podskakiwałem:

bo i w głowie szumiało, i powiadam, że dalipan trudno było ustać. Sam pan wojewoda *ukonsolowany* nader, całą kieskę rzucił na waltornie, a za jego przykładem, ile talarów i złotych posypało się, trudnoby zliczyć. Garściami dziewczki zbierały pieniądze, ależ bo i warte tego! Niech ich tam... Pan Bóg sekunduje!

Razem tak wszystko: i śpiewanie, i skoki, i wiwaty, i krzyki: hu, ha! wrzały jak w garnku i rozlegały się od naszego dworku na całe miasteczko; i dobrze już w noc było, gdy oto dwa wystrzały gruchnęły nam pod oknami. Posypały się szyby, a po waltorniach, jakbyś grochem sypnął, grankulki. Przełęknione dziewczki wrzasnęły okrutnie, my także krzyknęliśmy: *Jezus! Marya!* i osłupieli jak wryci... Wnet ktoś zawołał: *Łapać excessantów!* — a zatem hurmem wypadliśmy do ogrodu, na który okno potłuczone wychodziło, i rozbiegliśmy się tam na wszystkie strony. Ale cóż? noc ciemna, choć oko wykol, i deszcz puścił się gęsty; nogi u wszystkich niepewne; więc po śliskiej ziemi, każdy na pierwszym kroku, to upadł na grzędę i twarz sobie błotem oszpecił, to łeb o drzewo rozkwaśił, wstawał jednak i latał jak w żmurki grając. Wszyscy krzyczeli: *Łapaj! bierz! trzymaj! bij go! wciąż!* — nie wiedząc kogo. Chwytał jeden drugiego, a poznawszy się, puszczał, i znowu oba uwa polowali. Zamięszanie i zgiełk niewypowiedziany — istna wieża babilońska.

Nakoniec zapalono kilka pochodni, ale i to nic nie pomogło; posmalili tylko drzewa, i gdyby nie deszcz, możeby dworek zapalili. Ogródek dość obszerny, obity jest ostrokołem; widać więc, że pijanice jakowis, strześliwszy do okien naszych jak w ul, w tenże moment przeskoczyli ostrokół, i już byli daleko, gdyśmy ich szu-

kali; znaleźliśmy tylko pod płotem rożek z tabaką, i to cały *sukces* wyprawy.

Zmokli po próżnej bieżaninie, zebraliśmy się przecież do izby. P. Rudomina ledwo nie pękał ze złości, że w jego kwaterze taki traf spotkał wojewodę; przepraszał go pokornie, choć najmniej nie winien; raniutko nazajutrz miał manifestować, sam nie wiedząc kogo; a nakoniec, po wzajemnych najserdeczniejszych *expostulacyach*, wypiliśmy jeszcze po kielichu. Dziewki huknęły na honor pana wojewody:

To to pan, to to pan, to dobrodziej nasz!

A my jego słudzy,

Pijmy, jak i drudzy.

To to pan, to to pan, to dobrodziej nasz! ¹⁾

I rozpaliwszy pochodnie — poszliśmy do własnej kwatery.

V.

Pojedynek.

Nazajutrz przed wschodem słońca, wszedł do mnie pan Stanisław. — Panie bracie! panie Michale! — rzekł on, budząc mnie rozespanego — wstawaj! konie gotowe!

— Ależ mnie prędko powrócić trzeba: bo jak się

¹⁾ Dawna piosenka hulacka.

obudzi wojewoda, pewny jestem, że zaraz zawoła; tem bardziej, że dziś *reassumpcyą* sejmiku.

— Nu to, bratku, za kwadrans będziemy na miejscu. Wiem przez moich szpiegów, że Jeśpan szambelanic bez zawodu stanie na placu z kilku *adherentami*, nie będziemy więc długo czekać. Sama zaś sprawa... nie pociągnie... nadzieja w Bogu i w *Harasimie*.

Przypasałem więc i ja moją *Elzutkę* — szablę *Augustówkę*, którą mam w prezencie od pana Burzyńskiego, starosty brasławskiego, zięcia pana wojewody, i ruszyliśmy konno kłusem gościńcem wileńskim.

Przybywszy na wyznaczone miejsce, oddaliśmy konie kozakowi, który je o staję odprowadził. Pan Stanisław dobył *Harasima* i wbił go w ziemię, a z kieszeni dobył małą paczkę i położył ją na kamieniu.

— A to co? panie Stanisławie! — zapytałem.

— To, panie bracie, chleb razowy i pajęczyna: doświadczone szlacheckie *vulnerarium*. Każdy prawie szlachcic, wybierając się na sejmiki, ten raz przynajmniej obiera chatę z pajęczyny, i ma ją z sobą w zapasie na pogotowiu: bo w przypadku niespodzianym — (tu poprowadził palcem przez nos i gębę) — zaraz w kieszeni *remedium*, które i krew zatrzymuje, i w krótkim czasie tak leczy, że tylko kreska zostaje. Waś młody, panie bracie, więc słuchaj mnie starszego i bez pajęczyny nie jedź nigdy na sejmiki. A teraz, nim nadjadą, zmówmy tymczasem pod krzyżem poranne modlitewki.

Uklękliśmy więc przed figurą Pana Jezusa, i zaczęliśmy się modlić. — *Mea culpa! mea culpa! mea maxima culpa!* — wymawiał ze skruczą, bijąc się w piersi, pan

Stanisław — *ale niechże mnie strzelczykiem nie nazywa.*
Amen.

Powstał potem i przechadzał się, pokręcając węża i poglądając po drodze od Uszacza.

Wtenczas pierwszy raz przypatrzyłem się dobrze figurze pana Swiebody. — Miłyż Boże! pomyśliłem — nie znał człowieka szambelanic, i zaczął z nim sprawę, pewnie fatalną dla siebie. — Pan Swieboda urody nie wysokiej i przychromywa trochę na prawą nogę: bo na którymś sejmiku w piętę go podstrzelono. Na twarzy jego, dyabeł (jak to mówią) grał w stryszka: poszrotowana ospą i pokiereszowana kilką szramami od pałasza. Kiedy jeszcze, podjąwszy Harasima, nastroił marsa, uciekała odeń szlachta, jak od bazyliuszka. Kłębów pan Stanisław zupełnie niema, tak, że rapcie od pałasza nie mają na czem się trzymać, i musi je aż na pas zakładać, a pas znowu na ciemne haftki po żupanie zawieszać! ależ za to plecy! jak ława! a ręka, jak łopata! kiedy to ściśnie z całego affektu!... W pojedynku bije się z podjazdką i przysiadkiem, do czego noga troszkę podkrzywiona posługuje mu wysmienie. O swoich kresach na łbie i na twarzy rozpowiadać nie lubi; krótko zbywa, mówiąc: *Plażyłem ja, plażyli i mnie.*

Niezadługo ujrzeliśmy sześciu konnych, sadzących do nas nie gościńcem, ale przez pola i łąki, a przeskakujących rowy i płoty.

— Źle, panie bracie! — rzekł pan Stanisław — już podobno nie trzeźwi: lecą na manowce, jakby ich, Panie odpuść, szatan prowadził, i może wszyscy razem na mnie napadną. W takim razie ja oprę się o krzyż, i krzyżem ich przeżegnam; a ty, panie bracie, pilnuj tyłu.

Nie tak wszakże się stało. O kroków kilkanaście zsiadli z koni wszyscy, a sam jeden tylko szambelanic dobył szabli i bez pamięci leciał na pana Stanisława. Ten wyrwał z ziemi *Harasima*, podjechał z przysiadkiem; a kiedy to podjął się razem i dźwigał potężnie!... furknęła w powietrzu i odleciała precz szabla szambelanic, a sam z impetu padł jak długi na ziemię.

— A co? panie bracie! — rzekł pan Stanisław — *ustawaj na plecach rabić kryża nie budu.*

— Pogodzimy się, panie podczaszy! — rzekł powstając szambelanic. — Zgoda! zgoda! — krzyknęli jego sekundanci — masz satysfakcję, panie podczaszy! — Zgoda! panie Stanisławie! — rzekłem i ja. — No, to niechaj sobie i zgoda! — powtórzył pan Stanisław, chowając *Harasima* do pochew. — *A druhi raz, panie bracie, nie zaczepiaj strelczyka, bo Waszeci nastrelaje.*

Znowu krzyknęliśmy: Zgoda! — Uścisnęli się adwersarze, i wszyscy w najlepszej komitywie, dziękując Bogu, że obeszło się bez szwanku, wróciliśmy do miasteczka.

VI.

Sesya sejmikowa.

Pan wojewoda rozesłał już po mnie na wszystkie strony; lecz gdym stanął przed nim i opowiedział rację mojej nieobecności, gdy jeszcze ukazał się za mną i pan Stanisław, uścisnął nas obu i winał *wiktoryi*.

Trafililiśmy na same *consilium bellicum*. Był już pan podwojewodzi *Korsak*, pan *Rudomina*, pan *Szyryn*, pan *Podwiński* i kilku innych wojewodzińskich. Po wczorajszym zwłaszcza *excesie*, gdy podobne *periculum* powtórzyć się mogło, zdanie było wojewody i niektórych panów zgromadzonych na radę, aby rozłożyć milicję na cmentarzu około kościoła, i postawić szyldwachy przy drzwiach.

Już nawet rzekł do mnie wojewoda: Ojcze święty! biegaj do Piekarskiego, niech w pięknym moderunku wprowadza wojsko do miasta... kapela na przedzie.

— A któż będzie sejmikować? — odezwał się pan Podwiński — bo, mości wojewodo, ani pan podkomorzy, ani ktokolwiek ze szlachty jego partyi, ani nawet ja sam nie wstąpię nogą do kościoła, gdy ten wojskiem otoczony będzie. Choćbyś więc JWpan zagaił sejmik i obrał posłów, to nie będzie ani legalnie, ani z honorem pańskim; a rumor nieżycziwy, który już i tak się szerzy pomiędzy szlachtą, że JWpan chcesz *opressive* działać, zweryfikuje się *plenissime*, i już potem nie naprawić tego.

— Więc cóż robić? ojcze święty!

— Działać, mości wojewodo dobrodzieju, jak na zanego senatora i przewodnika województwa przystoi, a razem nie zaniedbać i ostrożności. Wprawdzie zawziętość przeciwników jest wielka, ale jednakże wczorajszy strzał nie jest bynajmniej z ich *insynuacyi*, bo obywatele zaci i uczciwi do takiej akcyi wcale niezdolni, i krzywdę im czyni, kto taką *suppozycję* na nich chowa; a w ogólności, u naszej poczciwej szlachty i u panów chrześcijańskich więcej wrzasku niż złości...

— Cóż w konkluzyi? ojcze święty!

— W konkluzyi, idź pan śmiało do kościoła i za-

siądź swoje senatorskie *stallum*; przywołaj do boku swego urzędników ziemskich i zagajaj sejmik. Dobrani i doświadczeni przyjaciele otoczą pana, a tak niczego lękać się nie będzie potrzeba.

Przystali wszyscy na tę mądrą radę pisarza; a zatem rzekł do nas z panem Stanisławem wojewoda: Ojcowie święci! wybierzcie sto szabel dowodnych i trzeźwych, i zasadźcie od wielkiego ołtarza; a gdy rozporządźcie wszystko, wasan, panie Stanisławie, zostań dla komendy, a waść, ojczyzna święty, powracaj tu do mojej asystencji.

Poszliśmy więc z panem Stanisławem do księdza przeora Dominikanów, w ich bowiem kościele miał się odbywać sejmik, i udawszy się z nim do kościoła, wynieśliśmy stamtąd z należytą *adoracją Sanctissimum* do klasztornej kaplicy; potem *in ordine* braci klasztornych stuknąwszy na śniadanie *crematum*, szliśmy wybierać gwardyę dla wojewody, klucze kościelne zabrawszy z sobą.

— Panie bracie! Panie Michale! — rzekł do mnie pan Stanisław — po co darmo mamy włóczyć się? Mam pod moją *manudukcyą* pięćdziesięciu *Porczyńskich*, cała okolica; chłopcy jak dęby; zajmę z nimi *prezbiterium*; uręczam, że dotrzymają *Zapończykom*, i że nikt, oprócz wojewody i urzędników, ani nosa za kratki nie potknie.

Dictum — factum. Zaczekałem z pół godziny na cmentarzu, i ujrzałem pana Stanisława, prowadzącego swoich *gracialistów*. Gorący hultajski bigos, którego na śniadanie cały kocioł zjedli, i miód grzany, którym so-wito zaleli, zaczerwienił ich twarze i nosy; idąc poważnie, ocierali tylko tłuste wąsy i spotniałe czupryny.

Przeciwnicy nasi, wyskakując z dworków, wołali: Swiebodeczuki! a dokąd? Swiebodeczuki! — Porczyńscy po-

glądali z pode łba, jak niedźwiedzie i ciągnęli spokojnie; ale wara do nich podstąpić!... lub dać zaczepkę!... bo jakby płał który!...

Zasadziwszy więc ich podług instrukcyi pana wojewody, od wielkiego ołtarza, otworzyłem nawścieżaj drzwi kościoła, a zamknąłem furtkę od zakrystyi i schowałem klucz w zanadrzu, aby na wszelki wypadek mieć wolną drogę do *rejterady*. Pan Stanisław został na komendzie, a ja poszedłem uwiadomić wojewodę.

Zatem ruszyliśmy do kościoła.

Pan wojewoda *magnificenter* wystąpił i dalipan po pańsku. Kontusz granatowy z sajety jak atlas, ze sznurami i kutasami złotymi; żupan materyalny, spięty karbunkulem na szyi, którego gdyby brat szlachcic dostał, miałby chleba na całe życie; pas bogaty w karpią łuskę, a złoto ciekło z frendlów; nakoniec wstęga błękitna Orła Białego, a gwiazda na piersiach i pałasz w jaszczur i blachy złociste oprawny. Wszystko to do pięknej figury pana wojewody raźnie przypadało. Pan to sudanny, ale nie suchy, białego lica, włosy nosi podstrzyżone, ale mu brzytwa koło łba nie chodzi; oko błękitne, wąsy z węgierska, suknie wszelkie nosi krótko, but jak obłany. A kiedy tak wystrojony i w dobrym humorze, podsunie się gracko do jakiej kobietki, to rośnie jak na drożdżach dobrodzika, a pani wojewodzina bez ustanku tabakę zażywa.

Za panem wojewodą szli nasi przyjaciele i urzędnicy ziemscy; ja tuż za nimi prowadziłem *circiter* trzysta szlachty, którym, jako i Swiebodczukom, po bigosie i pa-

lonym krupniczku ¹⁾ z łysin się kurzyło. Uspakajałem jak mogłem ich hałasy, gromiłem przechwałki; i słuchali mnie, bo znając prawie każdego *de nomine et cognomine* i sustentując ich hojnie, zjednałem sobie między nimi wielką *konsyderacyę*.

Podchodząc pod kościół, usłyszeliśmy okrutną tam wrzawę; a nakoniec, gdyśmy wchodzić mieli, Junosza, znajomy nam zapończyk, wrzasnął na całe gardło:

— Kiedy nas wasz Twardowski (tak oni przezwali pana Stanisława, podrażniając jego chromotę) nie puszcza za kratki, to my was do kościoła nie wpuszczam i zamknę drzwiami przed nosem.

Jakoż zatrzęsnał drzwiami kościelne i drągiem zewnątrz zawalił.

W kościele do większej jeszcze przychodziło wrzawy. Lękaliśmy się, aby nie okrwawiono domu Bożego. Ale nie domyślali się panowie zapończyki, że ja mam w kieszeni sposób wejścia do kościoła i bez ich łaski; podałem więc klucz od zakrystyi wojewodzie.

— Ojczyści! masz rozum — rzekł on. — Chciałem mu przypomnieć *infimę*, ałem właśnie postrzegł, że byłem w paliowym atłasowym żupanie.

Raptem więc ukazaliśmy się w kościele między naszą swiebodzińską gromadką. Zapończyki *opstupuerunt*, ujrzawszy nas jak z nieba spadłych.

— Zdrada! zdrada! — krzyczał pijany Junosza — Twardowskiemu dyabeł sekunduje!

— A ty, heretyku przeklęty! — krzyknąłem przystępując doń impetycznie — w domu Bożym o dyable

¹⁾ Krupniczek, wódka palona z miodem i różnemi korzennemi zaprawami.

tobie wspominać! Czekaj! idę wraz do Dominikanów i donoszę im twoje bluźnierstwa. Oni ciebie wyklną, a my upieczem na stosie, jak raka. — A toż, mości panowie, sklepienie kościelne na nas zapadnie, kiedy będziemy między sobą chować tego niedowiarka. — Precz z domu Bożego! precz!

I śmiało przeszedłszy kościół, odsunąłem drąg i otworzyłem drzwi, jakby dla wywleczenia Junoszy, ale on od swoich nawet łajany, opuścił uszy i schował się gdzieś pod ambonę, a tymczasem przez otwarte drzwi wwalili się hurmem nasi i wśród nich wetowani bez miłosierdzia panowie Sielicy, Nornicy i ich adherenci, którzy trafili pod kościół wtenczas, gdy przede drzwiami stała rozgniewana nasza szlachta, obwiniająca ich o promotorstwo w uczynku Junoszy, lubo ich i obecnych nie było.

Otóż to zaczął się hałas i rwetes, kiedy się kościół już napełnił. Boże zlituj się! Myślałem, że nie trafim już do końca.

Nie czekając *reasumpcyi* sejmiku, podkomorscy krzyczeli: Prosimy na posłów pana *Sielickiego* i pana *Reuta!* Wiwat pan *Sielicki* i pan *Reut!* — Nasi wrzeszczeli: Wiwat pan *Sulistrowski* i pan *Brzostowski!* Posłowie województwa połockiego!

— A gdzież on? ten pan Sulistrowski? — zapytywali.

— W antypodach! — z przygryzkiem odpowiadali inni.

Wtem pan Stanisław ukazał się z nagłą na kratkach i wrzasnął okrutnie: Prosimy naprzód spalić heretyka

Junoszę! kto w Boga wierzy, *pal!* bo kiedy heretyków żywić będziemy, sami marnie poginiem.

Więc wszyscy Porczyńscy krzyknęli: Palić heretyka! palić!

Spojrzałem w oczy panu Stanisławowi. — *Stemus simul!* — rzekł on do mnie — popieraj moją propozycję, panie bracie!

I znowu zaczął perorować: Kto z kim przestaje, takim się sam staje; więc i my, mości panowie, mając społeczeństwo z heretykiem, sami nie ujdziem herezyi. Do niczego zatem nie przystępuję, nim ta materya skonkludowaną nie będzie. To materya *status*, gdzie idzie o zbawienie duszy!

Znowu więc wrzask: Spalić Junoszę!

Zrozumiałem ja o co idzie panu Stanisławowi, więc krzyknąłem: Nie pozwalam! Junosza nietylko heretyk, ale i czarownik. Sam byłem świadkiem, jak raz wypił trzy garnce tęgiego trojniaku i nie upił się. To nie w swój duch! to czary! to nie żarty! Ale po sprawiedliwości, trzeba, aby był wprzód *jure victus*; a zatem spławić go należy. Ja znam cały *proceder* tej operacyi, bo już cztery baby pławiłem; proszę zatem o *exhibycję* osoby czarownika, a ja go *ex nunc solita praxi* spławię na...

— Jeżeli potonie, to i wyciągać nie potrzeba, bo heretyk, a jeżeli pływać będzie po wierzchu, to czarownik. I na to *spectaculum* wszystkich panów braci szlachtę i dobrodziejów zapraszam.

— Niema zgody! — krzyczał Swieboda i Swiebodzińscy. — Na co te ceremonie z heretykami? *Pal!* kto w Boga wierzy, *pal!*

— Pławić! — krzyczałem ja i dawałem znak moim wojewodzińskim, którzy ryknęli, że aż kościół zatrzęsł

się. — Pławić czarownika Junoszę! po świętej sprawiedliwości, pławić!

Panowie urzędnicy patrzali na nas z podziwieniem.

— Ojcowie święci! — rzekł wojewoda — czyście poszaleli?

— Nie bój się pan — szepnął mu pan Stanisław — nie spalim, tylko wykurzym tego burdę i opoja. A krzyczał głośno: Czy palić, czy pławić, zawsze naprzód prosimy o *extradycyę* Junoszy... a kto go bronić będzie, ten sam potępieniec!

A ja krzyczałem: Zapraszam panów braci na pławienie!

Junosza coś wrzeszczał i dąsał się pod amboną, ale nikt go nie słyszał; a gdy jeszcze któryś z jego sąsiadów Zapończyków krzyknął:

— To ciekawe *spectaculum* pławienie czarownika! na życiu mojem tego nie widziałem. Wiecie co? mości panowie! dajmy Junosza na próbę.

Widząc on zatem, że gotowi dla samej ciekawości wydać go na *stracenie*, chyłkiem poza filary wycisnął się z tłumu i uciekł z kościoła.

Tymczasem pan Podwiński pisał a pisał. Pan wojewoda chociaż po kilka razy wstawał i zaczynał swoje: ojcowie święci!... ale zagłuszony zawsze naszym wraskiem, usiadał znowu i czekał, aż pan Podwiński dał znak głową, że już skończył. Wtenczas powstał pan wojewoda dla *reassumpcyi* sejmiku; a że Jezuici nie wyśpieszyli oracyi, chociaż dwa razy do nich do Połocka posyłano, a *elokwencya* pana wojewody *ex abrupto*, niezawołana,

przeto powtórzywszy znowu: Ojcowie święci! panowie bracia i dobrodzieje! — dodał tylko — pokornie suplikuje wysłuchać *reassumpcyi* naszego poselskiego sejmiku, zapisanej przez godnego urzędnika ziemskiego wielmożnego pisarza Podwińskiego, *cum laudo circa securitatem publicam*, na którem rozumiem, iż zajdzie całego prześwietnego województwa.

— Co za *laudum*? jakie *laudum*? — odezwali się Sieliccy. — Na żadne niema zgody.

— Otóż wysłuchajcie naprzód jakie *laudum* — rzekł powstając pan pisarz — bo teraz krzyczycie, nie wiedząc o co.

Promotor ich wszystkich podkomorzy, konsyderując pisarza, równie jako i wojewoda; a rozumiejąc go być swoim, tak jak my rozumieliśmy go być naszym, skinął ręką na swoich, to i cicho.

Odczytał zatem spokojnie pan pisarz swoją *reassumpcyę* i *laudam*, w którem wyrażał: aby każdy, kto by *in tractu* obrad w kościele dobył szabli, uznanym był *tanquam contumax* i jako taki wnet z koła sejmujących był wyłączonym.

— Jakto? — wrzasnęli Zapończyki — a na cóż u licha szabla, gdy jej wyjmować nie można? Panie pisarzu! przyczep sobie łuczywo do boku. Panie wojewodo! każ kurki poodkręcać od muszkietów u swoich żołnierzy, to my wtenczas szable odpaszem. Pan Podwiński *skorumpowany!* niema zgody!

A więc znowu sprzeczki między starszyzną za kratkami, a zwady i krzyki po całym kościele... gdy nagle odgłos trąbki pocztarskiej rozległ się przed kościołem... Umilkła wrzawa, wszyscy zdumieni obrócili oczy na

drzwi, w których wnet ukazał się pan Alojzy *Sulistrowski*, pisarz wielki litewski.

Szlachta nasza połocka jego nie znała: bo on *de radice* oszmańczuk: ma tam swoje dobra *Szemetowszczyznę*, *Wiszniew*, *Czurlonie*, do których zawsze zajeżdżamy z panem wojewodą, jadąc do Wilna. Lecz że tak wypadło z wyższych *intencyi*, aby z Oszmiańskiego posłami byli pan *Kocięł* i pan *Bieńkuński*, więc pan pisarz wielki litewski, mający w połoskiem województwie jakiś folwark, postanowił stąd posłować i napisał wcześniej o tem do wojewody.

Wielki *rumor* się zrobił na jego widok. Zostawiono mu szeroką lukę aż do kratek, wśród której postępując, kłaniał się on na wszystkie strony. A wiadomość, kto on jest, rozbiegła się wnet po kościele, jak równie, że przybywa z Warszawy.

Nie wysoka to kreatura pan *Sulistrowski*, ależ głowa! mądra, że na bok i nasz pan *Podwiński*. Niema on i nie stara się o popularność między szlachtą, a nawet go szlachta oszmiańska nie lubi, bo jak pokaże się na sejmikach, to już i po sejmikach. Bez *oracyów*, bez *argumentów* i *traktamentów*, tak wszystko pięknie na osobnych z każdym kandydatem *konferencyach* ukartuje, że ani się postrzegą, jak zawziętość zniknie, pokój święty następuje, a *stolla* i urzęda biorą jednomyślnie ambijenci, o których przed sejmikami sam tylko pan *Sulistrowski* wiedział, a szlachtom ani się śniło! Powracają więc potem spuściwszy nosy na kwintę, do domów, i przeklinają *Sulistrowskiego*, że ten intrygant i *farmazan* skończył *inspe-rate* sejmiki, a ich przed czasem od szabli i miodu do sochy i wody odprawił. Przyszedłszy do stołu pan *Sulistrowski*, uściśnął poufale pana wojewodę, przywitał się

grzecznie ze wszystkimi i wyjął z zanadry list, zapieczętowany wielką białą pieczęcią, oddał go panu wojewodzie, mówiąc: »*Od Króla Jego Mości*«.

Pan wojewoda, dostawszy listu z koperty i przebiegłszy go: Ojcowie święci, panowie bracia i dobrodzieje! — rzekł — ponieważ pismo Miłościwego pana bardziej się tycze całego naszego województwa, aniżeli mnie samego, przeto odczytam je głośno.

Ciekawie wszyscy nadstawili uszy, i z owego krzykliwego zgiełku nastąpiło milczenie, jakby anioł przeleciał. Czytał zatem głośno pan wojewoda *ut sequitur*, bom zaraz sobie ten list *copiatim* przepisał. To nie żart! list od *koronata*!

»Wielmożny uprzejmie nam miły!

»Nadchodzi czas wyboru posłów ziemskich na sejm przysły, prawem oznaczony. Prześwietne województwo połockie posiada zapewne w gronie swoim mężów, których światło i miłość dobra publicznego odpowiedzieć godnie może oczekiwaniu i troskliwości Naszej królewskiej; lecz dogodziłoby się życzeniom naszym, aby z tego województwa W. Alojzy Sulistrowski, pisarz wielki litewski, i urodzony Michał Brzostowski, posłami obranymi byli. Oświadczyć Uprzejmość Wasza to życzenie Nasze prześwietnemu województwu połockiemu, na sejmik zgromadzonemu, i razem łaskę naszą królewską. Dobrego przytem zdrowia Uprzejmości Waszej od Boga życzymy«.

Po odczytaniu znowu było milczenie; aż ktoś z ławek odezwał się: Łaska pańska na pstrym koniu jeździ! A tem jakby pobudzony powstał pan podkomorzy Sielicki, zabrał głos i rzekł:

— *Salvo respectu* pismu Najjaśniejszego pana; uważ-

żam jednak, że takowe jest *in praejudicium* prerogatywy naszej szlacheckiej, obierania urzędników po naszej woli. Gdy ja z ojców, dziadów i pradziadów moich, odwieczny *civis et servus* tego prześwieznego województwa i każdego z braci szlachty *ausus sum* funkcję poselską na przyszły da Bóg sejm piastować i o takową dopraszam się. Przeto pokładając nadzieję w waszych braterskich *affektach* (tu kłaniał się na wszystkie strony), nie odstępuję *ambijencyi*, i godnego ze wszech miar JW. pisarza litewskiego, acz przez majestat *promowowanego*, na wota proszę.

Pan *Sulistrowski* stał spokojnie, nic nie odpowiadał, tylko pokręcał wąsika; a szlachta krzyczała: Prosimy pana *Sielickiego*!

Wrzawę przerwał pan Stanisław, wrzasnąwszy: Oto *Reverendissimus Reut* z kazaniem: Bo też zjawił się na ambonie pan Reut. Obrócili się wszyscy do ambony, a pan Reut tak perorował:

— Bracia szlachta! ja wasz brat szlachcic! a szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie! to wszystkim wiadomo; a co do króla Jegomości, to on w Warszawie, a my w Uszaczu. Pan kasztelanic senatorowicz, a ja łowczyc z Amtorowicz (tak się nazywa folwareczek pana *Reuta*), i kto z nas nie będzie posłem, to niech p... zje w kaszy, a zostanie tym, co zostanie. *Dixi*.

— Brawo! — krzyknęła szlachta — brawo! Wiwat pan *Reut*! wiwat pan łowczyc poseł nasz! wiwat!

— Prosimy pana wojewodę o wota. Kandydaci wiadomi — odezwała się przeciwna nam starszyzna. I moment był krytyczny: bo nasi także przebąkiwali, szczególnie przeciw panu *Sulistrowskiemu*: Na co nam oszmańcuka, kiedy mamy własnych?

Poznał on, na co się zanosi; szepnął więc na ucho panu wojewodzie; a ten się odezwał: Ojcowie święci! spóźniona pora; sejmik jest *reassumowanym*; odwołuję więc sesyę na jutro.

— Niema zgody! — krzyknęli *ex opposito* — niema zgody! *Pluralitas* widoczna — dodał pan *Sielicki* — więc albo niech panowie współambijenci nasi dobrowolnie odstąpią, albo, mości wojewodo, prosimy przystąpić do wotowania.

Zawrzało wtenczas jak w garnku. Nasi krzyczeli, że sesya odwołana do jutra. Głuszyli nas przeciwnicy, wrzeszcząc: Panie wojewodo! dawaj *kalkuły*. Wiwat pan *Sielicki* i pan *Reut*!

Rady już żadnej nie było. Znowu rzekł pan wojewoda: Ojcowie święci! odwoławszy sesyę, nie mam tu nic do czynienia. — I zabierał się do wyjścia tędy, kędy i wszedł, to jest przez zakrystyę.

Pan *Sielicki* oświadczył zatem, że w takim razie obiorą sobie marszałka, lub sam, jako podkomorzy, kontynuować będzie obrady.

— *Quo jure?* ojczy święty!...

Bliziuteńką już zwadę przerwał pan *Sulistrowski*; zbliżył się on do pana *Sielickiego* i rzekł po swojemu, to jest z cicha i skromnie:

— Racz, mości podkomorzy, zgodzić się na odkład sesyi do jutra; dogodzić się przez to może życzeniom Najjaśniejszego pana, który przezemnie samego teraz przesyła panu dowód swej łaski pańskiej i nagrodę obywatelskich jego zasług.

— Cóż takiego? — zapytał podkomorzy.

— Nie czas to, ani miejsce tłumaczenia rzeczy waż-

nej, wśród takiego tłumu; ale proszę mi ufać, a nie po-
żałujesz pan tego.

Sielicki zaczął miękcieć i konferować ze swoimi. Szlachta, nie wiedząca o niczem, wrzeszczała jednak... Aż pan Stanisław znowu zjawił się na kratkach i krzyknął z całego gardła: *Panie Mateuszu! a prowadź waszeć!* I wnet znowu w tłum się schował.

— Na jakiego Mateusza wołasz? — zapytałem.

— Na każdego, który tu jest, panie bracie! Obaczysz skutku.

Jakoż zrobił się wnet ruch między szlachtą. Z pięciu czy więcej znalazło się *Mateuszów*, a każdy rozumiejąc, że to na niego wołano, i że tem samem uważanym jest promotorem swojej gromady, chciał dotrzymać takowej *preponderacyi*; zwoływał więc, gromadził, popychał, gospodarzył, a nakoniec któryś z nich podjąwszy czapkę w górę, zawołał: Na obiad! Mości panowie! na krupnik i na pieczenie! mości panowie!

Podobała się propozycya. — Na pieczenie! — huknęła ochotnie bracia szlachta, zapomniawszy sejmikowych kłótni; i *Mateusze* wraz większą połowę tłumu wyprowadzili z kościoła.

— Ojcowie święci! — rzekł wojewoda — piszę się na ten projekt, i zacnego naszego gościa, a przy nim i całe koło prześwietnych urzędników na obiadek pokornie proszę.

Ciekawy obiecanych dla siebie łask królewskich, zgodził się po niejakiem *molestacyi* i podkomorzy, więc wszyscy hurmem wyszliśmy z kościoła, i wnet cały *Uszcz* zajądał pieczenie.

VII.

Obiad u pana wojewody.

Tłum się u nas zebrało gości. Ponieważ przyszedł i pan *Sielicki* podkomorzy, naczelnik naszych oppozytorów, więc za nim przyszli i panowie *Norniccy* i *Przesieccy* i pan *Reut* i kilku niższego chóru braci szlachty z ich partyj. Wszystkich najuprzejmiej witał wojewoda, a każdy pytał się ciekawie o nowiny z Warszawy, szczególnie jakie to *fawory* królewskie ma osiągnąć podkomorzy?

Dogadzając więc tej ciekawości okoliczników, pan pan Stanisław szepnął pod sekretem na ucho któremuś, że podobno król Jegomość wysłał pana podkomorzego posłem do Turek, a cały trakt zapoński wyznacza mu na asystencyą i *sumpt* własny ma *spendować*.

— Czy to aż za morze? moiści dobrodzieju — zapytał cicho szlachcic.

— Naturalnie, panie bracie, że suchą nogą tam nie dojdiesz.

— Da pani podkomorzyna nigdy na to nie pozwoli — rzekł szlachcic, widać domowy *famulus* pana *Sielickiego*. I pokręciwszy głową, wymknął się cichaczem za drzwi, z nowinką do braci.

Tymczasem uważałem, że pan *Sulistrowski* unikał podkomorzego, a z panem wojewodą w alkierzu długą miał *konferencyę*. Dobry sługa powinien zgadywać myśl pańską, więc i ja, aby nie zważano na to, kazałem roznieść wódeczkę.

Gdy wyszli z alkierza, szepnął mi wojewoda: Ojcie święty! trąby do sieni, a Piekarski niech będzie gotów na dziedzińcu, gdy usłyszysz trąby — *Apel!*

Nie zważając niby na polecenie, stuknąłem moją laską marszałkowską przed wojewodą i rzekłem z tęgą miną: Waza na stole! — Zasiadano więc do obiadu, a ja się wymknąłem tymczasem za drzwi i zaordynowałem wszystko podług dyspozycji pańskiej.

Obok pana wojewody usiadał z prawej ręki pan pisarz litewski, a z lewej, pan podkomorzy *Sielicki*. Pełniąc moją powinność, obchodziłem stół dokoła, pilnując porządku i zbliżając się często do wojewody, a nuż czego nie rozkaże?

Jakoż pod koniec obiadu rzekł on do mnie: Ojcie święty! *Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj*. Ja tylko jeden zrozumiałem co to znaczy. Jest w sklepie wojewody *kapitałne* stare francuskie wino, które pachnie chlebem razowym; od zapachu więc tego nazwał on je *chlebem powszednim*, choć *a festis* tylko i na dobitkę podawać go każe. Miałem ja wprowadzić między moją prowizją sejmikową kilkanaście gąsiorków i tego *chleba powszedniego*, ale schowałem je aż w kominie w alkierzu: bo zrozumiałem, że sejmikowa sprawa obejdzie się i bez tego *specyału*. Poznałem zatem po zakroju, że coś ważnego nastąpi, gdy od tego zaczynamy, na czem zazwyczaj kończyliśmy.

Wybrawszy więc kielich średniej miary (bo największy połknąłby dwa razem gąsiorki), podniosłem go na tacy

województwie, a hajduki nieśli za mną *chleb powszedni*. Powstał pan wojewoda, i ująwszy nalany z pełna: Zdrowie! — rzekł — JW. Sielickiego. Przestał, a potem dobitnie zawołał: Kasztelana województwa połockiego. — Spojrzał zdziwiony pan *Sielicki*, obrócili się wszyscy ku wojewodzie; ten stał nie spełniając jeszcze kielicha; a wtem powstał pan Sulistrowski i rzekł, dostając z zanadry znowu wielki list, jeszcze z większą białą pieczęcią: *Król Jegomość*, pragnąc dać tobie, mości podkomorzy, dowód swej łaski pańskiej, i nagrodzić *merita* twoje, powołuje cię do boku swego i *konferuje* wakujące krzesło senatorskie kasztelanii tego prześwietnego województwa. Przywilej Najjaśniejszego pana składam więc w ręce twoje, mości wojewodo połocki, abys jako *princeps nobilitatis* w województwie, oddał dziś swemu od dziś dnia koledze, JW. kasztelanowi połockiemu.

Jakoż pan wojewoda przyjąwszy papier ten od pana Sulistrowskiego, odpieczętował, wyjął przywilej, i jedną ręką oddając go panu *Sielickiemu*, drugą podniósł w górę kielich i krzyknął:

— Wiwat kasztelan połocki! wiwat! Apell... — i wypił.

Zabrzmiały trąby i kotły, a razem Piekarski dał salwę na dziedzińcu.

Pan Sielicki jak osłupiały stał, trzymając przywilej w rękę, a łzy mu po twarzy grochem się sypnęły.

Kielich przyjął od wojewody pan *Sulistrowski* i też same powtórzył słowa zdrowie; więc znowu trąby i salwa; szło tak dalej i dalej, gdy pan Sielicki octerając z łez twarz i wąsy, rzekł do mnie: Panie marszałku! proszę o kielich. — Podałem nalany.

Jeszcze gęściej łązy mu się potoczyły, gdy chciał mówić oracyę na podziękowanie za tę niespodziewaną godność. Proszę uniżenie? nie płakałby tak rzewnie, gdyby mu fortunę odebrano! Co to znaczy wdzięczność w poczciwym sercu! bo lubo był zawsze naszym przeciwnikiem, jednak *quod jure, juste*, powiedzieć trzeba, że pan Sielicki zacny człek i godny obywatel.

Ledwie więc wymówić mógł on, i niedosłyszałem jego *kongratulacyi*; skończył głośniejsz i zrozumialej; bo wnosząc zdrowie JW. Sulistrowskiego, godnego dygnitarza, a przyszłego posła województwa połockiego. — *Wiwat!* — wykrzyknęliśmy wszyscy huczno. Od trąb i salw aż okna drżały. Pan *Sulistrowski* podług zwyczaju swego nie mówił wiele, tylko się uprzejmie kłaniał, uśmiechał i wąsiki pokręcał.

Podąłem więcej kielichów, każdy chwycił je, i szły gęste wiwaty, poplątane razem i dla nowego kasztelana, i dla przyszłego posła. Jeden pan Reut, siedzący pod końcem stołu, nie powstał i nie łączył się do naszej ochoty, a siedząc nad kulszą indyka, pokręcał tylko głową; ale gdy kto z tłumu wykrzyknął: Zdrowie pana *Brzostowskiego*, drugiego posła naszego! Pan *Reut* nie dotrzymał i zapytał: Cóż to? mości panowie! czy już po sejmikach, że obwoływacie posłów?

Nie słyszano w tłumie tej *tanquam* protestacyi jego, ale pan Stanisław siedzący naprzeciw, spojrzawszy nań z podełba, i z zicha ale dobitnie rzekł: *Chapaj Reut miasa!* — Coby z tych *allokucyi* między nimi wynikło? możeby przyszło znowu do *Harasima*, bo i pan *Reut*, nie daje sobie grać po nosie; ale kłaniając się uprzejmie wszystkim, pan *Sulistrowski* nie spuszczał z oka nikogo; postrzegł on już pierwej, że pan *Reut* nie przyjął poda-

wanego przezemnie kielicha, i poznał widać po minie co się święci. Nieznacznie więc przechodząc tłum, zbliżył się do pana *Podwińskiego*, szepnął mu coś na ucho; ten znowu zbliżył się do pana *Reuta*, szeptał mu długo i poprowadził go za sobą do alkierza, do którego wszedł wprzód pan *Sulistrowski*.

Pan Stanisław mrugnął na mnie, ja na niego, i gdym się doń zbliżył, rzekł do mnie zcicha: Oj! panie bracie! na ciężką *konfessatę* wzięty nasz *reverendissimus* kaznodzieja i poeta!

— Dotrzyma — odpowiedziałem. — Oho! to łeb *Scholarum Piarum!*

— A mnie się zdaje, panie bracie, że teraz właśnie jedzą kaszę, do której pan *Sulistrowski* p... wrzucił. Pamiętajsz koniec Reutowskiego kazania?...

Nikt tych obrotów i manewrów prócz nas nie *zobserwował*; więc zdziwienie było powszechne, gdy po krótkiej chwili ukazali się z alkierza pod ręce wzięwszy się ci *tandem* przeciwnicy; a pan *Sulistrowski* z uśmiechem na twarzy, i pokręcając zawsze wąsiki, prawdę mówiąc, jakby drwinki sobie stroił z naszych sejmikowych zawziętości.

— Mości kasztelanicu! — rzekłem do pana *Brzostowskiego* — podziękuj pan zacnemu swemu współamentowi, który się zrzeka i odstępuje swoich zamiarów.

— O, to czarownik! — rzekłem do pana Stanisława. — Czy *inkluzę* ma jaką przy sobie?

— O! ma, ma, panie bracie! ma inkluzę i nosi ją tu — odpowiedział stukając palcem do łba.

Jakoż ściskali się jawnym affektem pan *Brzostowski* z panem koniuszycem; a pan wojewoda patrząc na to, rzekł:

— Ojcowie święci! gdy tak przez szczęśliwą *influencyę* pana pisarza litewskiego wszystko nam się składa zgodnie, najstosowniejszy zatem będzie kielich: Wiwat pan *Sielicki poseł turecki!* Wiwat!

Zdziwieni wszyscy, oprócz mnie i pana Stanisława, pytali co to ma znaczyć? Szlachta cisnęła się do okien i do sieni, i nie przestawała krzycheć podrzucając czapki w górę: *Wiwat poseł turecki!* Pojedziemy wszyscy za nim do Turek, choćby i za kraj świata!

Podstąpiłem do wojewody i wytłomaczyłem mu cicho figiel pana Stanisława; zmarszczył się nieco, ale wnet, nie dając czasu do rozwagi: Pójdźmy — rzekł — ojcowie święci, na ganek, ogłosim zbałamuconym braciom szlachtom nowe dostojęństwo pana kasztelana połockiego, i z nimi razem powtórzemy: *kochajmy się!* — Więc wszyscy hurmem za panem wojewodą wychodzimy na ganek.

Dziedziniec dworku tego, w którym mieszkaliśmy, był dość obszerny. Na środku Piekarski stał w szyku frontem ku nam; flinty błyszczały rzędem jak dudy od organów. Podeszedłem do niego.

— Prezentuj broń! — krzyknął on, ujrawszy na ganku wojewodę, i machnął pałaszem na dwa tempy — udało się. Potem: Do nogi broń! — to nie bardzo kupno poszło. — A teraz nabijać? — ale zagniewany Piekarski, że nie rażno spuścili broń do nogi, dodał z cicha:

— No, poczekajcie tylko!... — Więc zaczęli poczekiwać. Piekarski znowu: A nabijajcież! niech was piorun trzaśnie! — więc nabili. — Gotowe? Gotowe! — To znowu: na ramię broń! — i stoją, czekając hasła.

Tymczasem pan wojewoda, do którego i ja wróci-

łem, na ganku perorował, i ogłaszał przed szlachtą kasztelaństwo pana *Sielickiego* obok z nim stojącego. Więc na skinienie pańskie wykocić wnet kazałem między tłum kilka beczek miodu i toczyć do cebrów. Nie trzeba się było troszczyć czem pić będą, bo wszystkie z całego *Uszacza* półgarncówki, kwarty i kwaterki żydowskie były w kieszeniach u braci szlachty, a niektórzy nawet z domu cynowe kubki na sejmiki przywieźli. Zaczęli się więc hojnie raczyć naszym miodkiem.

Pan wojewoda kończąc oracyę, w której prawdę mówiąc, najczęściej było słyhać »ojcowie święci«, a której słuchała szlachta z otwartemi gębami: Wypijmyż — rzekł — zdrowie nowego senatora JW. Kasztelana połockiego! Apel!... — Piekarski komenderuje: *tou! tuj!* kurki *traf traf!* a szlachta posłyszawszy to, odbiegła od frontu i uczyniła próżne miejsce między żołnierzami a gankiem — *Cel! Pal!*... jak orzech zgryźli. — *Wiwat!* — krzyknęła szlachta — kasztelan połocki, a razem i poseł turecki! taki pojedziem z nim do Tureczyny. — Znowu Apel! i znowu *rrum!* Gracko! Dawszy czas do nabicia rozochocony wojewoda zakomenderował raz trzeci *Apel!*... Jeden strzał zaciągnął... coś mi świsnęło koło ucha... coś brzęknęło obok... a wojewoda posłonił się aż na mnie... Wnet się odwrócił i rzekł do kompanii: Proszę się bawić... — a do mnie: Ojcze święty! za mną. Wszedł raptownie aż do drugiego pokoju i rozdarł żupan... krew polała się potokiem..., aż mi się w oczach zaćmiło i nogi mi odjęło, tak się przeląknem.

— Ojcze święty! ratuj! widzisz, zabić mnie chciano! — Ja drżałem jak osina i krzyknąłem bez przytomności: Gwałtu! ratujcie! — Cicho! — przerwał mi wojewoda — czy sfiksowałeś? Wołaj natychmiast Pawła felczera,

a sam jedź co najprędzej do Połocka po księdza Grubera, doktora zgromadzenia księży Jezuitów.

Wyleciałem jak szalony, szczęściem znalazłem felczera w kuchni, posłałem go, a sam w kilka minut już byłem na wozie, rozkazawszy rozstawić konie na pół drogi.

Wyjechałem trzema tęgiemi końmi; ale że tu właśnie było *periculum in mora*, więc parłem jak opętany. Pod Połockiem o milę, koń padł; odciąłem postronki i dalej... przyleciałem.

Ksiądz doktor, zabrawszy natychmiast swoją podróżną apteczkę, siadł ze mną na brykę, którą mi już ojcowie Jezuitów dali; w pół drogi znaleźliśmy gotowe, czekające na nas konie, i tak dostawiłem jeszcze przed północą doktora tego sławnego do Uszacza.

Bo też to sławny doktor na cały świat: *alchymik, astrolog, fizykus*; a gdyby nie był Jezuitą i bardzo pobożnym kapłanem, toby go pewnie za czarownika miano. On zrobił (i teraz można widzieć u nich w refektarzu) głowę staruszka gadającą. Powiadają, że z tyłu za murem siedzi Jezuita, i odpowiada na wszelkie pytania, które staruszkowi zadają; ale i staruszek gębą i oczami rusza, tak, że przysiągłbyś, że on sam gada.

Cały Połock zawsze pełny chorych, a szczególnie podstarzałych dewotek, które razem i peregrynacją do ś. Bobolego, i kurycę u księdza doktora odbywają.

Gdyśmy przybyli, znaleźliśmy już pięć grankulek na stole, które felczer wyjął z ramienia wojewody; siedm odbiło się od gwiazdy orderowej, na szczęście lanej ze srebra, siedm kołków na niej zostawiając. Gdyby nie ta gwiazda na piersiach, grankulki byłyby w sercu, a panu wojewodzie *amen*.

Wojewoda cierpiał bardzo; krew z ran się dobywała, choć pan Stanisław zalepił je chlebem razowym i pajęczyną. Ksiądz doktor odrzucił to wszystko, a jak zalał jakimś olejkiem, wnet i ból ulżył, i krew się zatomowała zupełnie, a zatem i wesołość na twarz raniotnemu wróciła. Jednak zabronił *pater* wojewodzie sejmikować. Zrozumieliśmy, że pod *allegoryą* zabraniał wiwatów: bo chory chciał zaraz jeden spełnić za zdrowie doktora, gdy mu on zaręczał, że za parę tygodni zdrowiuteńki będzie; choć pan Stanisław dowodził mi, że gdyby ten Niemiec nie odrzucił jego pajęczyny, byłby wojewoda zdrow za parę tygodni i mógłby przytem śmiało ciągnąć *chleb powszedni*.

Winowajcę wnet odkrył *Piekarski*: bo jako tęgi oficer, dostrzegł on, który z gemejnow zaciągnął w strzale. Schwycił go więc na gorącym uczynku i zrewidował ładownicę; a ponieważ dał był każdemu dla *wszystkiego* po jednym ładunku z grubym wilczym szrotem, a u niego nie znalazł tego ładunku, więc czysta *konkluzya*, że on był winowajcą, do czego i przyznał się bez męki, dodając, że grankulki przyniósł już z domu. Ale go rozum odstąpił; bo gdyby osobny sobie zrobił ładunek, trudno byłoby dojść prawdy.

Zatem wszyscy się uspakajali, że to nie szlachcie żaden, ale własny poddany wojewodziński takowego excessu się dopuścił; a tak żadnych już suspicyj na sejmikową zawziętość nie było; owszem, wczorajsze nawet po waltorniach strzały, na żołnierzy składano.

Sejmiki nazajutrz zakończyły się cichuteńko. Pan Sulistrowski, pewny już swojego, raniuteńko pożegnał wojewodę i wszystkich panów, urzędników, obchodząc ich od kwatery do kościoła pod łaską nowego już sena-

tora pana kasztelana Sielickiego, który jako *locum tenens* wojewody, zagaiwszy sessyę, zapytał trzykrotnie o zgodę na panów *Sulistrowskiego* i *Brzostowskiego*, jako posłów województwa połockiego na sejm, szlachta krzyknęła za każdym razem: Zgoda — i na końcu: *Wiwat!*

Ichmość *electi* wzięwszy się pod ręce, przechodzili po kościele, kłaniając się pięknie na wszystkie strony. Wtem odezwała się znowu trąbka pocztowa przed kościołem. Pan *Sulistrowski* uściskał kolegę w babinę, poprosił go, aby przywiózł z sobą do Warszawy instrukcyę województwa, pokręcił wąsików, uśmiechnął się wesoło, ukłonił się jeszcze raz wszystkim grzecznie, siadł do koczka i tyle my jego widzieli.

Ale co dziwno było wszystkim, że z nim siadł i pan *Reut*, niedawno tak zawzięty przeciwnik. Teraz dowiadujemy się, że pan pisarz litewski zawiózł go do dóbr swoich w Oszmiańskie i tam ożenił z panną Czechowiczówną, krewną swoją, bogatą i piękną jedynaczką, sam nawet spendując koszt na huczne w Szemetowszczyźnie wesele. Dajże Boże, aby pan łowczy, nie zostawszy posłem, podług własnego kazania, nie stracił p. *in connubio* i nie został tym, co zostanie.

VIII.

Po sejmikach.

Otóż to takie odbyliśmy sejmiki. Siedzimy teraz w domu. Pan wojewoda zdrów; nosi w kiesce zamiast

sporyszów grankulki, które mu z ramienia wydobyto, a gwiazdę srebrną, która go ocaliła, odesłał do Wilna na wotum do *Ostrej Bramy*.

W codziennym zwyczajnym trybie naszego życia, niema co do zapisywania w tym moim raptularzu, który jakoś polubiłem sobie. Już mnie coś do niego ciągnie; i co wieczór prawie, gdy powrócę z pokojów wojewody do mojej oficynki, a zapalę sobie luleczkę, to i wyjmuję z kuferka mój sekstern, kładę go na stole, zaglądam, przewracam karty, liczę wiele zapisanych, a wiele jeszcze białych? ot tak sobie... to nie przeszkadza ani *Litanii*, ani wieczornym modlitwom; a zakończywszy paciorki, *sekssternik* szust do kuferka i dobranoc.

Ksiądz Maciej, nasz kapelan, który wie o mojej robocie, widząc, że się biorę do przepisywania to tego, to owego, z dyaryuszu wojewodzińskiego, zaleca mnie, abym zeń przekopiował naprzód dwa jego kazania, które z pół książki zajmują, a potem *maksymy* i *sentencye* łacińskie, które podobno sam on na polski dyalekt wierszami przetworzył i do księgi wojewodzińskiej w obu dyalektach wpisał.

Sentencye te i akumina jezuickiej bodaj jeszcze po większej części fabryki, często gęsto posłyszysz w poważnych dyskursach naszych starych, wysoko golonych *sensatów*: bo u młodych łysina i łacina wyszły dziś z mody. Wszelakoż zdaje mi się, że *cytacya ad rem* jakiego mądrego zdania, a zwłaszcza po łacinie, nie szkodzi; dowodzi owszem, że się darmo w szkole kaszy nie jadło; a w dyspucie, to jak klin żelazny, który zgryść trudno, a który wbija się i łamie dowody przeciwnika. Nieraz mi się słyście zdarzyło, jak jednym takim argumentem skonwinkowano wszystkich i zakończono żwawą dysputę.

W życiu więc dworskiem, gdzie często językiem szermować przychodzi, nie zawadzi mieć na pogotowiu w pamięci ładunek takich klinów: a więc to i przepisać warto. Co do kazań, mam nadzieję, że książdz Maciej zmodyfikuje się przy lampeczce trojniaku.

Sentencye

z książki pana wojewody.

1.

Dum recte vivis, non curas verba malorum.

Gdy życie twoje cnotliwe, nie dbaj na mowy złośliwe.

2.

Omnia si perdas, famam servare memento!

Jeśli postradasz wszystkiego, broń sławy honoru swego!

3.

Fac bene dum vivis, post mortem vivere si vis.

Czyń dobrze za życia twego, dojdiesz spoczynku wiecznego.

4.

Est labor ingratus, quem praemia nulla sequuntur.

Niemila jest taka praca, za którą nie bywa płaca.

Co to, to wielka prawda: ja sam bardzo nie lubię, kiedy mnie za jaką dworską usługę, pięknym pańskim ukłonem, a nie pasem słuckim płacą. Przy zrzęczości nie zaniedbam użyć tej mądrej sentencji.

5.

Crescit amor nummi, quantum ipsa pecunia crescit.

Komu pieniędzy przybywa, więcej starania miewa.

Zdaje mi się, że tu ks. Maciej chybił kadencyi.

6.

Nobilitas morum, plus valet quam genitorum.

Kto ma piękne obyczaje, taki się szlachcicem staje.

7.

Inutilis quaestio solvitur silentio.

Kto bredzi, niema odpowiedzi.

Już to przysłowie dawno znajome, i póki świat światem, nie wyjdzie pono z mody.

8.

Non agnoscitur bonum, nisi omissum.

Kiedy czego pozbędziemy, wtenczas tego żalujemy.

9.

Cum fortuna perit, nullus amicus erit.

Gdy złe przypadki, to przyjaciel rzadki.

10.

Verba ligant homines, caetera animalia funes.

Ludzi słowa dewinkują, zwierzę powrozy krępują.

Często pan wojewoda, konwinkując upartych przy kielichu, powtarza sentencję podobną do tej w *sonacyi*, ale innego moralnego sensu: *Vinum bibunt homines, caetera animalia fontes*. Tak dobrze, jak i ksiądz Maciej, mogę ja to wytłómaczyć, naprzykład: Wino napój dla człowieka, a dla nieczłowieka, rzeka — *supponitur*, że kto nie człowiek, to *animal est*.

11.

Audi carnificem, spernens audire parentes.

Kto nie słucha rodziców, ten słucha katowskich biczów.

I tu ksiądz Maciej nie trafił na kadencyę, choć maksyma bardzo pożyteczna i prawdziwa, bo z czwartem przykazaniem zgodna.

12.

Nondum sunt visi, qui caruere nisi.

Nikt bez ale, panie Michale.

Jakby do mnie napisał; ale nie mam pretensyi do ks. Macieja, bo on tu dawne przysłowie podsztukował; a tymczasem, sam to sobie za obrok duchowny powtarzać mogę: Oj! tak, tak! *nikt bez ale, panie Michale.*

13.

Non omnes sancti, qui calcant limina templi.

Nie wszyscy święci bywają, co kościoły nawiedzają.

Figurycznie toż samo znaczy. — Wszyscy my ludzie, i ksiądz pleban człowiek.

14.

Hospes non invitatus, recedit saepe ingratus.

Gość na bankiet nieproszony, nie bardzo bywa uczczony.

15.

Exeat ex aula, qui cupit esse pius.

O pobożność przy pokorze, trudno bywa w każdym dworze.

To fałsz. Mówią wprawdzie, że teraz na wielkim świecie niedowiarki i farmazony coraz się mnożą, a za to nawiedzanych i czarowników ubywa; ale ja nie widziałem jeszcze nigdzie takiego zgorwienia, i daj Boże

nie obaczyć. Tu u nas ks. kapelan codziennie mszę w kaplicy ogrodowej miewa; pani wojewodzina z córkami i wszystkimi rezydentkami respektowemi jej słuca; pan wojewoda chyba bardzo zajęty, to ją w dniu powszednim opuści, lecz w niedzielę nigdy. Niechżeby który z nas dworskich spóźnił się lub nie przyszedł! pięknejby oracyi posłuchał od wojewody, nie licząc jeszcze ks. Macieja, który *strictissime* pilnuje, aby wszyscy we dworze rano i w wieczór mówili pacierze, i leniwych ku służbie Bożej gorąco napomina. W każdym dworze pańskim, tenże sam *praeter propter* znajduję porządek. Zdarza się wprawdzie czasami u jakiego młodego panicza widzieć i posłyszeć jakie bałamuctwo; ale zwykle, gdy młode piwko uchodzi się, to i ojcowskie obyczaje wracają do ścian ojcowskich.

16.

Cum bono, bonus eris; cum perversis, perverteris.
Z jakim kto przystaje, takim się sam staje.

17.

Qui confidit in Domino, nunquam confusus est.
Bóg takiego nie opuści, który się na Niego spuści.

Proszę uniżenie! a kiedy jaki zbolały chudeusz, spuściwszy się na Pana Boga, woła, że go Bóg opuścił, to nieraz mu odpowiadają: *A na coś się na Niego spuścił?* Jakże tu pogodzić te *contraria*? pono najlepiej wierszem nieboszczyka kasztelana Tryzny:

Ufaj! Bóg ci dopomoże;
Ale pracuj sam, nieboże!

18.

Felix, quem faciunt aliena pericula cautum.
Rozumnym się nazwij wtedy, gdy się uczysz z cudzej biedy.

19.

Gaudia principium nostri saepe sunt doloris.

Często nasze radości, są przyczyną żalości.

20.

Quod cito fit, cito perit.

Co się prędko wznieci, nie długo się świeci.

21.

Dormit nocte parum possessor divitiarum.

Nie zasypia w nocy śmieie, kto ma pieniądze wiele.

22.

Virtus promotore carens, non surgit in altum.

Cnota, praca i pokora, upada bez promotora.

23.

Ex duobus malis, unum minus eligendum sit.

Ze dwojga złego, imaj się mniejszego.

Pan Stanisław powiadał mnie, że wybierając sobie żonę z dwóch sióstr rodzonych, poszedł za tem przysłowiem: wybrał mniejszą, i wyszedł jak Zabłocki na mydle, bo teraz inne przysłowie stosować musi do swej żoneczki: *Mała jak palec, a zła jak padalec.* — Ale on sobie dworuje, bo ja, bywając często jako przyjaciel w jego domu, znam dobrze panią podczaszynę: małeńka to, prawda, figurka, zacna jednak dama i pięknych ma synków.

24.

Ex meritis vitae, dependent ite venite.

Jako na tym świecie żyjesz, tak i na tamtym użyjesz.

25.

Cantabit vacuus coram latrone viator.

Będzie śpiewał próżny, przed zbójcą podróżny.

26.

Mors nescit legem, tollit cum paupere regem.

Śmierć nie zna prawa żadnego: bierze z panem ubogiego.

27.

Ex libro doctus quolibet esse potest.

Mędrzec to nie tęgi, co ma rozum z księgi.

W szkołach jeszcze nasłuchałem się tej *sentencyi*; tylko tam mówiono: *Ex libro doctus, ex capite stultus.* — Bodaj to i na mnie przypadnie, gdy tą cudzą łaciną sztukować się będę.

28.

Quae feceris parentibus, eadem a liberis expecta.

Jako ty rodzice swoje, tak cię uczczą dziatki twoje.

29.

Vilius argentum auro, virtutibus aurum.

Podlejsze srebro od złota, nad złoto zaś droższa cnota.

A toby złotemi literami wypisać trzeba na bramach naszych bogaczów.

30.

Ferunt summos fulmina montes.

W najwyższe góry bije piorun z chmury.

I o temby im pamiętać nie wadziło.

31.

Dum veneris Romam, romano vivito more.

Kiedy siądziesz między wrony, tak też krakaj jak i ony.

Jakby to Rzymianie wronami byli. *Komparacya* wcale nie piękna; i należało ks. Maciejowi połamać sobie głowy,

a zamiast podkładania tego starego przysłowia, ułożyć sprawiedliwy sens tej sentencji.

32.

Si fuit hic asinus, non ibi fiet equus.

Choćby kto świat obszedł kołem, nie będzie z sowy sokołem.

33.

Otia quisquis amat, vae! vae! postea clamat.

Komu praca jest kłopotem, oj! oj! będzie wołać potem.

34.

Frangenti fidem, fides franget eidem.

Kto sam wiarę łamie, temu wiara skłamie.

35.

In vili veste, nemo tractat honeste.

Jak cię widzą, tak cię piszą.

36.

In vestimes non est sapientia mentis.

Niewiele mądrości mają, którzy się w strojach kochają.

Otóż znowu dwa przeciwne zdania, które pogodzić można szlacheckiem naszym przysłowiem: *Choć ubogo, ale chędogo.*

37.

Dat bene, dat multum, qui dat cum munere vultum.

To mi podarek prawdziwy, kiedy dający nie krzywy.

38.

Honores mutant mores, sed raro in meliores.

Z honoru większego, rzadko co lepszego.

39.

Contra vim mortis, non est medicamentum in hortis.

Przeciw srogiej Libitynie, niema rady w medycynie.

40.

Cur multum peccas, si multum vivere curas?

Nie używaj nadto świata, gdy chcesz żyć Matuzalowe lata.

41.

Lingua est indicium animi.

Poznać zaraz z mowy, jakiej kto jest głowy.

42.

Scripturarum autor, scribenti sis fautor.

Kiedy sam pracujesz stylem, nie bądź dla drugich Zoilem.

43.

Verbis, ut nummis utendum est.

Ostrożnie i wedle miary szafuj słowa i talary.

A to mądrze uciał ksiądz Maciej; lepiej niżeli w łacińskim, niema co powiedzieć; *acuminose!* Bo i prawda: czy kto nadto talarami sypie, czy bez miary językiem szermuje, zawsze na końcu poznają, że pusta głowa i pusta będzie kieszeń.

44.

Ex magna coena, stomacho fit maxima poena.

Za smaczne w wieczór frykasy, w nocy z brzuchem obertasy.

45.

Fejunus stomachus raro vulgaria temnit.

Gdy dobrze brzuch przepości, nie wybiera z chleba ości.

46.

Post mensam stabis, vel passus mille meabis.

Po obiedzie nie przylegaj, ale tysiąc kroków biegaj.

47.

Post tres saepe dies vilescit piscis et hospes.

Ryba i gość dnia trzeciego niewiele mają smacznego.

48.

Longa solent sperni, gaudent brevitare moderni.

Długa mowa, próżne słowa, a na krótką chęć gotowa.

49.

Absint offensae, cum sit celebratio mensae.

Kiedy siedzisz przy biesiadzie, nie myślże o żadnej zwadzie.

50.

Sine labore, non erit panis in ore.

Kto nie chce pracy znieść, ten nie ma czego jeść.

Mając taki zapas sentencyj, nietylko w dyskursach *sensatem*, ale nawet w potrzebie i *oratorem* zostać można. Przepiszę jeszcze dalsze niektóre *pro memoria* z księgi pana wojewody...

Tu kilkanaście kart wydartych w manuskrypcie, a na pierwszej z pozostałych następuje:

IX.

Ucieczka.

...Pan wojewoda tak fulminował, że Bóg wie, coby się ze mną stało; możeby w zapamiętałości zaponniał nawet, żem ja szlachcic równy jemu i *bene natus*, gdyby Opatrzność nie nadesłała rychłego sukursu. Przybył pan podwojewodzi połocki Korsak, przyjaciel i admirator wo-

jewody i przerwał jego zapędy. Jeszcze oni z sobą nie skończyli powitania, gdy ja, wymknąwszy się z pałacu przez kredens, zabiegłem tylko do swej stancyi, chwyciłem z kołka Elżutkę, z kufierka kieskę z kilku talarami i jednym dukatem węgierskim z wizerunkiem Matki Boskiej; a że z wierzchu leżał i ten mój raptularz, więc i onego porzucić nie chciałem i nie mogłem: bo gdyby wpadło w ręce wojewody, com powyżej o nim zapisał sobie ¹⁾, lubo to szczerą prawdą, nigdyby mi tego nie darował. Wziąwszy więc jedno i drugie za nadrę i resztę chudoby zostawiwszy na wolę Boską, pobiegłem co żywo do stajni. Tam dopadłszy konia osiodłanego (bo zawsze jeden gotowy stał na posyłki) i powiedziawszy stajennym, że za pilnym a ważnym pańskim interesem muszę lecieć do miasteczka (a miasteczko nasze tuż za groblą), ruszyłem z kopyta za bramę. Tam skręciłem na prawo drogą do *Głębokiego* ²⁾; to sześć mil dyabelnych; i lubo już mrok dobry padał, a wkrótce i noc dość ciemna nasunęła się, ale mnie skry sypały się z oczu, a strach pogoni dodawał śmiałości. Koń, sieczony kańczukiem, leciał po gościńcu ile miał sił, ale do końca nie dotrzymał nieborak! jeszcze było z pół mili drogi, gdy on padł bez ducha, a ja kulkiem z góry oparłem się aż na ziemi; że nie skręciłem karku, był to cud miłosierdzia Bożego nademną. Zawędrowałem już tedy piechotą do klasztoru ojców Karmelitów; szarzało się na dzień, gdym do kościoła się dostał; księża śpiewali jutrznię i ksiądz przeor do powszechnego zbudowania był z nimi.

¹⁾ To właśnie wydarto.

²⁾ Głębokie — miasteczko teraz w powiecie dziśnieńskim, w gubernii wileńskiej.

Gdy się ukończyły pacierze, na szczęście moje ksiądz przeor sam jeden i najpierwszy wyszedł z chóru; na korytarzu dopadłem go i przytrzymałem za habit.

— Co tu robisz tak rano? panie Michale! — bo mnie zna dobrze i mamy niejakaś, choć daleką kolligacyą.

Wytłómaczyłem mu więc niespodziewany powód mojego przybycia, prosząc o radę i schronienie przed pierwszym impetem wojewody.

Wysłuchawszy mnie cierpliwie — to inna *facies rerum* — rzekł i dał znak ręką, abym szedł za nim. Korytarze puste jeszcze były; niewidziani więc od nikogo, dostaliśmy się do jego mieszkania. Wprowadził mnie zatem przez alkierz do osobnej komnatki i rzekł: Nawarzyłeś piwa, panie Michale i naraziłeś nasz klasztor na gniew wojewody, który, jeżeli się dowie, co łatwo stać się może, żem cię przechował, jako pan przemożny, potrafi nam nieraz dopiec do żywego. Przecież opuścić ciebie ani miłość chrześcijańska, ani nasza *koneksya* nie pozwala. Musisz więc tu zostać przez dzień cały w zamknięciu; a skoro noc nastąpi, *pod silentium* dalej cię wyprawię.

— Masz tu na półkach posiłek potrzebny: szynka, pieczeń, wódeczki i zakąski. Spodziewam się, że z głodu nie umrzesz.

To rzekłszy, wyszedł, zamknął drzwi i klucz wyjął z zamku.

Zostawszy sam jeden, poznałem, że to prawda: »*Kiedy trwoga, to do Boga!*« Coś mi tak ni to żałośnie, ni to smutno zrobiło się... Ukląkłem więc, obróciwszy się ku kościołowi, a spostrzegłszy jeszcze przez zakratowane

okno i krzyż wieżowy, tem gorliwiej modlić się począłem: skończyłem na *sub tuum praesidium*; wstałem, a rzeźwiej mi jakoś i weselej już było. — Wolaż Pana Boga! — pomyślałem, podkręciłem wąsa (ach! ktoby to zgadł, że ostatni raz go podkręcałem?) i zacząłem rozpatrywać się w zapasach księdza przeora.

Łaska Boska! Ani w Kanie Galilejskiej lepiej nie było! Rozmaite wódeczki, wina i miodu flasze pełne; a jakie zakąski! Pierniki, pieprzniki, tłuczeńce, oraz smaczna wędlinka; niczego nie brakło. Posiliwszy się zatem porządnie, przypomniałem sobie sentencję: *Vinum laetificat cor hominum!* Wypróżniłem więc flaszkę tej recepty i rozciągnąwszy się na ławie, choć z kułakiem pod głową, zasnąłem jakby na poduszce.

Ledwo pod wieczór mógł mnie dobudzić się przeor: fatyga i flaszka jak w letarg mnie wrzuciły. — Wstawaj, panie Michale, — zawołał — czas myśleć o podróży. Szukają waszmości, a rozparty biegun wojewody na gościńcu dał poszlakę, żeś wpadł w nocy do miasteczka i naturalna *suppozycya*, żeś tu za furta. *Tandem* nie trać serca. Pomyślałem o bezpieczeństwie twej *peregrynacji*. Ale dokąd myślisz się udać?

— Sam nie wiem — odpowiedziałem — zdaje mi się, że najbezpieczniej będzie do najbliższego wojewódzkiego miasta, gdzie mnie, jako szlachcica, ani ująć, ani prześladować nie będzie mógł wojewoda.

— Więc do Mińska — rzekł przeor.

— A chociażby.

— To i dobrze, ale cóż tam sobie poczniesz?

— Co Bóg da. Na chlebie, zda mi się, nie zbędzie człowiekowi, który pracy się nie lęka, a dworów i panów jeszcze, chwała Bogu, mamy.

— A gdyby kaptur?...

— A to dlaczego?

— Dla zbawienia duszy, dla pokuty za grzechy i dla spokojnego kąta na starość.

— Ha! gdybym to był pewnym, że będę przeorem głębockim: bo tu ichmość podobno kilkaset chat macie!...

— Nie święci garnki lepią. Ależ na co te myśli o *mamonie*? Młody wprawdzie jesteś człowiek, ależ w tym wieku większe jeszcze do grzechu pokusy, a na świecie trudno się ustrzedz... Ja wstąpiłem do zakonu mając lat trzydzieści, teraz mam, chwała Bogu, pięćdziesiąt... no... i to jakoś... pracując na chwałę Boską i na zbawienie duszy... Ot tylko namyśl się dobrze, a jak poczujesz w sobie *wokacyę*... Tymczasem do waszmości!

Wypiliśmy po lampeczce jednej i drugiej. — No, wybieraj się teraz — rzekł przeor ocierając usta — a to takim sposobem (otworzył skrzynię w kącie stojącą); weź stąd stary zakonny habit; za obszerny być może dla ciebie, temu łatwo poradzić: znajdziesz tu razem i pościel, poduszka więc uzupełni cyrkumferencyę twoją, potem zda ci się ona pod głowę, nim ja twoje manatki od wojewody wydobędę i tobie odeszlę. Nic mu nie zawiniłeś, więc grabić cię nie może. Ogól wasy — przyniosłem ci brzytwę w kieszeni.

— Jakto? mam ogolić wasy?

— A naturalnie, żaden przecie zakonnik z wåsami nie chodzi.

— Ależ ja nie mam jeszcze *wokacyi*.

— Nie o to idzie, mój bracie! ale *transfiguracya* twoja potrzebną jest *pro hac sola vice*, abyś bezpiecznie do Mińska dojechał; a w habicie z wåsami gdy cię kto spostrzeże... Toć i odrosną potem, niech ich tam kaci

wezmą!... Ja innego środka nie mam, a w klasztorze trzymać cię nie mogę.

Nie było co odpowiedzieć. On wyszedł, a ja wziętem się do brzytwy. Trudno opowiedzieć, z jakim żalem przyszło mi się rozstawać z wąsami; ale bo to były wąsy, które prym trzymały na dworze pana wojewody, a nawet i niedawno na sejmiku; przed rudominowskimi tylko ustąpić musiały. A jakże ja ich pielęgnowałem! jak układałem i gumowałem! jak nimi wszystkie afekta oblicza wyrazić umiałem! ale cóż robić! *Sic fata tulerunt!* Więc wypitem duszkiem szklanke wina i... ogoliłem wąsy. Aż sam siebie przeląknętem się, gdym się obaczył w lusterku: goluteńki jak baba! nos mój wyrósł we dwoje, wargę długa jak u starego Niemca, słowem, straszycie weneckie! Łzy mi w oczach stanęły i właśnie na fantazyę chciałem podkręcić wąsa... Reszta przyborów nie zabrała wiele czasu. Habitem we dwoje okręcić się mogłem; ale podłożywszy poduszkę, zacisnąwszy się rzemiennym pasem i zawiesiwszy pod nim koronkę, byłem podobniejszy do wypukłej beczki, niż do stworzenia Bożego: nakoniec księdzowską czapczką pokryłem głowę; jeszcze raz spojrzełem się w zwierciadełko i pewny byłem, że nietylko drudzy, ale i ja sam niełatwobym siebie poznał. Siedziałem więc już tylko spokojnie na zydlu, ani się poruszyłem; rozważałem moją biedę terazniejszą: różnicę między kontuszem i habitem, między pasem litym słuckim a pasem czarnym skórzanym zakonnym, między karabelą a koronką; spojrzełem na moją Elżutkę w kącie stojącą, przepamiętywałem i rejestrowałem w myśli moją chudobę szlachecką w kuferku zostawioną, gdy posłyszałem dzwonek *silentium* i wszedł ksiądz przeor.

— No, ojczy Michale! — rzekł on, oglądając mnie

ze świecą od nóg do głowy. — Cóż to waszmości? Łzy na oczach? Wstydz się! Powrócisz znowu do tak ukochanego przez ciebie świata, kiedy za nim tak tęsknisz; w Mińsku zrobisz z sobą, co zechcesz; nie płacz więc, jak dziecko. Oto masz *obedientią in scriptis*, którą okażesz, jeżeliby kto cię zaturbował na drodze; pamiętaj, że się nazywasz ksiądz Bonawentura Bobakowski, kaznodzieja, posyłający się z naszego głębockiego klasztoru do klasztoru mińskiego, tak stoi *w obedientii*. A to list odemnie do naszego tam przeora, który zaszyjesz w szkaplerz, a oddasz mu *in ocluso*. Nakoniec oto masz na drogę — rzekł, kładąc mi w rękę kilka talarów bitych.

— Dziękuję pokornie *Reverendissime!* ale mam swój maleńki zapasik.

— Od przybytku głowa nie boli, a zatem przyjm śmiało. Wszakże ja tam twój jakiś wujaszek, a klasztoru tem nie zubożę. — Więc już i przyjąłem.

— A teraz idźmy. Więc ja z kąta za Elżutkę... a on mię za rękę.

— A cóż to znowu? czy myślisz przypasać ją do habitu?

— Nie, ale darujesz Jegomość dobrodziej, szabelki mojej nie zostawię; okryję ją w wozie mantelzakiem, w którym moje świeckie odzienie. Noc ciemna i furman nawet nie zobaczy.

— Oj, bo ta szabelka odwozić cię będzie od pożąniejszych myśli, a ja życzyłbym... Zresztą *homo proponit, Deus disponit, et Deus te benedicat*. Nie tracę nadziei... Jedź z Bogiem, a ja jutro odprowadzę mszę na twoją *intencję*.

X.

W Nieświżu.

Miłyż Boże? czym się mógł spodziewać albo pomysśleć przed kilku tygodniami na dworze wojewody, że wkrótce będę tu siedział w celi, w habicie *Fratrum minorum*, a po prostu mówiąc bernardyńskim? bo jeszcze nie bardzo się przyzwyczaiłem do tego nazwania. Prawdę powiedział wyprawując mię z Głębokiego tamtejszy ksiądz przeor, a mój wujaszek: *Homo proponit, Deus disponit* — i prawdziwie była w tem wszystkim wola Boska, *digitus Dei!* Zapisawszy zaś w Mińsku powyżej moją ucieczkę i transfigurację na Karmelitę, opiszę tu jeszcze w moim kochanym raptularzu i progress ten przejścia na formalnego zakonnika. Odstąpiła mnie szabelka moja, nie powróciły raz ogolone wąsy, jedna mi tylko została pociecha, ta moja książka; a kto wie? może i jej wkrótce będzie *finis*? bo cóż pisać, gdy nie będzie treści, a zkąd znowu treść w klasztornej celi?

Podróż moja obeszła się bez żadnego przypadku; zajechałem prościuteńko do Karmelitów. Klasztornek to nędzny i drewniany; ledwo trzech zakonników w nim mieszka. Obaczywszy mnie przełożony, krzyknął: Czy poszaleli? przysyłać mnie do ubogiej rezydencyi taką pipę! Waść i mnie samego zjeść gotów!

Podałem mu *obedientią*, ani czytać jej nie chciał; więc wsunąłem list. Ujrzawszy on na kopercie *solì*, spojrział na mnie i poprowadził za sobą.

W celi, odczytawszy pismo — ot tobie masz! — rzekł — co ja z wasanem pocznę? Ks. przeor pisze mi pod figurą i to i owo...

— Nie alteruj się *Reverendissime!* — przerwałem — proszę tylko o lokacyę na parę dni, a już ja sobie poradzę.

Wszedł do alkierza *Pater* i wyniósł z tamtąd flaszkę z wódką i dzwono marynaty ze szczupaka. — Posił się Wasan po drodze, a ja tymczasem pomyślę. — Jakoż ja i posiłem się i siedziałem już z pół godziny, a on chodził nieustannie szerokim krokiem po celi nic nie mówiąc; odczytywał tylko list po kilkakrotnie i głową kręcił. Nie wiem na czemby się to zakończyło, gdyby, jak umyślnie, a widać z przeznaczenia, nie wszedł ksiądz kustosz tamtejszego klasztoru bernardyńskiego.

— *Salve! Reverendissime! salve!* — rzekł on; a postrzegłszy mnie: Cóż to? masz nowego przybysza? — i mierząc mnie okiem z nóg do głowy — Postura *tanquam* kufa! ot co jest. — A tem lepiej. Przyszedłem prosić Wielebność Waszą na jutrzejszy fest do nas z całym konwentem a po służbie Bożej na ucziwą pieczeń baranią i na *konsolacyę*, ot co jest. Więc nowo przybyły pomnoży naszą celebrę; a kiedyś mądra pałka — dodał, obracając się do mnie — to proszę na ambonę, ot co jest!

— Akceptuję z ochotą pobożną propozycję księdza kustosza dobrodzieja; co zaś do tego pana, przeczytaj. Reverendissime ten list, wyrozumiesz może lepiej odemnie sens onego i obu nam poradzisz.

Wziął więc list ks. kustosz, a przebiegłszy — cóż tu niezrozumiałego? — rzekł. — Ks. przeor głębocki prosi cię, ojcze, abys oddawcy tego listu, koligatowi jego, Panu Michałowi Ławrynowiczowi, a byłemu marszałkowi dworu pana wojewody... dał u siebie schronienie i wygodę na dni kilka, a upewnia cię słowem kapłańskim, że uciezka i przebranie się Jegomości nie z jego, broń Boże przyczyny, lub jakiego *excesu*, ale tylko celem wywinienia się z rąk niesłusznie nań *in summo gradu* zagniewanego wojewody pochodzi, ot co jest! Więc nad czemże suszysz sobie głowę?

— Ale *post scriptum* na drugiej stronie: *verte*.

— Aha! *verte*, nie spostrzegłem i czytał: »Dbając nie tak o dobro doczesne mojego kolligata, jak o jego zbawienie wieczne, proponowałem mu stan nasz duchowny. W krótkim czasie nie mogłem pomiarkować, na jaką rolę padło ziarno. Waść więc ojcze, *per viam persuasionis... Una salus servire Deo caetera fraudes!... intelligis?... Prudenter age!... et fiat voluntas Dei*¹⁾.

— *Est res, es nulla rest est!* jest rzecz i nie ma rzeczy! ot co jest! — rzekł ksiądz kustosz, kładąc list na stole — a cóż Jegomość na to?

— Ja na to nie odpowiedziałem księdzu przeorowi w Głębokiem, i tu nie mam co odpowiedzieć. W każdym stanie można być, zdaje mi się, zbawionym.

¹⁾ Jedyna droga zbawienia w służbie Bożej, reszta marność rozumiesz?... Czyń mądrzel!... i niech się dzieje wola Boża.

— Prawda! najprawdziwsza prawda! *bene dixisti*. Ot co jest. Ale i to prawda, że pewniejszej drogi ku zbawieniu, gdy ta się nadarza, opuszczać nie należy. Lecz gdybyś miał ją obierać, to już *sine dubio* zostań naszym bratem Bernardynem; bo daleko pewniejsze u nas zbawienie duszy, niż u księży Karmelitów. Ot to jest!

— A to za co? — zapytał poruszony przeor.

— A to dla tego, że my, żyjąc z jałmużny, w codziennej mamy praktyce najgłówniejszą chrześcijańską cnotę, *pokorę*, która jak wiecie, *niebiosa* przebija. Ot co jest!

— No, ale, *computatis, computandis*, na czemże staje? — i nie czekając odpowiedzi, mówił dalej: ja dam radę najlepszą. W twoim, księżę przeorze klasztoru, może być panu exmarszałkowi i ciasno i głodno. Ot co jest! Zatem *peto mecum*, mój dobrodzieju! Dam ci chętnie *victum et amictum*, nim cię Bóg tak lub owak obróci; a ponieważ, jako marszałek dworu wielkiego pana, musisz znać się i na stołowym porządku, przeto pomożesz mi do udysponowania jutrzejszego obiadu, a potem od podejmowania naszego prowincyała, którego się wkrótce spodziewam. Ot co jest! A ciebie, tatuleńku, czekam jutro na dziewiątą do zakrystyi. *Vale*.

Ponieważ mnie ks. przeor wcale nie zatrzymywał, owszem zdawał mi się być kontent z pozbycia się, i pożegnał wdzięczniej niżeli przyjął, więc przebrawszy się po dawnemu, z Elżutką przy boku a poduszką pod pachą, poszedłem za księdzem kustoszem.

Rozgościłem się w klasztorze wkrótce i łatwo. Kustosz wyznaczył mi celę schludną i wesołą, która mi się odrazu podobała; uprowidował ją we wszelkie porządki i wygody, a nakoniec dzban cynowy z wysmienitem piwem na stole postawił.

Wzajemnie zająłem się jutrzejszym obiadem, mając w pomoc starego brata *kanaparza*: jakoż wszystko poszło daleko lepiej i smaczniej, niż przedtem bywało. A zatem po tej pierwszej próbie, ksiądz kustosz zaprosił mię do niejakiego *ad interim* przełożęństwa, nad zamożną klasztorną *dyspensą* i piwnicą; czego mu nie odmówiłem, zwłaszcza żeśmy się z sobą wielce jakoś pobratali i polubili; a nawet od dnia do dnia, coraz bardziej przypadło mi do smaku to spokojne, poufałe i pobożne między bracią życie, a ochota do powrócenia na świat coraz to stygła.

Już to widać taka była wola Pana Boga; bo i rozmyślanie o słowach księdza przeora głębockiego często mi po głowie przemykało, i co najbardziej, że gdy rano wstawszy poszedłem na mszę i wysłuchałem jej pobożnie, albo i posłużyłem księdzu kustoszowi, który najczęściej pierwszą mszę miewał, to mi tak słodko, miło i spokojnie robiło się na sercu, że nigdy tak nie bywało na świecie. Po mszy ks. kustosz prowadził mię razem do siebie na kawę.

— Posłużywszy Bogu — powiadał on — możemy śmiało, panie Michale, pomyśleć i o cielesnym posiłku. Ot co jest!

Potem każdy do swojego, a ja na *consilium* z bratem kanaparzem względem obiadu, który, że od mojego przybycia do klasztoru zawsze był smaczniejszym niż

dawniej, przeto mi *Patres et Fratres* wielce wdzięcznymi byli.

Po obiedzie *requies* prawie w każdej celi, *post requiem*, albo odwiedziny wzajemne i *colloquia* mądre, a czasami i dykteryjki jowialne, ale skromne, albo przechadzka po ogrodzie, a tam kręgle dla mocyi, a przy nich piwo *de puro grano* dla ochłody, lub miodek dla humoru. Tak nie postrzeżesz jak nadejdzie wieczór, a wtenczas warcaby, maryaszek na boby, a czasem i ćwiczek po groszówce, w miłej i poufalej komitywie aż do *silentium*, które jak tylko brzęknie w dzwonek, wnet każdy w swojej celi nad brewiarzem, i tylko ksiądz kustosz czasami obejdzie po kurytarzach, *stricte* pilnując reguły zakonnej. O tem ani mówić, że każdy podług swego urzędu w zakonie i obowiązku w klasztorze, w kościele, w chórze i na chórze, ani minuty nie chybi, ani jednego pacierza nie zapomni. Bo, jak powiada ks. kustosz, co Bogu, to Bogu!

Kilka już tygodni przebyłem w klasztorze, gdy mi ksiądz przeor głębocki odesłał kuferek i całą chudobę moją, wyprosiwszy jakoś wszystko od wojewody. To przypomniało mi, że czas było o sobie pomyśleć.

Porozwieszałem w celi dla przesuszenia żupany, kon-tusze, kapoty. Dwa pasy moje słuckie, jeden bogaty złoty w karpia łuskę, drugi piękny jedwabny, rozwinąłem na stole, *et id genus* wszystko, co się w kufierku znalazło, gdy wszedł do mnie ks. kustosz.

— A jaką to zakrystę ubrałeś? panie Michale — zapytał.

— To moje rupiecie, które mi odesłał ks. przeor głębocki, — a w duchu byłem kontent, że kustosz mógł przecie obaczyć, że nie z pod płota wylazł.

— Ot to byłaby piękna kapa na *asperges* — mówił on, gładząc pas mój lity — z żupanów gredyturowych i atlasowych ornaty; z kentuszków, *antepedia*, a z właściciela — obracając się do mnie — Bernardyn! Ot co jest!

— Nieraz mi to, *Reverendissime*, po głowie przechodzi, ale...

— Co za ale? — przerwał. — Ofiara ze światowej marności i z samego siebie na służbę Bożą nie ma żadnego ale! Cóż w tem złego? Djabeł na świecie tańczy koło ciebie, jak wilk koło barana, a od paska świętego Antoniego ucieka, jak złodziej od powroza. Ot co jest. Czyż ci źle między nami?

— Dobrze dotąd, i bardzo dobrze; ale co innego być między wami gościem, a co innego...

— Być pod *obedientią!* prawda, ależ i na świecie, kto służy, wolność traci, a zatem musi także być pod *obedientią*. Ot co jest!

— Widzisz, *Reverendissime*, na kapłana trzeba osobnej nauki; gdzież mi już rozpoczynać na nowo szkoły?

— W twoim wieku, gdybym cię przypilnował tego, a dla ochoty do teologii, gdybym cię przeprowadził przez pięć piątek, przez *miserere* i *dyscyplinę*, mógłbyś odrazu zostać *Jubilatem*, zwłaszcza, że i po łacinie umiesz. Ot co jest! Ale twój *animusz* nie do tego; więc ci tak daleko zachodzić nie życzę. Zrób professyą na braciszka *sine missa*, zostań z nami Bernardynami. Boga chwał, sztukę mięsa wal! Ot co jest!

Ta rubaszna perora nie bardzo mię konwinkowała; ale po krótkim milczeniu ksiądz kustosz dodał:

— Żart na stronę, panie Michale, ale posłuchaj mnie. Jesteś poczciwy i bogobojny człowiek; z temi przymiotami, za błogosławieństwem Boskiem, może ci na świecie dobrze się darzyć; lecz w spokojnem zakonnem życiu pewnie będzie ci lepiej. Pokochałem cię szczerze i dla tego samego nie będę cię długo apostołował; bo mógłbyś myśleć, i jabym sam podejrzywał siebie, że nie chcąc z tobą się rozstawać, nawracam cię do zakonu. Jeżeli jednak nie masz jakich szczególnych *obligacyi* na świecie, po którychbyś tęsknił w klasztorze, bo czyste serce Bogu ofiarować trzeba; jeżeli upodobałeś nasze zakonne życie i obowiązki, którym zresztą wystarczysz łatwo, to życzę ci wezwać Pana Boga na pomoc i prosić Jego łaski, aby cię oświecił, a myśli twoje i postanowienie podług swej woli świętej skierował. Odprawimy dziś solenne na twoją intencję nieszpory, wysłuchaj ich z nabożeństwem i pokorą, a potem zrób co ci Bóg do serca poda. Ot co jest! Gdy wyszedł kustosz, chodziłem niespokojnie po celi; w głowie mi szumiało... Gdyby on nacierał na mnie gorąco, tobym się potrafił obronić, i upór na upór, ale najgorsze w życiu ludzkim *jak chcesz!* I tak *dobrze*, i tak *dobrze*; albo i tak *źle*, i tak *źle*... A Bóg wie tylko co *lepiej*, a co *gorzej*. Więc czekałem już niecierpliwie nieszpórów.

Gdy się zaczęły, krzyżem leżąc modliłem się gorliwie i wzywałem opieki Matki Boskiej, do której szczególniejszą mam modlitewkę:

Kto chce Pannie Maryi służyć.

A Jej osobliwym miłośnikiem być...

i tak dalej. Jakoż po tej modlitwie, podniosłem z ziemi

zapłakane oczy do obrazu tej Pani świata i niebieskiej Królowej, a wstąpiła myśl we mnie, jakbym do niej mówił: Będę Tobie i Twojemu Najświętszemu Synowi do śmierci służył. Opiekunko moja i Orędowniczko! Panno łaski Bożej pełna! przyjm ofiarę moją; oddal odemnie wszystkie ziemskie i światowe pokusy! a ja przysięgam i ślubuję od tego momentu wielbić Cię i wysławiać w zakonie, aż do grobowej deski...

Długo jeszcze modliłem się; a gdy powstałem z ziemi, nikogo już nie było w kościele, i nie postrzegłem jak się nieszpory skończyły. Ojcowie wyszli z chóru i ja sam jeden zostałem. Ciemno już było, lampa tylko migała przed ołtarzem... gdy w tem usłyszałem stapanie za mną... Zmora mię przebiegła. Aż tu obok mnie stanął ksiądz kustosz, który siedział w konfesyonale i czekał na mnie

— Zgaduję, bracie — rzekł on — twoje postanowienie; niech cię Bóg w niem utwierdza! a ja cię życzliwą kapłańską ręką błogosławię!

Ukląknę. Przeżegnał mię, uścisnął za głowę, ukląknął potem obok; zmówiliśmy *Te Deum laudamus*, i wyszliśmy przez zakrystyę na klasztorne kurytarze.

Dopadłem spiesznym krokiem mojej celi, za mną ksiądz kustosz; tam spakowawszy bez ładu, ale i bez żalu, a nawet z niejakąś pociechą, moje suknie i pasy do kuferka — to, ojcze! — rzekłem — zanieś do siebie; oddaję wszystko do twojego rozporządzenia.

— Nie, bracie! — odpowiedział *pater* — zaniemiemy obadwa kuferek ten do zakrystyi; bo już to nie moje ni twoje, ale ofiara Twoja Bogu, który myśli i serce twe widzi. Ot co jest!

Dictum factum. Kuferek został w zakrystyi, a ja, pożegnawszy księdza przeora, udałem się na spoczynek,

i bez żadnych żalów lub *molestacji*, najspokojniej zasnąłem..

XI.

N a z a j u t r z .

Ledwom się ocknął, wszedł do mnie brat Bonifacy *serbitor*. — Ksiądz kustosz pozdrowia! — rzekł on, i habit położył mi przy łóżku; nic więcej nie powiedział i wyszedł.

Wstałem, włożyłem kapotę i poglądałem na habit... wtem zastukał do celi ksiądz kustosz idący na mszę; bo zawsze mi ten znak dawał, i ja wnet spieszyłem za nim słuchać jego mszy, albo służyć. Jakoż i teraz służyłem; a po mszy, rozebrawszy się w zakrystyi, rzekł do mnie: A cóż? panie Michale! jak uważam, znowu odnieść trzeba kuferek do celi.

— A niech mię Bóg od tego uchowa! — rzekłem, bo przy ofiarowaniu Mszy świętej, znowu duch nowy, i jakby pragnienie habitu, weszło mi do duszy. Już to wyraźnie cud Boski i powołanie; więc aż dreszcz mnie przeszedł na tę propozycję odebrania nazad ofiary.

— Owszem, *reverendissime!* — odpowiedziałem — idźmy do celi, i wnet się oblekę w zakonną sukienkę. Raz ślubowałem Bogu i Jego Matce Przenajświętszej; determinacji mojej nie zmienię. Krótko mówiąc, włożyłem habit, podstrzygłem włosy, ogoliłem odrastające wąsy. Wyznaję, że gdym się paskiem podpasywał, pas lity był

na sercu... ale to krótko, bo poznałem w tej pokusie sprawkę szatana: więc przeżegnałem się i złoto z głowy znikło; a ksiądz kustosz obecny temu wszystkiemu, zdjął z siebie krzyż piękny na taśmie jedwabnej i mnie na szyi zawiesił.

Wnet poszliśmy do celi jego i za jegoż rozkazem zadzwoniono trzy razy w dzwonek klasztorny; zatem zeszedli się wszyscy księża, bo w klasztorze nie dzwonek, ale *obedientia* dzwoni.

— Oto jest — rzekł kustosz — nowy brat nasz Michał, ot co jest! który wstępuje do naszego zakonu nie z żadnych światowych pobudek, ale z czystej *wokacyi*, którą go Bóg nawiedził. *Gaudeamus* zatem, bracia mili i przyjmujemy go *apertis manibus*: bo i z nauki i z obyczajów będzie on pożytecznym Bogu i ludziom. Ot co jest! Dziś w czasie wotywy odprawi on swoją pierwszą *professyę*.

— A potem — odezwał się ksiądz Rafał, stary definitor — przejść powinien na *probanta* i *servitora*.

— A czy waści — odpowiedział kustosz — uprzykrzyły się smakowite obiady i wieczerze, które z jego łaski zjadasz? Co nam po takim *serwitorze*? Ja sam wiem najlepiej, że on z pokornem sercem wchodzi do zakonu. Obacz waszeć w zakrystyi, jakie piękne złotolite materyalne i sajetowe suknie oddał ochotnie na ofiarę Bogu, a na ozdobę naszego kościoła: znaczy, że się wyrzekł szczerze marności światowych. *Serwitorów, defintorów* mamy bez liku, ale ludzi pożytecznych za mało! Ot co jest!

Ksiądz Rafał spuścił nos na kwintę.

— Bracie Michale! — mówił dalej kustosz — zdaję waszeci zupełnie naszą *dyspensę*, sklep i kuchnię; dodaję

jako i dotąd w pomoc naszego starego kanaparza i spuszczam się na ciebie; patrzaj, abyśmy naszego ojca prowincyała, którego codzień się spodziewam, uczciwie przyjęli. Ot co jest!

Gdy *patres* wyszli, podziękowałem mu za okazaną dla mnie tak wyraźną *benevolentią*, i rzekłem: Podobno, *reverendissime*, zakonnik nie może mieć ani grosza własnego: oto mój mały zapasik — i podałem kieskę z kilkunastu talarami; excypuję tylko sobie, *si licet*, dukata *cum effigie* Najświętszej Panny.

— *Iterum, iterumque gaudeo!* — rzekł, ściskając mię za głowę — z tak pobożnej twej intencji; ale jeszcze tak ściśle regule zakonnej nie ulegasz, i ulegać, jako *frater* a nie *pater*, nie będziesz, tem bardziej, że co do pieniędzy, prawdę mówiąc, nie przestrzegamy jej *quo ad assem*. Bo i u któregoż bernardyna mogłoby się znaleźć wiele pieniędzy? a że który tam ma jakąś złotówkę na tabakę, to i niech zdrów ma. Więc i ty możesz ten zapas zachować; użyj go na dobry uczynek, a kiedy i krewniaka jakiego wesprzesz, nie zgrzeszysz. Ot, co jest! A cóż zrobim z szabelką? — zapytał jeszcze, uśmiechając się.

— Odeszłę ją przy okazji memu przyjacielowi podczaszemu Swiebodzie; ma on *Harasima*, niechże go ożeni z moją *Elżutką*.

Nadjechał wkrótce i ksiądz prowincyał, a za nim kilku gwardyanów jadących razem do Nieświża na kapitułę. Nie powstydzilem się z kuchnią; cokolwiek się na przystawkach ukazało przed *patrami*, warte było ich

gęby. Nie traktowałem ja ich żadnymi pańskimi frykasami, ale hultajski bigos, rosół z indyka, zrazy zawijane, pieczeń huzarska — a w środy, piątki i soboty, kaletki postne, śliże, szczupak na żółto w szafranie, wszystko czysto i smaczno ugotowane, tak, że nic do *kontencyi* zupełnej nie brakowało.

— Kto u ciebie, bracie? — zapytał ojciec prowincyał kustosza — tak smakowicie jeść gotuje?

— To niedawny dworak, marszałek wielkiego pana, a teraz nasz braciszek Michał Ławrynowicz, któremu zdałem dyspensę i kuchnię; a odtąd z jego starania i *experiencyi*, smaczniej jadamy. Ot co jest!

Gdym więc przed księdzem prowincyałem postawił przystawkę z kapłonem śledziami nadzianym — *gratias ago!* — rzekł on, spojrzawszy na mnie i zmierzwszy od stóp do głowy.

Jest reguła zakonna, że całe zgromadzenie w klasztorze, do ktorego przybywa prowincyał, stawa *ex ordine* pojedynczo przed nim dla egzaminu, każdy o sobie i o klasztorze. Zawołano więc i mnie. *Kwestya pierwsza*: czy nie mam jakiej krzywdy lub skargi na kogo w klasztorze? — Nie. — *Kwestya druga*: Czy nie widzę jakiego zgorszenia, które pod obowiązkiem sumienia powinienem objawić? — Nie. — *Kwestya trzecia*: Jaki był mój stan przeszły, i co było powodem wstąpienia do zakonu?

Na to odpowiedziałem *summatim* i pokrótce całe moje życie, a szczególnie jak z przygody wojewodzińskiej przedzierzgnąłem się *insperate* na karmelitę, i *tandem* zapomocą Bożą na bernardyna.

Upodobał jakoś nikczemną personę moję ojciec nasz. Uważam ja — rzekł — że sprawiedliwie mi ksiądz ku-

stosz tutejszy mówił, że nosisz głowę nie dla proporcji. Zalecę mu, aby cię wziął za socyusza na kapitułę. Będiesz waszeć i tam w Nieświżu urządzał *sumptem* naszym, a potem obierzesz sobie rezydencyą gdzie sam zechcesz.

— Nie chciałbym — rzekłem — rozłączyć się z tutejszym księdzem kustoszem.

— To się da łatwo pomiarkować, a tymczasem *vale*.

Tak się i stało. Oto jestem w *Nieświżu*, gdzie przybyliśmy z księdzem kustoszem porządną bryką, zaprzężoną trzema spaszłemi końmi, a wyładowaną zapasami podróźnemi *omnis generis* i specyałami z klasztoru sióstr naszych Bernardynek mińskich, na drogę nam przysłanemi, oraz puzdrem pełnem, od którego klucze pod moją są *kustodyą*.

XII.

Kapituła.

Wielki, ba największy pan w całej Litwie jest ksiązę Karol Radziwiłł, ordynat Nieświżski, mieszkający w tutejszym zamku z licznym swoim dworem, koło którego żywi się szlachta, robi fortuny z jego dobrodziejstw, których i klasztorom Nieświżskim hojnie on udziela, a szczególnie naszemu bernardyńskiemu, którego jest syndykiem.

Najpierwej więc gdy się zebrała kapituła, ojciec prowincyał i wszyscy gwardyane udali się do zamku dla

homagium księciu jegomości, i z zaproszeniem na jutrzejsze solenne nabożeństwo.

Przyjął księżę łaskawie *patrów*, i oświadczył wzajemnie, że, jako syndyk, a zatem gospodarz w Nieświżskim klasztorze, sam swoich gości wiktować będzie, i sumpt na kapitułę na siebie przyjmuje.

Jakoż wnet wieczorem przypędzono kilka wołów karmnych i wszelakich do spiżarni nawieziono zapasów, toż siana i obroków do śpichlerzów; a do sklepu wtoczyliśmy kufę trojniaku, dwa antały wina i piwa beczek kilkanaście; ryb zaś na dni postne, z ogromnych stawów Nieświżskich dostarczać obiecano.

Nazajutrz, po solennem nabożeństwie, zbierali się ojcowie do refektarza i zasiedli na kapitułę. Wszedł tam i księżę, otoczony liczną asystencyą swojego dworu, ale zdjął z siebie wszystkie swe pańskie dystynktorya, ordery i brylanty, a nawet zamiast bogatego pasa, bernardyńskim paskiem się podpasał.

Przypatrywałem się ciekawie temu sławnemu panu, bo o nim i na dworze pana wojewody, i na dworze pana Burzyńskiego starosty, gdzie wprzód zostawał, wiele się nasłuchałem. Persona to okazała, wieku już podeszłego, łeb golony, wąs zawieszisty, brwi i powieki nad oczami nawisłe, z pod których gdy poprowadzi wzrokiem, to aż dreszcz człeka przechodzi, głos jak tuba; a jednak mimo tej swojej powierzchowności, jest to najwspanialszy i najlepszego serca pan. Często tylko krotochwilny i szumny, ma przysłowie *panie kochanku!* i gdy go pytają: który Radziwiłł? odpowiadają zwyczajnie: księżę *panie kochanku*, a to znaczy *ordynat Nieświżski*.

Otóż gdy wszedł księżę do refektarza, powstali ojcowie i księcia na pierwsze zaprosili krzesło, a ksiądz

prowincyał piękną go *ex abrupto* powitał oracyą, dziękując i za dobrodziejstwa jego dla zakonu świadczone, i za honor, który czyni kapitule swoją *prezencyą*, zapraszając go owszem do prezydencyi w tem *conclave*, (ale *subintelligitur*, że to tylko dla ceremonii mówił), a nakoniec polecając duszę jego Bogu, jako i świątobliwych przodków jego.

Ksiązę odpowiedział:

— Przyjmuję wdzięcznie, panie kochanku, tę *recognicyą* waszego affektu ku mnie, i świętym modlitwom waszym się polecam. A na kapitule, jako syndyk tutejszego klasztoru, mam prawo bywać, więc nie ubliżę memu obowiązкови.

Po tej ceremonii wyszedł ksiązę, a ojcowie *obstupuerunt* na to oświadczenie jego, że na sesyach kapituły bywać postanowił. Łamali sobie głowy, skąd jemu ta fantazyja? wymawiali nawet prowincyałowi, że go zapraszał; zresztą zaprzeczyć temu nie mogąc, pocieszali się nadzieją, że po kilku sesyach przejdzie mu ochota i uwolni ich od subiekcyi ulegania jego *preponderencyi*.

I prawda... uwolnił on nas pięknie od wszelkiej subiekcyi, bo zakończył kapitułę w dni kilka, któraby się może bez niego i kilka tygodni przeciągnęła. A to po swojemu, takim sposobem: gdy przyszło do wybierania gwardyanów i kustoszów do rozmaitych klasztorów, ksiązę, nie czekając na *vota* i *consilia* definitorów i jubilatów, zaczął *ad velle sui* rozporządzać i wyznaczać.

— Waść, Panie-kochanku! — rzekł naprzód do mego księdza kustosza mińskiego — będziesz tu u mnie w Nieświżu gwardyanem, bo terazniejszy ksiądz Humilian już postarzał i ocieżał, na nic mi nieprzydatny. Kilka razy zapraszałem go, panie kochanku, na obławę, ani razu

nie poszedł, a waść kiedy tu przed kilku laty byłeś gwardyanem, to aż do Łachwy ze mną na polowanie jeździłeś i ogromnego niedźwiedzia zabiłeś.

— Ależ wasza książęca mość mylisz się zapewne, bo lubo byłem tu gwardyanem i słuchałem ochotnie w czem mogłem rozkazów księcia, ale na obławie żadnej nie byłem, a nawet na mojem życiu nie wystrzeliłem bodaj ni razu. Ot co jest!

— Co? Panie-kochanku! nie wierzysz, że zabiłeś niedźwiedzia? A to całe moje myśliwstwo przyświadczy! Otóż waść będziesz znowu gwardyanem w *Nieświżu*, waść w *Buckawiu*, waść w *Wilnie kustoszem*; waść do *Citowian*, a waść do *Bienicy*... i tak dalej, jak z rejestru.

Więc Ojcowie zaczęli pomrukiwać i przymawiać księciu, że się tak liberalnie do woli swojej stosować każe.

Książę na to powstał ze swojego krzesła, uklonił się wszystkim niziutko. — *Mea culpa*, Panie-kochanku, *mea culpa!* — zawołał i wyszedł pokorniechno z refektarza, kropiąc się przy drzwiach święconą wodą. Ale jak tylko na kurytarz się dostał, pokazał co umiał: Zabrał wszystkie klucze odemnie i od kanaparza, pozamykał i postawił warty przy dyspensie, przy *świrnach* i sklepach, kazał wygasić ogień na kuchni, sagany i rądle powyracać, a sam powrócił do zamku, zabrawszy z sobą podszyndyczego.

Trudno opowiedzieć jaki to rozruch sprawiło w klasztorze. Pomieślały się sejmiki kapitulne, o obiedzie ani pomyśleć, słowem, nie było innej rady, jak co najrychlej przeprosić księcia, aby uniknąć głodowej śmierci. Prowincyał zatem z dwoma *patrami* udali się na zamek z demonstracją, ja za nimi niby dla asystencyi, a prawdę

mówiąc z ciekawości. Ale gdzie tam? Księżę rozdąsany nie dał im mówić, a sam zawołał:

— A tak to waszeć, Panie-kochanku, czynicie zadosyć swojej regule i przysiędze na ubóstwo? Tam stoi, że syndyk, Panie-kochanku, karmić was powinien, klucze od wszystkich składów klasztornych pod jego pasem mają zostawać, pieniądze w jego szkatule, a waszeć o tem wszystkim ani dudę. Za nic macie ustanowionego przezemnie podsyndycznego, radzicie sobie jak infulaty, Panie-kochanku, a on, mój namiestnik; z czapką pod pachą stać przed waszecziami musi. Książdz gwardyan sam szafuje ze skarbnicy klasztornej, a przecież, Panie-kochanku, bernardyn ani grosza mieć nie powinien, ani znać nawet stępla pieniężnego, a waszeć w obłęzeniu *tamquam* trzymacie mojego kasyera, gdy przyjdzie termin wypłaty *pro-wizyi*. Odtąd Panie-kochanku, wydawać będę codzien dla waszeczów ze spiżarni klasztornej obiad i wieczerzę; do mnie waszeć na *porcye* i *konsolacye* przychodzić macie, a skarbnica zakonna pod moją syndykowską zostanie *kustodyą*. Ojciec gwardyan niech pilnuje chóru i dalszych *officyów*, a do rządów klasztornych ani nosa, Panie-kochanku!

— Ależ, mości księżę dobrodzieju! — przemówił prowincyał — tymczasem dzień dzisiejszy cały głodni będziemy: ogień na kuchni zalany, jedzenie wyrzucone...

— Tak, tak, Panie-kochanku! słusznie i sprawiedliwie to się stało. Za pokutę, wszyscy waszeć, od prałata do brata, zjecie obiad u mnie na zamku i jeszcze jedną *penitencyą* odbyć musicie. A potem, Panie-kochanku, zasiądziecie tu na *conclave*, a ja sam klasztorem urządząć będę.

Powróciliśmy zatem do klasztoru. Tam *ex consilio*

wypadło uledez woli księcia, aby mu co gorszego do głowy nie przyszło. Co do drugiej obiecaney *penitencyi*, pewni wszyscy byliśmy, że on nas w kaplicy zamkowej przez *miserere* przeprowadzi: bo to u niego nie nowina, i sam w wielkie piątki częstokroć się biczuje jak należy. Cały więc konwent stawić się musiał do zamku. Wszakże mieliśmy nadzieję, że po obiedzie, i dajmy to już po drugiej *penitencyi*, pozwoli nam ksiązę powrócić do klasztoru.

W ogromnej, tak nazwanej hetmańskiej sali, rozciągnięto stół od końca do końca, ale bez obrusa. Zamiast półmisków, przystawki klasztorne, na długiej desce rzędem ustawione, obnosili bracia *serwitory*. Na środku stołu wznosiły się dwa antały, wina i trojniaku. Ksiązę sam zasiadł między ojcami i hojnie się częstował, a nas, marszałek jego dworu, pan Fryczyński, i przypominał nam, tocząc z antałów do dzbanów, a ze dzbanów nalewając do szklanek, że trzeba wspomagać ojców starszych, bo ich ksiązę zapoi. Jakoż odzywał się on często, gdy który z nich pić wzbraniał się: Znaj waszeć, że ja syndyk! mnie *obedientia*, Panie-kochanku! — Więc nie wstaliśmy od stołu, aż oba antały się wypróżniły.

— Otóż to druga pokuta, Panie-kochanku! — wstając od stołu, przemówił ksiązę syndyk bełkocącym już nieco językiem, i zataczając się, wyszedł z sali. A tymczasem wozy i konie nasze wszystkie przeprowadzono do stajen zamkowych, nam obszerne i wygodne na dole w zamku wyznaczono kwatery, a bramę zamknięto, żołnierze zaciągnęli wartę, i póty do klasztoru wrócić ni-

komu nie dozwoło, aż póki sejmiki kapitulne nie ukończyły się. Poszły więc prędko i naturalnie po woli i dyspozycji księcia.

Obiady szły, jako i pierwszy, aż na ostatnim, znowu dwa antały stanęły na stole. Znowu *penitentia* i *obediencia*. A nakoniec uraczywszy nas i siebie, rzekł książę, powstając:

— Kapituła skończona! *Solvuję sesyę* na lat trzy, i na drugą do *Nieświża* zapraszam, a tymczasem módlcie się waszeć za moją duszę, jakoś mi to przyrzekł, księżę prowincyale, Panie-kochanku!

XIII.

Instrukcja na kwestę i na odjazd z klasztoru.

Gdy tak książę syndyk rozporządził się ładem z naszą kapitułą, my z moim byłym kustoszem mińskim zostaliśmy w Nieświżu, on gwardyanem, a ja bratem do wszelkich *oficyów* klasztornych pod jego ręką. Wróżyłem więc sobie takie same życie i obowiązki, jako i w Mińsku, gdy w kilka dni po rozjechaniu się kapituły, zawołał mnie ks. gwardyan do siebie i rzekł:

— Oto masz, bracie Michale, *obediencyę*, dziś tu od księdza prowincyała przysłaną, na kwestarza tutejszego klasztoru. Wybieraj się więc, i jutro ruszaj w Imię Boże! Ot co jest.

— A mnie to na co?

— Na to, abyś i sam, i my wszyscy mieli co jeść przez zimę. Wiesz, że z łaski dobrodziejów żyjem. Ojciec prowincyał, poznawszy cię dobrze, i wiedząc żeś dworak i bywalec, żyłeś na świecie i znasz *mores*, obrał cię do tej posługi, jako najzdatniejszego. Widać w tem życzliwość dla klasztoru; a lubo go wcale o to nie obli-gowałem, ani tegom sobie życzył, jednak na jego miej-scu toż samobym zrobił. Nareszcie, krótka sprawa — *obedientia!* Ot co jest!

— Nie mam co na to odpowiedzieć, ojczy! ależ kiedy kwesta się nie uda i powrócę z niczem?

— To być nie może; żadnemu kwestarzowi jeszcze się to u nas nie zdarzyło. A lubo nie to już teraz co dawniej bywało, kiedy kwestarz ile baranów, tyle we dwoje jeszcze talarów przywoził, kiedy fury za nim i przed nim wlokły pszeniczkę do naszych śpichrzów, wszelakoż i teraz nikt jeszcze kwestarza nie wypędził z domu; jeszcze pobożność, dobroczynność i ludzkość żyją na Litwie. Ot co jest! A mówiąc prawdę, i teraz jak dawniej, jest jakaś powszechna u wszystkich i wszędzie domowa przychylność dla Bernardynów. Dla tego ruszaj waszeć, jak mówiłem, i powracaj przed *porcyunkulą*, ale ani mi się pokazuj bez kopy baranów, bo cię na miesiąc w ciupę zasadzę. Ot co jest! — dodał z uśmiechem.

A to mi *pater periculosus!* — pomyślałem.

— Ależ *Reverendissime*, ja nie wilk, chwytając baranów nie będę; ile dadzą, tyle nazbieram.

— *Racya!* Nie jesteś wilkiem, ale nie trzeba być i osłem. Ot co jest! Wiedz, bracie, że pomyślność kwesty najwięcej od kwestarza zależy. *Est modus in rebus*,

jak to ludzie powiadają. Są ludzie, i takich chwała Bogu więcej, którzy wyglądają i czekają corocznie kwestarza, jak bocianów na wiosnę; tacy obaczywszy cię zdaleka, dawno przeznaczonego barana sami naprzeciw twojej trzodki wypędzają; tacy przyjmą cię serdecznie, ucęstują suto i zatrzymają na noc, dla pocziwej i dobrodusznej gawędki, do której tęsknią przez cały rok; takim na podziękowanie szczere *Deo gratias* wystarczy, bo tacy wierzą we wdzięczność i dla tego radzi na nią zasługują.

Są inni, zupełnie tamtym przeciwni, którzy postrzegłszy cię w bramie, wnet myśleć będą, jakby cię gładko wyprawić, od takich i dobre słowo wiele warte, a prosić i naprzykrzać się nie należy; modlić się za nich owszem potrzeba, aby ich Bóg natchnął łaską swoją świętą i większą chęcią wspomagania bliźnich. Ot co jest!

Ale są jeszcze inni, a to najczęściej wielcy panowie, u których, jak wiesz, hojność od humoru zależy; otoż w tem sztuka, aby ten humor pobudzić mądrym żarciem, wesołą dykteryjką, delikatnem przymówieniem się, jakiemu odmówić wstydy im było. Potrzeba panie bracie, umieć zarzucić, iż tak rzekę, wędkę do morza wspaniałości pańskiej, a na haczyku na przynętę *koncept* uczepić, i wyciągniesz barana, albo i dukata. Waść dworak, potrafisz więc sobie doradzić! ale i w tem miej uwagę, że inna jest dworszczyzna świecka, a inna bernardyńska; nasza rubaszniejsza wprawdzie, ale jak w tamtej trzeba czasami umieć zatrzymać język za zębami, tak w naszej za habitem. Ot co jest! *Intelligis?* Zresztą *usus te plura docebit.*

Wychodziłem zatem gdy mię jeszcze zatrzymał ks. gwardyan.

— Ale! rzekł on, lubo figura twoja nabywa już *cyrkumferencyi* bernardyńskiej, lecz masz jeszcze ostatki ze światowych nałogów, których koniecznie odrzec się potrzeba. Porzuć waść naprzód ulubioną fajeczkę, bo to nie moda nawet i w klasztorze, a tembardziej na kweście. Nikt jeszcze kwestarza z fajką nie widział. Natomiast weź dobry zapas tabaki naszej *bernardynki*. Cały świat zażywa tabakę, i *bernardynka* sławna na cały świat. Będziesz więc mógł przysługiwać się tabacznikom i brać za nią barany, a sam łatwo przywykniesz, bo to *trzeźwi i żeźwi*. Spróbuj waszcć. — Gdym zażył i kichnął — Ot co jest! — wykrzyknął ks. gwardyan — A co? *Vale!* Daruję ci i tę tabakierkę na początek. Powtóre mówisz waść zawsze: *Panie Dobrodzieju! Mości Dobrodzieju!* a u nas niema ani *Mości*, ani *Panów*; wszyscy zarówno są nasi *Dobrodzieje* tylko, i czysto bez dodatków *Dobrodzieje*. Gdybyś z nowemi *denominacyami* i obyczajami wyjechał na świat, kwestaby ci się pewnie nie powiodła. Kwestarz bez mowy i głowy kwestarskiej, a co gorsza, z mową światową i modną, wyszedłby jak *Zabłocki na mydle*. Tak, bracie, pokornie i wesoło, choćby i mądrze nawet niekiedy, ale zawsze po prostu, po dawnemu, to grunt! Takim obyczajem poprzednicy nasi zasłużyli zakonowi łaskę Boską i miłość ludzką. Trzymajmy się tej drogi, bracie! a kiedy ona chybiać już zacznie, kiedy szczerłość, prostota i pokora nie będą już trafiać do serc, zły to będzie znak, bracie, nie tylko dla nas, ale i dla wszystkich, bo natenczas jad niedowiarstwa i pogardy naszej świętej religii, który teraz po kropli spada między nas gdzieniegdzie, rozszerzy się jak plaga egipska między narodem!..... Daj Boże tego nie dożyć!

— A zkadże te nieszczęśliwe wróżby? *Reverendissime!*

— Oho! bracie! nie taki ja głupi, jak waszeć myślisz. Ot co jest! Przechodziłem ja różne stopnie zakonne; jestem nie chwając się *Doktorem ś. Teologii*, której byłem lat kilka professorem w Wilnie, i razem kaznodzieją tamże, a nakoniec *Lektorem* przez czas nomały. Znam ja i rozważałem zkad zło idzie; umiem ja, a przynajmniej rozumiem i francuzczyznę, bodajby jej u nas nigdy nie było!... w niej arsenał szatana, i z niej on bierze truciznę, którą na nas biednych garściami rzuca. Ale w Bogu nadzieja! Ot co jest! Nie czas o tem myśleć. Smutno mi będzie bez ciebie, bracie, bom do ciebie serdecznie przywykł; zimę za to przepędzimy razem i nagramy się wieczorami w arcaby i w maryasza.

Masz starego klasztorneho furmana, Marcina, który kilku już kwestarzy odwoził, masz dwa wozy, dwa stare konie, dwa barany *prewodyry*, i psa wiernego na stróża twojej przyszłej trzody, i wozów; ot cała twoja drużyna. A więc *Deus te benedicat, ducat et reducat*. Ot co jest.

Poszedłem więc do stajni i poznałem się z moim towarzyszem podróży, Marcinem, który porządkował się do drogi. Nazajutrz zatem, wysłuchawszy rano mszy świętej i wzięwszy benedykcyę kochanego mego ks. gwardyana, siadłem na wóz.

Na przodzie Eliasz i Barabasz, dwa piękne rogate barany z dzwoneczkami na szyjach, przy nich pies *Pamfil*, za nimi Marcin na kałamaszce, wielkim a chudym koniem dropiatym, i nakoniec ja na drugiej, siwą i tro-

chę chromą kobyłą. W bramie Marcin przeżegnał się i zaintonował »*Zawitaj ranna jutrzeńko!*« ja mu zawtórowałem, i tak pobożnie śpiewając, przebyliśmy z naszą kalwakatą miasteczko.

XIV.

Legendy starego Marcina. Pan rotmistrz.

— Gdzież pojedziem? Marcinie! — zapytałem, przejechawszy miasteczko.

— Gdzie oczy poniosą, mój Jegomość!

— Tyś nieraz z kwestarzami jeździł, więc prowadź, jak znasz lepiej.

— Już to, mój Jegomość, do bliskich tu dworów niema po co zajeżdzać: bo panowie z sąsiedztwa co niedziela bywają w kościele i u ks. gwardyana, to on i sam u nich najlepiej wykwestuje; nam więc potrzeba odsadzić się dalej trochę od gniazda. Na obiad zaprowadzę Jegomościa do mojego starego przyjaciela, p. Jana Bielewicza, strażnika lasów książęcych, stąd o mil trzy. Zawsze od niego zaczynamy kwestę; jego baran szczęśliwy, bo poczciwą ręką i nie żałując daje; a choć powiadają o nim, że umie strzelby zamawiać i zwierzynę na swój cel ściągać, ale to nieprawda, bodaj im takie zdrowie! Zwierzyny u niego huk, cóż to dziwnego? zna pole i wie, kiedy na jakiego zwierza czy na ptastwo najlepszy czas, a uczył się do tego rejestru u sławnego

pana Wołodkowicza, którego zastrzelili w Mińsku. Potem książę przyjął go do siebie i dał mu porządne podłowiectwo; ożenił się zatem, już ma synów jak dębów i córeczkę jak jagodę; owdowiał, prawda, ale cóż robić? taka była wola Boska i siedzi sobie teraz spokojnie, jak daj Boże, do wieku każdemu poczciwemu.

— Dobrze, jedźmy — rzekłem — do p. Bielewicza.

Wlekliśmy się więc noga za nogą, mówiąc pocichu paciorki. Mój pan woźnica stawał niekiedy, dozwalając baranom poskubać trawki i potrząsając tabakę z rożka, a oglądając się na mnie niekiedy z jakąś skrzywioną miną; ja wzajemnie rozważałem jego *posturę*. Stary, ale czerstwy, wąs i czupryna siwe i gęste, twarz i nos czerwony, oko żywe, jak u młodego; miał na sobie habit, przekrojony na kapotę, na nim szarą płócienną czujkę, z kapiszonem z tyłu dla okrycia od deszczu głowy, na której teraz wysoka czapka z czarnego barana sterczała, na płaszczu zawieszona koronka, a po kapocie spięty szerokim skórzanym pasem, z za którego rożek z tabaką wyglądał.

Po kilku takich popasach i poglądach na mnie, przerwał on nakoniec długie nasze, a widać uprzykrzone jemu *silentium*.

— Ależ Jegomość milczysz jak pień.

— A cóż mam gadać? mój kochany Marcinie!

— A to Jegomościu trzeba było zostać kapucynem, bo kapucyni podobno nic nie gadają. Może Jegomości zdaje się, że gadać z furmanem, to na godność Jegomo-

ściągą nie przystało; ale ja i prowincyałów wozili, a brat za brat ze mną dyszkurowali.

— I owszem, panie Marcinie, i ja chętnie będę z tobą dyszkurował, tylko że ja pierwszy raz w tych stronach, więc o niczem nie wiem; chyba ty mnie rozpowiadać będziesz, a do tego jedziem pojedynczo, więc trudny rozhovor.

— Na wszystko jest sposób. Ja wyuczyłem moje konie regularnie; można jak chcąc puszczać ich, i naprzód i w tył, a kieruję głosem. Dropiaty jeszcze rozumniejszy, bo sam do dworów zawraca się, i nawet kiedy on zawróci się, to śmiało zajeżdżaj... z próżnemi rękami nie odjedziesz. Więc ja sjadę z Jegomościem, i będzie nam obydwom weselej, a przesiadając, pośniadamy sobie. Dobądź tylko dobrodziej puzderko — rzekł, złażąc z wozu.

— A czy jest i puzderko?

— Oho! znać, że Jegomość pierwszy raz kwestujesz. A jakżeż? i nie próżne: bo nim kto nam naleje, swój zapas na początek mieć potrzeba.

Dostał więc Marcin z pode mnie puzderko, o którym nie wiedziałem, i chleba bułkę. — Czekam z rąk Jegomości — rzekł do mnie; potem, wychyliwszy miarkę, która się także w puzderku znalazła, kroił zakąskę. — Elias i Barabasz przyszli także po swoją porcyę: w długich wędrówkach przyswoił on ich do rąk; znali się z nim jak towarzysze. Pamfil też zjadł śniadanie, a Marcin, usiadłszy ze mną: *Hej, dropiaty!* — krzyknął, i dropiaty powłókł się naprzód, a siwa za dropiatym.

— Czy wiesz Jegomość, jakie to na prawo nieznanome miasteczko?

— To *Mir*. A wiesz Jegomość, jaki tam jest dzwon?

— Nie wiem.

— Otóż ja Jegomości powiem, bo o wszystkim i wszędzie wiem cokolwiek. Człowiek to jakoś urodził się ciekawy, mowny, łowny i *gadatiwus*, więc lubię posłuchać i rozpowiadać, kiedy co warte. Otóż o tym dzwonie jest taka *dykteryjka*:

Nasz książę Panie kochanku jeździł dawniej po cudzych krajach i wojował z poganami: sam to często opowiada; więc tak mu raz przyszło kuso i niebezpieczno, że różne czynił *wota* pobożne, aby cudem Boskim ująć pewnej zguby. Otóż ślubował wtenczas kościołowi *mirskiemu* taki dzwon, aby gdy w *Mirze* na rezurekcyę zadzwonią, w *Nieświżu* słychać było; a to cztery mile, mój Jegomość!

Więc jak tylko powrócił do *Nieświża*, kazał zaraz lać dzwon w *Mirze*; wylali jeden, dzwonią na próbę — nie słychać w *Nieświżu*; Panie-kochanku dodaje złota i srebra do materyału, każe wylewać drugi, większy; znowu leją i znowu dzwonią cały dzień! — nie słychać! a trzeba koniecznie wypełnić *votum* co do joty; leją więc dzwon trzeci...

Tymczasem jednego wieczora, Panie-kochanku w dobrym będąc humorze, baraszkował sobie między swoimi i łgał, na czem świat stoi: bo to już jego taki zwyczaj. At, zwyczajnie panu wielkiemu wszystko wolno. Prawi cudactwa i każe wszystkim wierzyć. Kiedy jednak przebrał miarękę, nie dotrzymał pan Michał Chodźko, który był pierwaj koniuszym u księcia, kiedy ja byłem maszta-

lerzem, a potem on wyszedł na pana, a ja na furmana, i jest zawsze faworytem księcia; powiedział więc: Mości książę! dzwon mirski słyhać! — Wszyscy nadstawili uszu, ale nikt nie słyszał. Książę tylko potakiwał panu Chodźce i mówił: A widzicie waszeć, jaki głośny mój dzwon! Dopełniłem *votum* regularnie. — A jakże nie ma być głośnym — podchwycił Chodźko — kiedy książę pan cały dzień kłamiesz, zapewne na jego głos i pamiątkę?

— Bo Jegomość musisz wiedzieć, że kiedy gdzie dzwony leją, trzeba łącać różne nowiny; gdyby daleko się rozchodziły, to i głos dzwonów tak rozchodzić się będzie.

Książę nie rozgniewał się jednak, tylko śmiejąc się powiedział do Chodźki: Wasan sam taki, Panie-kochanku! — ale już dzwonu nie przelewał; owszem, ochrzcili go Karolem, zawiesili na dzwonnicy i książę zawsze powiada: *Słyhać Karola w Nieświżu!* — A kiedy kto zaprzeczy, to on mówi: Co ja winien, Panie-kochanku, że waś nie masz takiego słuchu, jak pan Michał Chodźko? a prawdę mówiąc, nie kłamie, bo i sam ma imię Karol, a kiedy zacznie huczeć po swojemu, to *słyhać Karola w Nieświżu* — i pokręcał głową Marcin.

— A czy nie wiesz co, Marcinie, o tych sławnych złotych apostołach księcia?

— Oto, nie wiem! jakże nie wiem? pan Bukowski, szatny księcia, rozpowiada o nich każdemu, bo ich widział i woził. Szczero złote były, mój Jegomość! a wielkie jak chłopczyki od lat sześciu.

— Ej, czy nie mniejsze?

— A kto ich tam mierzył? dość, że książę, wybierając się na wojnę z poganami do cudzych krajów,

wziął z sobą i apostołów; zawiózł ich najpierwej do Gdańska, a potem gdzieś dalej. A jak nie stało pieniędzy... A hej! dropiaty! na prawo! a hej!

Wjechaliśmy krętą dróżką w ciemne lasy. Marcin przestał mówić o apostołach, bodaj z gniewu, że ich już niema, czy namysławiając nową legendę, gdy turkot pojazdu i koni dał się nam słyszeć z daleka.

— Kogoś spotykamy — rzekł Marcin. — Może da Bóg dobry początek.

Dropiaty usłyszał także tentent, a przywykły wiadać do zakonnej pokory, zszedł z drogi, — ile gęstwina dozwalała, — a Pamfil pobiegł naprzód i ujadać zaczął.

Pokazał się wnet na przodzie konny Jegomość, suto i buńczucznie ubrany, w taratatie gęsto taśmami złotymi szamerowanej, z zawieszistą szlifą na jednym ramieniu, z ładownicą na szerokiej taśmie złotej, z pałaszem na pendencie i kołpakiem pikowanym na głowie. Poznałem więc po ubiorze, że żołnierkę traktuje.

Za nim jechał luzak po ułańsku z chorągiewką, a za ułanem wóz czterema tęgimi końmi zaprzężony, na którym jeszcze jeden *sługus* i przy furmanie kozaczek z bandurą; za wozem nakoniec szły przywiązane dwa konie podwodne.

Sam czupurny, ale wesołego oblicza, z pięknym wąsikiem, którego pogładziwszy wdzięcznie, spojrzął na mnie wspaniale, i założył za pendent książeczkę, którą w rękę trzymał.

— *Laudetur* Jezus Chrystus!

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedział.

— A z którego klasztoru Pan Bóg prowadzi?

— Z Nieświża, Jaśnie Wielmożny... Dobrodzieju -- przypomniałem w samym zaczęciu naukę księdza gwardyana.

— Stój! — krzyknął on na swój obóz, z którym nam trudno się było rozminąć, więc i ja się zatrzymałem.

— A czy jest książę w zamku?

— Niema — odpowiedziałem — wyjechał niedawno do Białej ¹⁾.

— To źle. Chciałem po drodze złożyć mu moje *homagium*. Zapewne dziś jeszcze z klasztoru, bo nie masz baranów.

— Tak jest, dobrodzieju!

— Aleś młody na kwestarza. To jakaś zapewne awantura wpędziła cię w kaptur.

— Wcale nie. Taka była wola Boska i prawdziwa *wokacya*.

— Może i to być; w twoim jednakże wieku i zdrowiu, jak uważam, lepiejbyś wyglądał na koniu i w szeregu, jak w habicie i na kałamazce. Wiesz co? porzuć to wszystko, siadaj ze mną. Przebiorę cię wnet i jeżeliś szlachcic, zrobię cię towarzyszem w pińskiej brygadzie, w mojej chorągwi, której jestem rotmistrzem. Co waść na to?

Rozgniewałem się na ten niespodziany werbunek.

¹⁾ Hrabstwo bialskie, dobra książąt Radziwiłłów, w obwodzie białostockim.

— Jestem szlachcic — rzekłem — równy każdemu. A cóżbyś pan rotmistrz powiedział na to, gdybym zaproponował wzajemnie, abys zrzucił swoje bogate rycerskie ozdoby, bo to wszystko *vanitas* i przypomniawszy na pieśń świętego Łazarza, a na koniec nędzny bogacza, który »*pychę w sercu swem chował*«, oblekł się w nasz ubogi bernardyński habit, który ja panu dostarczę? — Bo gotów jestem w takim razie wnet powrócić do *Nieświża*.

Una salus servire Deo, caetera fraudes!

Bardzo *ad casum* przypomniałem sentencję z mojego raptularza.

— Oho! — odpowiedział rotmistrz — to za mądrze na kwestarza. Zgadłem, że musiałeś wprzód żyć na większym świecie.

— A jużci kwestarzem nie urodziłem się, ale kiedy na wzajemne propozycje nasze nie zgadzamy się, to niech Bóg szczęśliwie dobrodzieja prowadzi, a ja ruszam w moją drogę.

— Poczekaj — rzekł pan rotmistrz, zsiadając z konia, — nie rozstawajmy się w tak złych dyspozycjach: bo ani mnie dziś w podróży, ani waści w kweście się nie powiedzie. Nie chciałem cię wcale obrazić, dlatego i nie gniewam się za twą odpowiedź. Komu innemu możeby to na sucho nie uszło, lecz z tobą, bracie, zapijem tę sprawę. Dobyć z wozu zapasy!

— Niech i tak będzie, jak twoja łaska! — rzekłem.

Dobyto więc nie żołnierskie, ale pańskie specyały: wódeczka gdańska, z którą odnowiłem dawną marszałkowską znajomość, potem wyborne szynki i pieczenie; tak, że się posiliło na cały dzień.

Pan rotmistrz ochoczo i wesoło częstował. — Daj dowód, mówił on, apetytem, żeś z prawdziwej wokacyi wstąpił do Bernardynów. — A gdy Marcin z innej flaszki skosztowawszy staruszki, pokręcił głową i rzekł do mnie: To nie nasza podróżna, mój Jegomość!

— A macieź puzderko? — zapytał panisko.

— Mamy, JWpanie! — odpowiedział Marcin, który bodaj i umyślnie się domówił.

— Nalać — rzekł rotmistrz — flasz parę starej, a flaszkę gdańskiej kwestarzowi i dać mu szynkę na zakąskę.

— To dla ciebie, a to dla klasztoru — dodał, kładąc mi w rękę trzy dukaty ze złocistej i pękatej kieski wydobyte — weź na pamiątkę rotmistrza pińskiej brygady, który kwestarzy do żołnierki werbuje.

— Bóg ci zapłać — rzekłem, ściskając pokornie kolana tak wspaniałego dobrodzieja. — On siadł na konia i ruszył swoim obozem.

Gdym ja na swoją siadał kałamaszkę, spostrzegłem na ziemi książeczkę, wypadłą zapewne z za pendentu rotmistrza; podjąłem: o jakże się zdziwiłem, przeczytawszy tytuł: »*Żołnierskie nabożeństwo*«¹⁾.

O zacny! o poczciwy! o bogobojny rycerzu! pomyślałem sobie, niechajże cię wszystkie kule mijają! a twoja ręka, jak *Dawida*, niech wali *Goliatów*! Powiadają, że w żołnierce ludzie się psują, że tam niema ani Boga, ni wiary; otóż dowód oczywisty, że to fałsz i *kalumnia*. Pan widać z panów, od złota świeci jak słońce, a prze-

¹⁾ Książeczka ta do nabożeństwa dawniej dość pospolita, teraz nader rzadka.

cież w drodze pobożnie z książeczki modli się, urazy po chrześcijańsku przebacza i jeszcze hojnie obdarza tego, który go obraził. Ksiądz gwardyan choć powiadał, że doktor i teolog, bodaj więcej sobie roi złego na świecie, niżeli jest w rzeczy samej.

Wtem ułan pana rotmistrza dognał nas, pytając, czy nie znaleźliśmy pańskiej książeczki do nabożeństwa? — Oddałem więc oną, wprzód pocałowawszy pobożnie i rzekłem: Powiedz twemu panu, że oto tak całuje nogi jego ubogi Bernardyn kwestarz — nietylko za to, że go hojnie obdarzył, ale i za to, że w pańskim jego ciele pobożna i chrześcijańska dusza. A jak się nazywa twój pan?

— Jaśnie wielmożny rotmistrz Chomiński! — i odjechał.

— No! no! godny pan! niema co powiedzieć. Mówiłem, że Bóg da nam początek dobry; choć mógłby dać śmiało i jeszcze z parę czerwieńców, bo worek dyabelnie pękaty; ale teraz ludzie skąpieją.

— A milczże do licha, — rzekłem — czyż jeszcze mało? Wszakże nawet o tobie nie zapomniał i upodobanej wódki starej parę flasz nalać kazał.

— Oj, bo ja nie głupi; ja za jedną gdańskiej wyprosiłem jeszcze dwie starej u tego, który szafuje dobrem pańskim; a zatem mamy nie dwie, ale cztery flaszki staruszki.

— To źle, panie Marcinie, bo nie pamiętałeś na mnie; ja wołę jeden kieliszek a dobrej wódki, niżeli dwa a lada-jakiej, bo upijać się nie lubię.

— To nie po bernardyńsku, mój Jegomość! Mniejsza o smak, byle wiele i zdrowo; to grunt! a stara wódeczka do głowy nie idzie, tylko żołądek ogrzewa. Cały świat wie o tem i cały świat mnie za ten handel pochwali. Jegomość pij i nie dbaj. A hej! *dropiaty!*

Nie było co odpowiadać mrukliwemu Marcinowi, a w tem wyjechaliśmy na pole, na którym domostwo pana Bielewicza ujrzelśmy.



OBJAŚNIENIA

DO CZĘŚCI PIERWSZEJ.

- Str. Wiersz
- 21 6: *do poezymy inclusive*. Szkoły dawne, mianowicie jezuickie, dzieliły się na klasy, zwane od głównych przedmiotów, jakie w nich wykładano; była więc: gramatyka, syntaxis (składnia), poetyka, retoryka, filozofia i teologia, a prócz tego klasa wstępna, zwana najniższą: *infima*.
- 21 11: *currente calamo* = biegle, bez patrzenia na wzór.
- 22 22: *per abbreviationem* = skróconym sposobem.
- 22 27: *frekwentował* = uczęszczał.
- 23 6: *parentela* = powinowactwo.
- 23 10: *addytament* = dodatek.
- 23 14: *potens* = potężny.
- 23 16: *postpozycya* = lekceważenie.
- 24 2, 3: *non tam libenter, quam reverenter* = nie tyle z ochoty, ile z uszanowania.
- 24 7: *ad continuationem* = w dalszym ciągu,

Str. Wiersz

- 24 15: *cyrkumstancye* = okoliczności; *eventa* = zdarzenia.
- 24 21: *per extensum* = w całej osnowie.
- 24 23: *in publico* = publicznie, w sprawach publicznych.
- 25 3: *adornowany* = przyozdobiony, wśród ozdób odmalowany.
- 25 24: *summa facit* = razem, w sumie.
- 25 25: *demestyka* = arkusz.
- 25 26: *w rekompensę* = w nagrodę.
- 26 2: *w echcie* = prawdziwego.
- 26 21,22: *pro et contra* = za i przeciw.
- 26 29: *lizna* = zbyteczna, niepotrzebna.
- 27 6, 7: *sibi soli* = dla siebie samego.
- 28 3: *laus tibi Christe* = chwała Ci, Chryste.
- 29 16: *rychteyt* = richtet euch = formujcie się, do szeregu.
- 30 6: *quam maxime* = jak najbardziej.
- 30 30: *gredyturowych*, właściwie: grodeturowych (*gros de Tours*), jedwabnych.
- 31 15: *reassumpcyą* sejmiku nazywało się pierwsze jego uroczyste zebranie się.
- 31 20,21: *submisya* = złożenie uszanowania.
- 31 22,23: *preeminencya* = przodkowanie.
- 31 25: *ad unanimatatem* = do jednomyślności.
- 32 7: *exwisceracye* = wywnętrzenia się.
- 32 19: *sajetowy werdragonowy* = materyalny zielonkawatego koloru.
- 33 17: *tandem* = tedy, w końcu.
- 33 24: *insperate* = niespodzianie.

- Str. Wiersz
- 34 3: *stallum* znaczy właściwie krzesło; tu bierze się w znaczeniu stanowiska.
- 35 9: *skorumpować* = przekupić, na swoją stronę przeciągnąć.
- 35 10: *medyator* = pośrednik.
- 35 15: *derpski* = dorpacki.
- 35 20: *agrawować* = potępiać.
- 35 24: *semotis arbitris* = bez świadków.
- 36 2: *in circuitu* = w obrębie.
- 36 3: *akcya* = sprawa sądowa.
- 36 16: *gravamen* = obrazę.
- 36 18: *nego activitatem* = zaprzeczam prawa brania czynnego udziału.
- 37 20: *summo mane* = bardzo rano.
- 39 10: *recepta*, pierwotnie wyraz ten był używany, zgodnie z pochodzeniem łacińskim, w liczbie mnogiej, obecnie już forma *recepta* stała się rzeczownikiem rodzaju żeńskiego.
- 39 19: *quantitas* = mnóstwo.
- 39 25: *misy rantowe* = półmiski; *oładki* = rodzaj pa-sztecików.
- 40 3: *in casu necessitatis* = w razie konieczności.
- 40 9: *volens nolens* = chcąc nie chcąc.
- 40 17,18: *propter utilitatem publicam* = dla użytku ogólnego.
- 40 20: *lautissime* = bardzo obficie.
- 42 8: *expostulacye* = przeprosiny.
- 43 15: *mały paczek* = mała paczka.
- 43 18: *vulnerarium* = lekarstwo na ranę.
- 43 30: *mea culpa... mea maxima culpa* = moja wina... moja wielka wina.

- Str. Wiersz
- 46 1: *consilium bellicum* = rada wojenna.
- 46 4: *periculum* = niebezpieczeństwo.
- 46 19: *oppressive* = przemocą.
- 46 20: *plenissime* = najzupełniej.
- 47 16: *in ordine* = w zakonie.
- 47 17: *crematum* = gorzałka, wódka.
- 47 22: *okolica* znaczy tu zaścianek szlachecki.
- 47 25: *dictum — factum* = co powiedziano, to zrobiono.
- 48 11: *magnificenter* = wspaniale.
- 48 18: *sudanny* = chudy.
- 48 27: *circiter* = około.
- 49 3: *de nomine et cognomine* = z nazwiska i przydomku.
- 49 24: *obstupuerunt* = osłupieli.
- 51 5: *stemus simul* = stójmy razem.
- 51 12: *materya status* = rzecz dotycząca państwa, a więc zasadnicza, główna.
- 51 20: *jure victus* = przekonany sądownie.
- 51 23: *ex nunc solita praxi* = natychmiast według pospolitego zwyczaju.
- 52 16: *spectaculum* = widowisko.
- 52 29: *ex abrupto* = bez przygotowania.
- 53 5: *cum laudo circa securitatem publicam* = z uchwałą co do bezpieczeństwa powszechnego.
- 53 8: *laudum* = uchwała.
- 53 19: *in tractu* = w ciągu, w czasie trwania.
- 53 20: *tanquam contumax* = jako wichrzyciel.
- 54 4: *de radice* = z pochodzenia.
- 54 25: *ambijenci* = kandydaci ubiegający się o urząd.
- 55 11: *ut sequitur* = jak następuje.

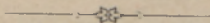
Str. Wiersz

- 55 12: *copiatim* = co do słowa.
55 31: *salvo respectu* = z całą czcią.
56 1: *in praejudicium* = ku naruszeniu.
56 4: *civis et servus* = obywatel i sługa.
56 5: *ausus sum* = ośmieliłem się.
57 5: *ex opposito* = przeciwnicy.
57 6: *pluralitas* = większość.
57 21: *quo jure* = jakim prawem.
59 13: *sumpt spendować* = koszta łożyć.
60 19: *a festis* = w święta.
61 10: *merita* = zasługi.
61 14: *princeps nobilitatis* = pierwszy wśród szlachty.
62 6: *quod jure, juste* = co słuszne i sprawiedliwe.
65 3: *wykocić* = wytoczyć.
66 8: *periculum in mora* = niebezpieczeństwo
w zwłoce.
68 1: *locum tenens* = zastępca.
68 21: *in connubio* = w małżeństwie.
69 19,20: *przewertował* = przetłómaczył.
71 26,27: *supponitur* = domyśla się; *animal est* = jest
zwierzęciem.
73 8: *strictissime* = nader ściśle.
73 12: *praeter propter* = mniej więcej.
73 26: *contraria* = sprzeczności.
75 8: *ex libro doctus, ex capite stultus* = mądry
z książki, głupi z głowy.
76 29: *Libityna* wzięta tu została w znaczeniu śmierci.
77 9: *Zoil*, osławiony krytyk Homera, bierze się
wogóle w znaczeniu krytyka złośliwego, a nie-
rozumnego.
77 14: *acuminose* = dowcipnie.

- Str. Wiersz
- 78 17: *fulminował* = piorunował.
- 78 19: *bene natus* = dobrze urodzony.
- 79 23: *kulkiem z góry* = koziołkiem.
- 80 9: *facies rerum* = postać rzeczy.
- 80 20: *silentium* = czas milczenia w klasztorze, kiedy niewolno mówić.
- 81 2: *Sub tuum praesidium* = pod twoją obronę.
- 81 11: *Vinum laetificat cor hominum* = wino rozwesela serce ludzkie.
- 82 14: *wokacyi* = powołania.
- 82 29: *transfiguracya* = przemiana.
- 82 30: *pro hac sola vice* = na ten jeden raz.
- 83 10: *Sic fata tulerunt* = tak losy chciały.
- 84 5: *obedientią in scriptis* = zalecenie piśmienne.
- 84 11: *in ocluso* = w tajemnicy.
- 84 27,28: *homo proponit, Deus disponit, et Deus te benedicat* = człowiek robi zamiary, Pan Bóg rozstrzyga, a niech cię Bóg błogosławi.
- 85 9, 10: *digitus Dei* = palec boży.
- 85 16: *finis* = koniec.
- 85 23: *pipeę* = beczkę.
- 86 2: *soli* = samemu tylko.
- 86 19: *Salve! Reverendissime! salve!* = Witaj! Przewielebny! witaj!
- 86 22: *tanquam* = niby.
- 87 13: *in summo gradu* = w najwyższym stopniu.
- 87 17: *verte* = przewróć.
- 88 1: *bene dixisti* = dobrze powiedziałeś.
- 88 4: *sine dubio* = bez wątpienia.
- 88 12: *computatis, computandis* = zważywszy, co zważyć należy.

- Str. Więsz
- 88 16: *peto mecum* = proszę ze mną.
88 17: *victum et amictum* = pożywienie i odzienie.
88 23: *Vale* = bądź zdrów.
89 7: *kanaparza* = szafarza.
89 10: *ad interim* = tymczasem.
89 11: *dyspensą* = spiżarnią.
89 29: *consilium* = narada.
90 1: *Patres et Fratres* = ojcowie i bracia.
90 3: *requies* = odpoczynek.
90 3, 4: *post requiem* = po odpoczynku.
90 4: *colloquia* = rozmowy.
90 7: *de puro grano* = z czystego ziarna.
90 13: *stricte* = ściśle.
90 26: *et id genus* = i tego rodzaju.
91 4: *asperges* = pokropienie, część obrzędu kościelnego.
91 6: *antepedia* = zwisająca z ołtarza przykrycia.
91 30: *sine missa* = bez prawa odprawiania mszy.
93 20: *Te Deum laudamus* = Ciebie Boga chwalimy.
94 5: *servitor* = posługujący.
95 13: *Gaudeamus* = cieszymy się.
95 14: *apertis manibus* = otwartymi rękami.
96 6: *benevolentią* = życzliwość.
96 9: *si licet* = jeśli wolno.
96 10: *cum effigie* = z wizerunkiem.
96 11: *Iterum, iterumque gaudio* = coraz bardziej się cieszę.
96 15,16: *quo ad assem* = co do grosza.
97 14,15: *gratias ago* = dziękuję.
97 18,19: *ex ordine* = kolejno.
97 27: *summatim* = ogólnie.

- Str. Wiersz
- 98 12: *omnis generis* = wszelkiego rodzaju.
- 98 15: *kustodyą* = straż.
- 99 1: *homagium* = złożenie hołdu.
- 99 16: *dystynktorya* = odznaczenia.
- 100 1: *ex abrupto* = bez przygotowania.
- 100 4: *conclave* = zebrania urzędów kościelnych.
- 100 5: *subintelligitur* = rozumie się.
- 100 9, 10: *recognicyą* = oznaką.
- 100 14, 15: *obstupuerunt* = osłupieli.
- 100 20: *preponderencyi* = przewaga.
- 100 27: *ad velle sui* = według woli swojej.
- 102 21: *officyów* = obowiązków.
- 102 29: *penitencyę* = pokutę.
- 105 27: *pater periculosus* = ojciec niebezpieczny.
- 105 32: *Est modus in rebus* = Jest na wszystko sposób.
- 106 29: *Intelligis* = rozumiesz?
- 106 30: *usus te plura docebit* = wprawa nauczy cię więcej.
- 107 17: *denominacyami* = nazwa.
- 108 20: *Deus te benedicat, ducat et reducat* = niech cię Bóg błogosławi, prowadzi i przyprowadzi z powrotem.
- 115 1: *Laudetur* = niech będzie pochwalony.
- 115 2: *In saecula saeculorum* = na wieki wieków.
- 116 4: *vanitas* = marność.
- 116 10: *Una salus servire Deo, caetera fraudes* = jedynym zbawieniem służyć Bogu, reszta złudą.



CZYTELNIA POLSKA

❧ TOM IV. ❧

IGNACY CHODŹKO.

PAMIĘTNIKI KWESTARZA.

WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI OPATRYŁ

Dr. PIOTR CHMIEŁOWSKI.

CZEŚĆ DRUGA.

KRAKÓW.

STARANIEM S. SZCZEPANOWSKIEGO i A. POTOCKIEGO.

1898.

XV.

U pana Bielewicza. Wołodkiewicz.

W wielkich puszczech Radziwiłłowskich żyją podłowczowie jak w folwarkach. Książęta osadzają tam najwięcej swoich zasłużonych sług ze szlachty, i byle sprawowali się pocziwie, a stawali sprawnie i ochoczo na polowanie i obławy, mają tam kawał chleba z ojca na syna. Leśnicy włościanie zarabiają im ziemię i koszą siano po lasach; mają prócz tego pensyjkę ze skarbu książęcego; ze zwierzyny nie zdają ścisłego rachunku i niczego im nie braknie.

Tak sobie siedzi i pan Bielewicz, staruszek czerstwy jeszcze i jary. Sam odemknął nam wrota i wyprzedził mnie nawet w pobożnem powitaniu, bo ja na dziedzińcu lub w izbie chciałem powiedzieć: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!* a on we wrotach toż samo powiedział; Marcin odpowiedział mu *na wieki wieków!* a ja zostałem się z niczem.

Podwórko małe ale czyste. Na środku krzyż z Męką Pańską, okratkowany i daszkiem pokryty; domek z pry-

zbami dla siedzenia i grzania się na słońcu, z większemi okienkami po jednej stronie w świetlicy, z mniejszemi przykurzonemi po drugiej w piekarni; naprzeciw domu świronek z oknami u strychu, za któremi tłuste polcie, połędwicy i kiełbasy wędzone dyndały na powietrzu; dalej inne gospodarskie, małe ale opatrzone stajenki, odryny i chlewki. Około nóg starego myśliwca dwoje psów gończych płatało się, a tłusty wyżeł leżał spokojnie na przyzbie.

— Bóg zapłać Jegomościu dobrodziejowi, żeś do mnie zawitał — rzekł pan Bielewicz.

— To ja przywiozłem dobrodzieja, bo to nowicyusz, nie wiedział gdzie zawrócić, a ja zawsze zaczynam kwestę od Jegomości — odezwał się Marcin.

— Dziękuję więc i waszeci, panie Marcinie! rozgość się po staroświecku w stajni z siwą i dropiatym; *Eliaszka* i *Barabasza* puść na osiedlicę, a jegomości dobrodzieja do izby proszę.

W izbie znaleźliśmy młodą gosposię za krośnami; jest to córka pana Bielewicza. — No, Hanulko! rzekł do niej staruszek, dodaj do obiadu zabitego wczora szaraka, bo Bóg dał miłego gościa. A Jegomość dobrodziej dziś odpocznij u nas, bo choć niewiele jeszcze ujechałeś, ale wiele jeszcze masz przed sobą. Na obiad powrócą i moi synkowie, to i oni do nóg Jegomości dobrodziejowi uniżą się.

— Dziękuję, rzekłem, memu kochanemu dobrodziejowi za takie kordyalne mnie przyjęcie; na odpoczynek nawet do jutra chętnie przystaję, zwłaszcza że dzień dzisiejszy, za łaską Boską, dobre nam nadarzył spotkanie, które opowiedziałem panu Bielewiczowi.

— Jeździłem i ja niegdyś — rzekł on — po całej Litwie a szczególnie po województwie Mińskiem, gdym był dworzaninem u pana Wołodkowicza, niech Bóg świeci

nad jego duszą, gwałtem z tego świata na tamtem wypchniętą.

— Czy nie o tym Wołodkowiczu mówisz, który w Mińsku na trybunał napadł, i który strzelał baby jak kukawki?

— A o tym samym, tylko że to fałsz to strzelanie bab na drzewach, jakby nam innej zwierzyny mało było. Hajdamaka byłci to wprawdzie, ale też były czasy kaducznie hajdamackie; kto był zuchwalszy, kto duższy, ten i lepszy, ten miał i większą konsyderacyę, i szanowano go więcej, bo się lękano. Owszem, takiego gracza możniejsi panowie, potentaci nasi używali do sprawek i zuchwałości, na które sami odważyć się nie chcieli; dla tego nie było dnia, gdybyś nie posłyszał o zabojach, zajazdach i *wiolencyach* wszelkiego rodzaju.

Wołodkowicz był adherentem, a podobno i kolligatem naszego JO. pana i dobrodzieja, księcia Karola *panie kochanku*, który za życia swego ojca, księcia Michała *rybeńku*¹⁾ hetmana, był natenczas jeszcze miecznikiem litewskim. Szalona to za młodu była głowa, nim się piwko uchodziło. Kiedy zacznie bywało szumieć, a sprawiedliwiej mówiąc szaleć po Nieświżu, to *rybeńku* każe zwozić mosty, aby do zamku nie wpadł. Więc gdy czy z jakiego partykularnego *rankoru*, czy z *imprezy* ułożonej, książę chciał komu dopiec, Wołodkowicz wnet stawał gotowy, i spełnił co do joty zamiary i wolę księcia dodawszy jeszcze i swojego.

Ale co najgorsze było, że w młodym wieku, bo wszystkiego nie miał lat trzydziestu, gdy zginął, polubił on sobie

¹⁾ Przysłowie księcia Michała Radziwiłła, wielkiego hetmana W. X. L.

często pałkę zalewać. Wtenczas taki z niego bywał waryat, że albo jemu pomagać, albo uciekać trzeba było. Samemu diabłu by nie ustąpił! Jakoż nieraz latał w nocy jak szalony z gołą szablą po polach, po błotach i cmentarzach, a wyzywał upiorów i diabłów na pojedynek, tylko że żaden nigdy nie stanął na placu. Natenczas skarżył się Wołodkowiec: — Co to za nieszczęście moje! książę Karol ile razy zechce, to bije się z diabłami, a ja nigdy żadnego doprosić się nie mogę.

Zły duchże i jemu podszeptał postanowienie zostania deputatem na trybunał na *kadencyę* ruską, która się w Mińsku odbywała, do czego także go książę prowadził i przyjaciołami Radziwiłłowskimi na sejmiku wspomagał; a nakoniec gdy został, do *sumptu* hojnie się dołożył, bo i kamienicę nam swoją w Mińsku na kwaterę oddał i z dóbr blizkich wszystkiego na kuchnię dostarczać kazał; a jeszcze przysłał *assynacyę* do kupców na wino, ileby tylko nam potrzeba było

Z początku szło wszystko wyśmienicie. Pan statkował; wprawdzie bankietował i traktował po pańsku, ale nie szalał i nie hajdamaczył; obrano go nawet podskarbin trybunalskim. —

Marszałkiem trybunalskim był natenczas Sapieha¹⁾, a vice-marszałkiem *Morykoni*. Ale Sapieha nie przyjechał na początek sądów, a Wołodkowiec nie rad był, że niżej siedział od Morykoniego, którego Włochem i cudzoziemcem nazywał. Lecz i toby jeszcze uszło, bo pan Morykoni uwa-

Michał hrabia Sapieha, starosta puński, krajczy litewski, 1759—1760 r. Vice-marszałkiem Michał Morykoni, starosta poniński.

żny i umiarkowany pan, puszczał słowa Wołodkowicza mimo uszu; ale przypadła jakaś sprawa naszego *fami-lianta*, czy Radziwiłłowska, bo tego nie pamiętam, w której Wołodkowicz chciał na swoim postawić, a to nie udało się; powrócił więc z sądów jak lew rozjuszony i zaczął pić po dawnemu, przeklinając śmiertelnie cały świat, a wyzywając i wyzywając wszystkich diabłów z całego piekła. Poznaliśmy, że będzie źle! Nuż my reflektować, nuż prosić, nic nie pomaga; zebrał hałastrę, która mu pić i wrzeszczyć pomagała, i nas pić przymusza. Całą noc, potem cały ranek jednostajna pijatyka i odkazanki, nakoniec pod wieczór wybiera się na trybunał.

Wszyscy przytrzymywaliśmy go jak mogli, i za poły, i za ręce, i za pas; ja upadłem mu do nóg, prosząc, aby nie szedł. — *Kiryelejson!* — krzyknął — odpychając nas, bo to było jego przysłowie, gdy bywał w największej po pijanemu zajadłości. — Pójdę, choćby mnie tam diabli wziąć mieli! pójdę i nauczę tego Włocha, kto ja i kto za mną! — Widocznie ufał nieborak w Radziwiłła, a Radziwiłł był daleko!...

Szliśmy więc za nim; a że to było w wigilię festu Najświętszej Panny Maryi *Gromnicznej*, ofiarowałem się więc, leżąc krzyżem w czasie nabożeństwa, całej mszy tak wysłuchać, na *intencyę*, aby nam ten wieczór na sucho uszedł ale nie było mi potem czasu dopełnić tego *votum*.

Gdy przyszedł na ratusz, gdzie sądził się trybunał, warta puściła go jako deputata, choć sąd był w namowie; my zostaliśmy w izbie przeciwkowej, w tłumie palestry i panów aplikantów.

Ledwo drzwi za sobą zamknął Wołodkowicz, wszczął się tam zgiełk szalony, potem szcęk szabli, a nakoniec otworzyły się nagle drzwi i krzyknęło — *Warta! warta!*

Wtenczas ujrzeliśmy naszego pana przypartego do ściany, któremu odbierano szablę, a on *tuzak się* ze wszystkimi i starał się dostać do drzwi.

W ten moment przypadł *Krajewski*, rotmistrz i komendant żołnierzy trybunalskich, a zanim kilkunastu *gemeinów*. — Kryminał! krzyczano ze wszystkich stron; krew ciekła z ręki pana *Dłuskiego*, deputata ludzkiego, a co najgorsza, kawałek krucyfixu, z rączką od figury srebrnej Pana Jezusa odcięty, leżał na stole. Poznałem, widząc to, że wyzywany po tyle razy szatan kierować natenczas musiał ręką mojego nieszczęśliwego pana, bo on, chcąc przez stół dostać pałaszem Morykoniego, gdy ten się uchylił, ciał po krucyfixie.

Porwał więc *Krajewski* ze swoimi *Wołodkowicza*, ale z wielką męką, bo to był człowiek młody, silny i *determinativus*; porąbałby i żołnierzy, gdyby *Szwykowski*, także deputat a sławny osiłek, nie wyrwał mu z rąk szabli. Kiedu już go tak wzięli obławą i prowadzili, to jest nieśli gwałtem, to jak się uparł we drzwiach rękami, aż uszaki wzruszał, a ze złości pieniał się i ryczał, od czci i wiary wexując cały trybunał, a szafując diabłami że aż uszy wiedły. Oj, nigdy ja nie zapomnę tego tertesu i samego *Wołodkowicza*, bo on natenczas był czysty potępieniec.

— Do turmy! do kordegardy! i okuć ekscessantu, kryminalistę! — zawołał Morykoni do *Krajewskiego*, — i wartować z ostrą bronią!

Poznałem, że nieprzelewki! Poleciałem więc do kwatery, porwałem garść dukatów ze szkatuły pańskiej, która zawsze była pod moim kluczem, dopadłem konia i ruszyłem, ile on mógł wyskoczyć do *Nieświża* szukając księcia *Karola*, bo on jeden mógł nas uratować.

O mil ośm koń padł, szczęściem blisko karczemki, kupiłem u żyda drugiego, płacąc ile chciał, i leciałem dalej. Stałem w Nieświżu w nocy. Dostukałem się do dworku znajomego mi doktora, i dowiedziałem się, że księcia miecznika niema, że polował aż w Białej¹⁾ na niedźwiedzie. Odmieniwszy więc znowu konia, puściłem się dalej. Noc ciemna choć oko wykol, i zawierucha powstała okrutna. Zbiłem się z drogi i musiałem czekać dnia w bliskim od Nieświża zaścianku, a nazajutrz, dostawszy już saneczki, jechałem prawda, wygodniej, ale nie tak pospiesznie, jak rzecz wymagała.

Szóstego aż dnia pod wieczór dopadłem księcia i to w głębokich tutejszych ostępach. Gdym opowiedział co się w Mińsku stało, ksiązę jak oniemiał. -- Panie kochanku! — krzyknął potem — Pan Michał sfiksował się!

— Ratuj, ksiązę panie, bo zginie!

— Ja go z turmy wyratuję, choćby przyszło odbić, ale od biedy nie wyratuję. Niema on co popasywać w kraju. To eksces niesłychany!

Ksiązę wnet zabrał myślistwo, i w nocy przyciągnęliśmy do Białej.

Wielu godnych panów i z sąsiedztwa i przybyłych z księciem, polowało z nim razem, którym gdy ksiązę opowiedział z czem przyjechałem i zapytał o radę, każdy inną podawał: jedni zupełnie zaniechać i nie wtrącać się do niczego; drudzy pisać do Sapiehy, do Morykoniego i deputatów; inni, a między tymi pan Sołohub, nieodstępujący nigdy księcia, i bodaj przez ojca mu do konfi-

¹⁾ Hrabstwo bialskie w obwodzie białostockim.

dencyi akkomodowany, radził jechać do Nieświża i spuścić się na influencję księcia hetmana. — Radzicie mi wszyscy odezwał się książę, jak tchórze i partacze! a waść milczałbyś, rzekł do Sołohuba. Mam opuścić przyjaciela w nieszczęściu? Nic z tego nie będzie. Nie jedź sobie kiedy nie chcesz, panie kochanku! obejdę się i bez konsyliarzów, a dyrektorów moich dawno diabli pobrali. Mam zajechać do księcia ojca? a toć *rybeńku* nie puści mnie i za próg z zamku; każe *Mazzanemu* ¹⁾ zamknąć bramy, mosty pozwodzić, i księcia miecznika bez ceremonii do kozy zapakuje. Czyto już raz tak bywało? Czy waść sam, panie kochanku, nie instancyowałeś za mną w takich terminach? I prawdę mówiąc, za to tylko cierpię twoją filozofią i morały, któremi mię codzień napastujesz a z którymi schowaj się teraz.

— Jednakowoż, mówiono księciu, Wołodkowicz po takim *excessie* sądu i kary ujsć nie może, a spokojną i łagodną *influncją* więcej książę dokażesz, niżeli gwałtownym raptem na miasto i na trybunał, a zatem gorszym jeszcze *excessem*, który splami na zawsze honor i imię księcia, a zmartwi najmocniej księcia hetmana, ojca waszej książęcej mości!

I nakoniec... — zaczął znowu Sołohub.

— Cóż nakoniec? — przerwał mu rozgniewany książę.

Nakoniec możeby przyszło, cedził lękliwie jak przez zęby Sołohub, możeby przyszło waszej książęcej mości zmykać razem z Wołodkowiczem z kraju przed powszechną akklamacją, a potem starać się żelaznego listu, czego jeszcze z żadnym Radziwiłłem nie było.

¹⁾ Mazzani, komendant tamtoczasowy zamku i fortecy Nieświżskiej.

Księżę milczał, tylko głową kręcił; poznałem, że już miękczał w zapędzie; odezwał się jednakże, — Kossowski! a waść co na to?

Kossowski ten żyje i teraz przy księciu; księżę go lubi i z nim najczęściej baraszkuje, bo to wielki koncepcista, wydrwiwacz i śmieszne bardzo komedye udaje. Jak tylko księżę siedzi smutny, spuściwszy głowę i kułakami w kolana swoje tłucze, co znaczy że w złym humorze, albo że się gniewa na kogo, zaraz posyłają po Kossowskiego; już on potrafi i rozweselić pana, i wyprosić *pardon* dla winnego i w humor dobry wprowadzić¹⁾.

¹⁾ Kossowski był aktorem teatru nieświżskiego, a lubo teatr ten bywał tylko w czasie karnawałów i nie trwał stale, Kossowski jednak ciągle rezydował na dworze księcia, bez żadnego innego obowiązku, jak księcia i licznych zawsze gości dowcipem swym bawić i rozrywać. Nie był to trefniś z profesyi ale niejako locum tenens tej funkcyi. Nie odstępował on nigdy dworu i wszędzie bywał z księciem. Zdarzyło się, że raz w Warszawie król dowiedział się o nim. Ciekawy jego dowcipu i porównania z własnym podobnymże egzemplarzem, zaprosił księcia na obiad, obowiązując, aby w asystencyi swojej miał i Kossowskiego. Stało się jak król żądał. Gdy usiedli do obiadu, królewski chodził koło stołu i jak mógł zdobywał się na koncepta. Kossowski stał spokojnie i milczał; nagabywany nawet przez kolegę, zbywał go niczem. Po obiedzie król nie kontent z milczenia Kossowskiego:

— Mówiono mi, rzekł doń, żeś dowcipny i wesoly; dlaczegoż dziś tak milczący? powiedz przynajmniej, co myślisz o moim faceciście, któregoś tak spokojnie słuchał?

— Nie śnię, Najjaśniejszy Panie! — odpowiedział kłaniając się najpokorniej Kossowski.

— Mów śmiało, proszę.

— Bez ogródek? Najjaśniejszy Panie!

— Bez ogródek.

A wszyscy zbliżyli się i słuchali.

— On, rzekł Kossowski, większy głupiec, niż błazen.

Czasami nawet przytnie księciu; ale i to jemu uchodzi, bo ksiązę go lubi i zna przywiązanie do siebie. Kossowski tedy na zapytanie księcia odpowiedział:

— Mnie się zdaje, mości książe, że jak zacznem *klin klinem* wybijać, gdyby nas *kliny* nierozparły.

— Mówcie co chcecie, rzekł nakoniec ksiązę, ja pana Michała nie odstąpię. On duszą i ciałem mój! on mój przyjaciel *a corde!* a ja mam spokojnie czekać aż zginie. Nie moi panowie! nie!

— Kulesza! (to był łowczy księcia) ruszaj, panie kochanku, z całym myśliwstwem dniem i nocą do Kojdanowa; omijaj *Nieświż*; w Kojdanowie ¹⁾ *roztasuj się* w miasteczku i czekaj na mnie kupno; a rozpuść głos, że za przybyciem mojem pociągniem w Nalibockie lasy na dziki.

Myśliwstwo nasze, mój dobrodzieju to nie żart. Każdy strzelec ma barwę i porządny rynsztunek; kurtka i szarawary zielone, pas skórzany szeroki, z tyłu na sprzążki mosiężne spięty, z dwoma tuzinami ładunków, a przy nich flaszka oplatana z wódeczką, i w osobnej kieszonce nóż, krzesiwa, skałki i inne myśliwskie sprzęciki; fuzya także na zielonej taśmie przez ramię, a przez drugie na takimże

Kossowski więc znał różnicę prawdziwego dowcipu od śmiałego tylko głupstwa.

Inną razą jakiś możny pan, gość w Nieświżu, spotkawszy Kossowskiego, rzekł doń:

— Kossowski! bądź u mnie.

— Jakto? z wizytą?

— Nie, na rezydencji.

— A jakże nas dwóch pomieści się?...

¹⁾ Kojdanów, miasteczko Radziwiłłowskie, o mil pięć od Mińska.

sznurze trąbka, przytem koń z całym moderunkiem i para pistoletów w olstrach, a przy siodle trok na zwierzynę, oto cały porządek, bez którego gdyby ksiązę którego złapał, dałby sworami ze służby odprawę. A takich ludzi było i zawsze jest na polowaniu około księcia ze sto, nie licząc łowczych bo my, jak oficerowie tego wojska, uwijamy się i komenderujem na obławach.

Nazajutrz, a był to już dzień siódmy od mojego wyjazdu z Mińska, puściliśmy się podróż. Na jednych wielkich saniach łubem obitych, najakich pospolicie w ostępy na obławy się jeździ, jechał ksiązę z panem Sołohubem i z hajdukiem, na drugich ja z Kossowskim i z jednym książęcym pokojowym po cztery konie gęsiorem w zaprzęgu.

Książę nie folgował ani sobie, ani ludziom, ani koniom, ale cóż, kiedy nocami jechać nie mogliśmy? bo taka ciemność, a zawieruchy tak strasznie mroźne i nieustanne, że koniecznie noclegi odbywać przychodziło. Nałożyliśmy jeszcze drogi manowcami, mijając Nieświż; a tak, aż piątego dnia stanęliśmy w Kojdanowie. Znaleźliśmy już tam *Kuleszę* z myśliwstwem, który tegoż dnia rano tam się przybił, lubo wielu w drodze poprzystawało, i przez cały dzień ściągali się pojedynczo. A to już był dzień dwunasty od mego z Mińska wyjazdu..

Córka przerwała dyskurs pana Bielewicza, donosząc, że obiad gotowy.

Zebrała się więc drużyna; chłopcy dwa dorodne, synkowie gospodarza, wrócili z lasów, i zasiedliśmy stół, odwiedziwszy wprzód puzderko. Panna Anna uwijała się jako gospodyni, przysiadła z nami, ale często wybiegała

do piekarni; pomagał jej Marcin i przynosił potrawy, ale *per modum* jak przyjaciel, nie jak sługa, bo razem z nami nakładał sobie na miskę. Jedliśmy na talerzach z pięknej słuckiej gliny, białej jak farfura.

Barszcz ze schabkami smaczny, jakiego dawno nie jadłem zając i bekasy pieczone, a *sielanka* na trzecie; a na koniec przyniosła Anna dzban polewany jabłeczniku, któryby nam wszystkim wystarczył, gdyby się we drzwiach z Marcinem nie spotkał. Ten, ujmując niby fatygi panience a ciężaru dzbanowi, połowę duszkiem wychylił, i stawiając resztę na stole. — To — rzekł, — lepsze bodaj, jak nasze klasztorne piwo, które jeszcze ks. kanaparz chrześci wodą dla czeladzi, niech mu Pan Bóg odpuści. Jabłecznikowi temu przynajmniej lat dwie. Oj, znam ja się na tem!

— Dopijajże i resztę, a Anusia przyniesie dla nas drugi dzban.

— Lżej mi teraz, widzisz jegomość, gospodarzyć, gdy się dochowałem własnej gospodyni i tych chłopców. Lat ośm jak odumarła mi żona. Napłakałem się! Bogu o tem wiedzieć; a co się zmarnowało i potraciło w chudobie przez cudze ręce, tego już nie spędzić.

— Zdaje się, — rzekłem, — że i tej gosposi wkrótce możesz się pozbyć, choć chwała Bogu innym sposobem.

— Prawda, rozumiem; już miałem kilku swatów, ależ za to mogę nabyć na jej miejsce dwie synowe.

— Niech Bóg błogosławi — rzekłem. A tymczasem panna Anna drugi dzban jabłeczniku przyniosła.

Podziękowawszy Bogu a potem gospodarzowi za tak wyśmienite uraczenie, prosiłem o koniec *historii* Wołodkowicza.

Pójdźmy mój dobrodzieju, — rzekł gospodarz — do odryny na świeże sianko; odpocznem trochę, a potem dopowiem jegomości wszystkiego.

Gdyśmy się razem prawie ocknęli, przypomniałem obietnicę.

— A na czemże stanąłem? — zapytał Bielewicz.

— Stanęliście w Kojdanowie z Księciem.

— A tak w Kojdanowie znaleźliśmy pełną karczmę ichmościów to do Mińska to z Mińska, jadących; niektórzy nawet oczekiwali na księcia, dowiedziawszy się od Kuleszy, że wkrótce tu przybędzie.

Pierwsza nowina nieszczęśliwa, którą nam jadący z Mińska hurmem wykrzyknęli, to: — Wołodkowicz dziś rano osądzony na śmierć, *in triduo* będzie rozstrzelany.

— Nie doczekają! — krzyknął książę, ja ich samych.... Kulesza! na koń z ludźmi i mnie wybierz konia najlepszego z pod którego strzelca. A pilaty te! a Herody nie sędziowie! Drżał cały ze złości i tupał nogami. Otóż to twoje mądre *consilia!* panie Sołohubie! Bodaj cię wszyscy dyabli wzięli! panie kochanku!

— A cóż ja winien? wszakże nie opóźniłem podróży waszej książęcej mości.

— Tak, ale przez całą drogę bębniłeś mi nad głową, że Sapieha przez wzgląd na mnie modyfikować będzie rygor prawa i skończy się na wieży fundowej, z której Wołodkowicz uciecze.

— Sapiehy - bo nie ma Mińska, odezwał się jakiś jegomość. Vice-marszałek Morykoni trzyma laskę. Wprawdzie zaraz po akcji kilku posłańców poleciało do Bychowa, bo i Morykoni wysłał od siebie, i plenipotent księcia kraj-

czego pchnął od siebie tatarą. Powrócili wczora obadwa i odwieźli rezolucye. Jaka do Morykoniego? nie wiadomo. Do plenipotentą swego zaś odpisał, że wnet się sam wybiera do Mińska, a bez niego Wołodkowicza sądzić nie będą. Tymczasem, widać że trybunał pomiarkował coś z listu swego marszałka, więc zaraz Dłuski deputat lidzki, któremu Wołodkowicz rękę odciął, zrobił wniesienie; poczem nie schodząc z sądów i przez całą noc siedząc w namowie, zrana ogłosili dekret *poenam colli*, to znaczy na gardło i Wołodkowiczowi w kordygardzie przeczytali.

— Więc ani minuty nie ma do stracenia! — zawołał książę. *Periculum in mora!* panie kochanku! to znaczy się niebezpieczeństwo...

— Nie tłumacz mi jegomość łaciny, — przerwałem, bo ja umię po łacinie.

— Doprawdy? To ja pierwszego takiego kwestarza widzę, który umie po łacinie.

— A ja pierwszego podłowczego.

— I to prawda. No, to niechaj sobie... kwita.

— Dziwi mnie także — rzekłem, — jak wszystko tak wiernie pamiętać możesz, że słowa nawet powtarzasz.

— O! mój dobrodzieju! nie tak-że to dawno było; trzydziestu pono lat nie ma; a ja przegadując całą historię nie sto razy i dzieciom swoim i różnym tak jak jegomość ciekawym, wyuczyłem się jej na pamięć.

Już tedy książę miał ruszać, choć noc była ciemna, jako i przeszłe.

— My za tobą, książę! — krzyknęli wszyscy zebrani w karczmie.

— Dziękuję, pokornie dziękuję, — rzekł książę, — że biednego Radziwiłła nie opuszczacie. Kto ze mną,

panie kochanku i ja z tym! A te tam Filistyny, na złość mnie chcą zabić mojego przyjaciela.

Wtem mocno zastukano do karczmy, a że pełną była, więc żyd i czeladź nie wpuszczają. Zastukał zatem w okno i zawołał ktoś: — A jest tu książę miecznik litewski?

— Jest panie kochanku! A kto waś taki?

— Rupejko, dobry sługa waszej książęcej mości.

Jadę z Nieświeża i pilno mi do księcia pana.

— A puść pana podstolego — zawołał książę.

Pan podstoli Rupejko, sławny głowacz, mecenas trybunalski żyje dotąd podobno, ale zebrawszy znaczną substancję, wyniósł się na Żmudź i kupił tam fortunę. Był on sługą i plenipotentem księcia hetmana, a miał i u księcia miecznika wielkie zachowanie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł wchodząc. — Chwałaż Bogu że księcia złapałem.

— Na wieki wieków, panie kochanku! A na co mnie łapiesz? i z kąd wiedziałeś że ja tutaj?

— Książę hetman, ojciec waszej książęcej mości, wie dokładnie *quo ad horam* obroty księcia; dlatego wystął mnie tu wiedząc, że tu w. ks. m. myśliwstwu czekać na siebie kazałeś.

— Dobry hetman, panie kochanku, z mego pana ojca, gdy takich ma szpiegów. To wiecie zapewne już, że Wołodkiewicz na śmierć osądzony?

— Nie, tego jeszcze nie widziałem, i książę hetman, gdym z zamku wyjeżdżał; ale jam to przewidywał, bo podług prawa stać się inaczej nie mogło.

— Nie mogło! nie mogło! otóż ja w tem, panie kochanku, że inaczej się stanie. No, o cóż więc idzie? panie podstoli, mów prędko, bo wnet siadam na konia.

— Czy nie mógłbym na osobności pomówić z księciem?

— Nie ma się czego wstydzic, panie podstoli! wszyscy tu są przyjaciele domu naszego, mów więc co masz.

A zatem zaczął perorować pan Rupejko przed księciem, jak przed trybunałem. Już oracyi spamiętać nie mogłem, choć pilnie i ja i wszyscy słuchaliśmy. Ale treść rzeczy była taka: że ksiązę jako hetman, zakazuje księciu miecznikowi mięszać się w tę sprawę, a jako ojciec, zaklina, aby pamiętał na swoje imię; że Radziwiłłowie wiernie zawsze i poczciwie służyli krajowi; że salwowali często niewinność i sprawiedliwość, ale nigdy nie bronili takiej swawoli i występku, na który *horret animus!* że gdy ksiązę hetman odmówił powiększenia warty trybunalskiej, a wasza ksiązęca mość odbijesz teraz *delinkwenta*, który napadł na trybunał i któregoś sam na deputata wykierował, cała zatem wina tej akcyi padnie jak na syna, tak i na ojca, a cały świat *suplikować* będzie znowę obudwóch z Wołodkowiczem na rozpędzenie trybunału, w którym zwłaszcza kilka spraw Radziwiłłowskich wątpliwego znaczenia *indukować* mamy. Słowem, Rupejko tak ze wszystkich stron dojeżdżał księcia, tak konwinkował, tak kruszył, nakoniec ksiązę impetycznie zawołał:

— Dość, panie kochanku, dość! Dajże radę na miłość Boga, dajże radę!

— Rada krótka i gotowa mości ksiązę! Zaniechać Mińska, wrócić do Nieświeża, uspokoić ojca.

— To niepodobna, panie podstoli, to niepodobna! Prawda, zgrzeszył Wołodkowicz i ciężko zgrzeszył, ale czyż dlatego ma umierać? Nikogo nie zabił, pokrzywdzonym czyni deprekacyę. Ja Dłuskiemu złotą rękę odleję. Występek, jak nazywacie *status*, niech w więzy fundowej odpokutuje... Ale śmierć panie kochanku, śmierć! Nieszczę-

śliwy człowiek! jego cała nadzieja we mnie, on mój od dzieciństwa przyjaciel! Panie podstoli radź inaczej, ja ci odwdzięczę! dalibóg odwdzięczę! panie kochanku.

— To pocziwe serce naszego księcia, gadali między sobą ichmość tam obecni; nie żał dla takiego zdrowie i życie ryzykować!

— Trudna insza rada, mości książę! — rzekł pan podstoli, zwłaszcza po dekrete.

— Czy nie możnaby dopaść do Sapiehy?

— *In triduo* do Bychowa i nazad, rzecz niepodobna; a nakoniec cóż to pomoże, on dekretu trybunalskiego nie odmieni; tem spokojniejszym będzie, że pisał do księcia hetmana przez umyślnego, który dziś zrana odjechał z Nieświeża z rezolucją; a w niej książę hetman zaręcza, że najmniej ochraniać Wołodkowicza nie myśli, że każdego gwałciciela spokojności krajowej ma za swego nieprzyjaciela. Toż samo odpisał i do pana vice-marszałka Morykoniego, który także odezwał się do księcia hetmana.

— A więc nie masz sposobu? — książę zapytał, patrząc w oczy Rupejce, który wzrok ku ziemi spuścił i dumał. Wszyscyśmy milczeli...

— Trybunał, mości książę! zaczął znów pan podstoli, odmienić swego dekretu nie może. Ale!... ale!...

— Cóż? panie kochanku! cóż? dla Boga! mów!

— Ale mógłby *suspendować egzekucję* dekretu do jakiegoś terminu, a natenczas starania u majestatu...

Nie dał mu dokończyć książę, rzucił się Rupejce na szyję, ścisnął go i całował.

— Panie kochanku! bierz co chcesz, byle tej *suspensyi* dopiąć. Potem wszystko łatwiej pójdzie. Jedź natychmiast do Mińska.

— Widzisz-bo księżę, że jest jeszcze *cyrkumstancya*, nad którą mnie szczególnie zastanowić się trzeba. Księżę hetman *publice* oświadczył, że ktokolwiek *directe* lub *indirecte* robić będzie jakiegokolwiek *influencye* w tej sprawie, używając inienia Radziwiłłowskiego, już więcej progów nieświeżskich nie przestąpi.

— Bądź spokojny, panie kochankul! ja ojca łatwo prześlągam, zwłaszcza, gdy się rzecz bez raptu odejdzie. A moja przyjaźń panie podstoli, warta wszelakoż jakiegokolwiek *animadwersyi*.

Pan Rupejko znał dobrze, że lepsze słońce wschodzące aniżeli zachodzące, rzekł więc:

— Cóż mam robić? skarbiąc sobie względy waszej książęcej mości, zaraz jadę, dobiję się choć w nocy, albo równo ze dniem do Mińska, i będę pracował; a jeżeli mnie się uda skłonić Morykoniego...

— A jeżeli nie się uda? — odezwał się ktoś z kompanii.

Na to zawołanie, jakbyś *insperate* z pistoletu nad uchem palnął, księżę stanął jak wryty, Rupejko spuścił głowę i wszyscy oniemieli.

I pewnie się nie uda, dodał tenże jegomość, kiedy będzie rzecz z panem starostą Morykonim. Ja go znam dobrze: to człek twardy jak stal, czyli, co na jedno wychodzi, uparty jak kozioł.

Wszystkie więc nadzieje i księcia i nasze w łeb wzięły razem, patrząc zwłaszcza na minę pana Rupejki.

— Jednakowoż, mości księżę! — odezwał się nako-niec i pan Sołohub, niech pan podstoli próbuje szczęścia; projekt jego jest mądrym: bo tym jedynie sposobem możnaby salwować Wołodkówicza. Niech jedzie i *operuje*; my tymczasem zostańmy tu i czekajmy.

— Nim Wołodkowieza rozstrzelają, panie kochanku, albo nim książę hetman przyszele tu *husaryę*, aby nas do Nieświeża odprowadziła. Rozumna rada! niema co powiedzieć! Nie, panie kochanku! niech pan podstoli jedzie i operuje, ale niech przytem wiedzą panowie sędziowie trybunalscy, że ja tuż! i że gdy operacye nie pomogą, ja moje rozpocznę, i bodaj skuteczniejsze.

Po długich jeszcze *certamentach* i radach stanęło na tem, że pan podstoli wyjechał zaraz do Mińska, a my równo ze świtem wyruszyliśmy na obławy w lasy Smolewickie, które do samego prawie Mińska dotyczą, a tam co godzina miał książę mieć wiadomości z miasta.

Potem każdy drzemał jak mógł. Książę siadł za stołem, położył na krzyż ręce na stole a głowę na rękach, i zaczął chrapać na całą izbę. Ja poszedłem do plebanii, bo znałem tam kalwińskiego Kina, który i teraz żyje jeszcze, człowiek to bardzo zacny. Rozbudziłem go, oznajmiłem o bytności księcia, i o tem, że równo ze dniem wyjeżdżamy. A on wnet się zawiął koło śniadania, jakoż jak tylko na brzask, przysłał do karczmy kilka dzbanów grzanego piwa i wyśmienitych dwie misy zrazów, które znajdując książę odezwał się: — Otoż nam dogodził poczciwy Kin! gdyby nie *kalwin*, zrobiłbym go, panie kochanku, *infułatem ołyckim*.

Raniuteńko, książę i myśliwstwo całe i nowi przybysze przyjaciele, jedni z ciekawości, drudzy z życzliwości, siedliśmy na konie; a tak z półtorasta konnicy ciągnęło za księciem traktem mińskim, wszyscy gotowi na jedno słowo księcia, choć w ogień. Książę puścił się kłusem, i już mil

z parę ubiegliśmy a dzień piękny się zrobił, gdy ostrzeżono księcia, że konie słabiej i że wytechnąby należało.

— Nic to, rzekł książę, kto ustanie to ustanie; pod Mińskiem popas, i tam posłyszysz Rupejki, a potem...

Ledwo to wymówił książę, ujrzelśmy lecącego ku nam od Mińska konnego; ja poznałem zdaleka naprzód konia naszego, a potem Surwinta, kolegę mojego w służbie Wołodkowicza. Spozrzegłszy on nas, przypuścił konia, i doskoczywszy przed księcia — *Już po wszystkim!* rzekł *nie żyje!*

— Kto? Wołodkowicz? Zwaryowałeś?

— Wołodkowicz! Rozstrzelali!

— Jezus! Marya! Józef! Kłamstwo!

— Nie kłamstwo, mości książę! Na własne oczy widziałem trupa! leży w kordygardzie, i krew gorąca jeszcze ciekła z piersi i z uszu, gdym z Mińska wyleciał.

— Kiedy rozstrzelali?

— Dziś o wpół do trzeciej po północy.

— Gwałt! gwałt! krzyknął książę. A niech mię ziemia pożre, kiedy ja im to daruję. Wygubię tych rozbójników! Za mną! kto w Boga wierzy!

— I chciał puścić się pędem, ale wstrzymał konia za cugle Sołohub.

— Po co teraz? mości książę! Umarłego nie wskrzesim.

— Ja nie *Szczepanowski*, wskrzeszać nie umiem, ale zemścić się potrafię, ale *Piotrowinów* narobię! Niech ich potem kto chce wskrzesza. Ha! *Barabasze!* Puszczaj mnie, bo tobie samemu łeb rozplątam. — I rwał się do pałaza.

A Sołohub zeskoczył z konia i stanął naprzeciw, trzymając ciągle książęcego konia za cugle.

— Płataj! jeżeli chcesz książę! wolej zrób ze mnie Piotrowinę, czy Szczepanowskiego, niżelibyś miał w Mińsku męczenników robić,

— Ale darmo do Mińska, rzekł Surwint, nie ma tam już ani pana Szczepanowskiego, ani pana Piotrowiny ani żadnego deputata, (trzeba Jegomości wiedzieć, że Surwint poczciwy Żmudzin ledwo podpisać się umiał i nie wiedział nic o cudach św. Stanisława), bo zaraz po rozstrzelaniu Wołodkowicza rozjechali się wszyscy, a poprostu mówiąc pouciekali, i sam nawet pan Morykoni pojechał do Bychowa do księcia Sapiehy; a deputaci każdy w swoją stronę; ale nikt w tę stronę, bo wczoraj wieczorem rozszedł się po mieście rumor, że książę z wielkim wojskiem lecisz na odbicie Wołodkowicza, i dla tego co mieli za trzy dni rozstrzelać, to nie czekając dekretowego terminu, rozstrzelali w nocy.

Książę więc zszedł z konia, spuścił głowę, *Requiem aeternam dona ei Domine!* po kilka razy powtarzał i ocierał z łez oczy.

Ja płakałem jak bóbr, a Surwint chlipał jak dziecko.

Książę siadł znowu na konia, zawrócił nazad i kazał Surwintowi jechać obok.

— Opowiedz mi waść całą tę tragedję — rzekł do niego.

Niema co i mówić, JO. książę panie! zastrzelili i po wszystkim — rzekł Surwint chlipając.

— Zgłupiałeś z wielkiego żalu, panie kochanku!

— A cóż? JO. książę! jak on napadł na trybunał..

— To wszystko wiem od Bielewicza; mów tylko, co było po dekreście.

— Po dekreście? Jak jemu przeczytali w kordygar-

dzie dekret, tak zaraz pan rotmistrz Krajewski rozkazał przynieść kajdanki. Wołodkowicz żadną miarą okuć siebie nie dozwalał. — Jestem szlachcic, mówił, kiedy potrzeba umrzeć, to dziej się wola Boża! Nie jestem nawet *jure victus*, bo nie dano mi ani czasu, ani patrona do obrony a zatem wara z kajdanami! wara!

Krajewski perswadował i przeproszał nawet, że musi spełnić dekret trybunalski. Jakoż choć się dąsał, przy pomocy jednak kilku gemejnow, włożono mu łańcuszki na nogi.

Wołodkowicz, obaczywszy się okutym gorzko płakać zaczął, załamawszy ręce, że aż wszystkim żał się jego zrobił. Opowiadał mnie to wszystko przy trupie, porucznik warty trybunalskiej pan Sielanko ¹⁾.

Poprosił potem nieboszczyk Krajewskiego, aby mu dozwolił widzieć się z którymkolwiek swoim dworskim. Zgodził się rotmistrz. Posłano do kamienicy, i ja wnet przybiegłem. Oj! Bogu znać, a nie księciu opowiedzieć ja mogę, co się ze mną działo, gdym postrzegł okutego mego pana. Hrymnąłem mu do nóg, i oba zaryczeliśmy z płaczu. Warta, choć to żołnierze, a płakali także, bo serce krajało się, i teraz się kraje, JO. księżę panie!

— Czy jest mój brat pan Józef?

— Niema, odpowiedziałem, dostał maligny jak się dowiedział o nieszczęściu pańskim, i zostawiłem go leżącego bez nadziei, bom był u niego.

— Gdzie Bielewicz? — zapytał.

— Zaraz po wzięciu pana poleciał do księcia Karola Radziwiłła.

¹⁾ Krajewski rotmistrz, a Sielanko porucznik warty trybunalskiej. Ostatni umarł jeszcze w 1812 r., w powiecie oszmiańskim.

— To dobrze! i z cicha dodał: księżę Karol rnie nie opuści. A nie masz żadnej stamtąd wiadomości?

— Nie ma żadnej szczególnej, ale po mieście jak w bęben biją, że księżę lada godzina wpadnie z wojskiem i odbije pana.

— Więc w Bogu nadzieja! rzekł on rzeźwiąc trochę.

Rzucił potem na stół parę dukatów. — Krajewski! każ przynieść wina. Na frasunek napiję się z moim poczciwym Żmudzinem.

— Życzyłbym panu, odpowiedział Krajewski, upamiętać się; ostrzegam, że tu niema żartów. To nie taki frasunek, który w winie utopić można. Kiedy żelaza na nogach, o Bogu nie o ludziach myśleć trzeba; i dla tego ja życzę panu wezwać kapłana i wypowiedać się.

— Wypowiadam się, odpowiedział hardo mój pan, na Wielkanoc. Waś mi kajdanki włożyłeś, ale będzie taki, co zdejmie, i może kogoś niemi opatrzy. Każ przynieść wina!

— Nie tylko nie mogę wypełnić tego rozkazu, ale nie mogę dłużej zostawić tu sługi pańskiego. Panie Surwint! pożegnaj się z swoim panem i wychodź.

— Panie rotmistrzu dobrodzieju! rzekłem wtenczas ściskając jego kolana, pofolguj. Czy to nie dość za takie błazeństwo, że pana mego, który jest pan z panów, w kordygardzie trzymacie, żeście mu łańcuszki włożyli, że go śmiercią straszycie, żeby jeszcze i dłużej tak go dręczyć? Wszak zresztą panu Dłuskiemu palce się po-goiły, a z Panem Bogiem łatwiej jak z ludźmi. Za przypadkowe przycięcie krucyfixu zmuruje kościół mój pan; chwała Bogu ma z czego. Dalibóg, panie rotmistrzu, pu-szczaj nas już jegomość wolno, a i sam nie pożałujesz tego.

— Jesteś poczciwy szlachcic, panie Surwint, odpowiedział mi Krajewski, ale wybaczej, głowa nie do rady. Wiedz o tem, rzekł jeszcze, biorąc mię za rękę, że ani ja sędzę, ani ja kuję, ani ja strzelam. Trybunał osądził, trybunał zakuł, trybunał i... — Zamilkł Krajewski, a Wołodkiewicz dokończył — i rozstrzela!

Usiadł potem na zydlu za stołem, głowę oparł na rękach i zamyślił się. Krajewski także milczał, a ja płakałem stojąc jak wryty. Nakoniec rotmistrz powtórzył mnie znowu rozkaz pożegnania się z panem i odejścia; zbliżyłem się więc do biednego zamyślonego, a on, nie podejmując głowy: Bądź zdrów! — powiedział — obaczym się może i na Józafatowej dolinie! — a ciszej dodał: Kiedy do jutra rana nie będzie tu Radziwiłła, leć do Nieświeża, bo zginę!

Nie wiem, czy Krajewski to słyszał, ale ja ucałowałem kolana pańskie i wyszedłem, niosąc kamień na sercu.

W mieście był ruch szalony. Trybunał jeszcze ściślej się zaparł; warty wszędzie i w bramie i na schodach srogie porozstawiano; po ulicach i na rynku panowie palestranty, aplikanty, ajenty i rejenty, kompaniami chodzili, rezonując i wróżąc i tak i owak.

Jedni mówili: Już po nim! Dekret trybunalski! apellacya do Pana Boga! spadnie gałka! — Drudzy mówili: Trybunał z dekretem, a Radziwiłł z muszkietem! Obaczym zaraz gościa, mówili... On go z tej kozy wydobędzie, a od Radziwiłła, to już go i sam dyabeł nie wydobędzie.

Inni znowu mówili, że za porąbanie krucyfiksu będzie musiał po *absolucyę* piechotą do Rzymu wędrować, a drudzy, że będzie musiał dyscyplinować się u Bernardynów, pod lampą. — To mówili: Dyscyplinował on niejednego,

niechże popróbuj tegoż samego specyału! — Ale wszyscy ciekawi byli końca, a nikt bodaj nie wierzył, że stanie się podług dekretu.

Gdym wyszedł z kordygardy, otoczyła mnie tłuszcza wielka, sypiąc pytania bez końca, ale mnie jakby mowę zajęło i w głowie się pomięszało; rozpychałem tłum, nic nie odpowiadając i wpadłem do kościoła OO. Bernardynów, otwartego przed nieszporama, dałem talara na litanie i na *Sequeris* i krzyżem leżąc, słuchałem tego...

— Mniejsza — rzekł ksiązę — o twoje własne *particularitates*; mów, co się działo z Wołodkowiczem?

— On, jak mnie powiadano, po mojem wyjściu doprosił się u Krajewskiego butelki wina, wypił ją duszkiem, rozciągnął się na swoim łóżku, bo mu pierwej już dali łóżko i pościel, i zasnął w najlepsze.

Tymczasem nadszedł wieczór; Krajewskiego wezwano do trybunału; bawił tam godzin parę, czy więcej; obudzil Wołodkowicza, wyjął z zanadrza papier i rzekł doń: Czytaj!

A był to rozkaz na piśmie dany od trybunału Krajewskiemu, rozstrzelania *delinkwenta* we trzy godziny.

— Jakto? — zrywając się z łóżka krzyknął Wołodkowicz. Dekret dał mi czasu trzy dni. Ciż sami podpisali ten rozkaz, którzy podpisali i dekret.

Dobył potem Krajewski zegarek — wpół do dwunastej, rzekł; masz czasu do wpół do trzeciej. Za każdą minutę odpowiedzialny jestem. Polecaj Bogu twą duszę. Niema żadnego ratunku. Posłałem po księdza.

— To być nie może! to być nie może, żebym miał tak marnie zginąć! — gadał Wołodkowicz, suwając prędko spętanemi nogami, a wlokąc łańcuchy po ceglach. Szwy-

kowski! mój brat cioteczny! Boże mój! i on mnie potępił! Panie Krajewski! Bogu i ludziom odpowiesz.

Wtem wszedł ksiądz i Krajewski, postawiwszy czterech żołnierzy z nabitą bronią we środku przy drzwiach, rzekł do nich: Baczność na delinkwenta! głową odpowiadacie. — Sam wyszedł.

— Trzeba wiedzieć, JO. księżę panie, że ja z kościoła poszedłem do celi księdza, brata mego stryjecznego, także Surwinta, spowiednika w klasztorze mińskim. Siedziałem tam, jak zabity, bo spać nie mogłem, a równo ze dniem myślałem ruszyć do Nieświeża, szukając księcia. Otóż właśnie wszedł do mojego brata ksiądz gwardyan, a za nim żołnierz.

— Idź, ojcze, za tym żołnierzem — rzekł gwardyan, — wypowiadasz i przygotowujesz na śmierć Wołodkowicza.

— Pan rotmistrz kazał mi prosić — odezwał się żołnierz, — aby ksiądz spowiednik wziął z sobą wijatyk, lecz aby szedł bez dzwoneczka.

— Jakto? — rzekłem, — wszakże jeszcze dwa dni z dekretu mu się należy.

— Ja tego nie wiem — odpowiedział żołnierz, — a robię, co mi kazano.

Szedłem z księdzem spowiednikiem, ale Krajewski rozstawił naokoło kordygardy, na rynku, na kroków jakich pięćdziesiąt, szyldwachy i kazał strzelać, jeżeliby kto za tę linię przestąpić ważył się; i kiedy kto się przybliżał, to szyldwach krzyczał: Nie następuj, bo strzelę!

Księdza spowiednika więc przeprowadzono, a ja musiałem zostać. Ludu też było pełno na rynku, a z sądowej izby trybunalskiej świeciły się okna, jak z kościoła podczas roratów.

Lecz wreszcie tłum rozchodzić się począł. — Już dziś nie będzie, mówili. Zwyczajnie Wołodkowicz za potrzebował księdza, to mu go przyprowadzili, ale kiedy rozstrzelają, — to chyba na trzecim dniu. Ale ja doczekałem powrotu księdza brata i oka z kordygardy nie spuszczając. W oknach tam światła biegały, jakby przenoszone z miejsca na miejsce, ale nie mogłem zmiarkować, coby to było.

Nagle i raptem błyskawica tam i piorun!... szyldwachy stanęli jak wryci; wnet strzał drugi mniejszy, a potem cicho i jedna już tylko świeczka migiała przez szybkę w kordygardzie. Mnie mrówki przeszły po skórze. Lud z domów wysypywać się zaczął; a ja ujrzałem księdza brata umykającego spiesznym krokiem przez rynek; zabiegłem mu drogę, schwyciłem za rękę: Stój! księżu!

— Wołodkowicz już przed Bogiem. Chodź ze mną.

— Nie — rzekłem, trzęsąc się jak osika, — pójdę, obaczę nieszczęśliwego pana mojego.

— Próżno, nie wpuszczą cię. Chodź, — mówię — ze mną. I pociągnął mnie za rękę. — Otóż JO. książe, w celi, gdy mnie trochę drżączka odeszła, opowiedział mi ksiądz brat ostatni *termin* Wołodkowicza.

Gdy przybył ksiądz, on jeszcze włóczył się po kordygardzie, dąsał się i złorzeczył, ale jak postawił krucyfiks na stole, a przed krucyfiksem złożył święty wijatyk, Wołodkowicz spojrział na Ukrzyżowanego i przyszedł mu widać na pamięć jego eksces i rozcięcie krzyża sądowego; upadł więc na kolana — O Chryste Jezu! — zawołał, płacząc — zgrzeszyłem! śmiertelnie zgrzeszyłem! ale żałuję z całego serca, z całej duszy żałuję! Przepuść winę moją i kiedy już mam śmiercią zapieczętować grzechy, dajże mi przynajmniej stanąć przed Tobą z czystym su-

mieniem. Ojcze! spowiadaj mnie! — Odeszliśmy więc, powiadał mi ksiądz brat, w drugi koniec izby; usiadłem na zydlu, on ukląkł i z całego życia najszczerzą spowiedź uczynił.

Daj Boże każdemu dobremu taką skruchę i żal mieć szczery, jako ten nieszczęśliwy. Uznał w zgonie swoim wolę Boską i skrócenie czasu, którego by pewnie użył na dalszy grzeszny jako i dotąd żywot, przebaczył swoim sędziom, słowem, że lwa srogiego stał się łagodnym barankiem.

Rozgrzeszyłem go więc i mam nadzieję w Bogu dobrotliwym, że co rozwiązałem na ziemi, rozwiązane będzie i w niebie. Zaczęliśmy potem mówić psalmy pokutne, a potem modlitwy nad konającym. Oj, ciężki to obowiązek kapłana, mój bracie, powiadał mi ksiądz brat, kiedy rozmawiać musi z tym, który za chwilę z Bogiem rozmawiać będzie... Serce mi się krajało z żalu, i własnem życiem odkupiłbym młode jego lata. Wszedł Krajewski. Ja coraz to dłuższe wynajdywałem modlitwy... a nuż cud Boski... i skądkolwiek salva!!!

Krajewski spojrział na zegarek na stole leżący, na który ja oczu obrócić nie śmiałem, — powiadał ksiądz brat — przeszedł się jeszcze z kilkanaście razy, nareszcie rzekł do mnie:

— Ojcze! uczyniłeś swoją powinność gorliwie, ja muszę moją wypełnić!...

— Panie rotmistrzu! — rzekł, powstając z klęczek Wołodkowicz, — na dowód, że szczerze z Bogiem się pojednał i żadnego w sercu do nikogo nie zachowuję gniewu, proszę, podaj mi rękę. Krajewski podał mu rękę, a drugą łzy sobie obcierał. — Panie! rzekł mu przytem, mówiłem, że nie ja sędzę, nie ja rozstrzelam, a przekli-

nam moją nieszczęśliwą terazniejszą godzinę. Księżę! wracaj już do siebie...

— Nie — rzekł Wołodkowicz, — nie opuszczaj mnie, ojcze! Patrząc na tego, który mnie z Bogiem pogodził, lżej mi będzie umierać.

Nie mogłem odmówić już jakby konającemu tej prawdziwie kapłańskiej posługi, ale Bogu wiedzieć, jak mi to ciężko było.

— Panie! — rzekł znowu Krajewski, — czas jest... Skinął na unteroficera, a ten wprowadził sześciu żołnierzy z bronią na ramieniu. Stanęli obok czterech wartujących.

Przeraziło to mocno Wołodkowicza; załamał nieborak ręce — O Boże! Boże! — wykrzyknął — o bracie mój Józefie! o Włodzimierzu biskupie, stryju mój! krewni! przyjaciele moi! gdzież jesteście? Książę Karolu! gdzieś ty?

— Nie gadaj waść, nie gadaj — przerwał ksiązę, becząc w głos, jak dziecko — nie gadaj, bo wytrzymać mi trudno... Darował on nieprzyjaciołom swoim, ale ja im dalibóg nie daruję... gdyby zginąć przyszło!!!

— Jakże dalej?

— Dalej mówił znowu Krajewski do Wołodkowicza: Nie zechcesz zapewne, abym gwałtem...

Wołodkowicz nic już nie odpowiedział, stał oniemiały, jakby bez przytomności.

Dwóch żołnierzy wzięło go pod ręce i podprowadzili, a raczej podciągnęli go do muru, Krajewski zawiązał mu oczy; ale że ustać na nogach nie mógł, opuścili go więc na klęczki.

— Ja przybliżyłem się natenczas — powiadał ksiądz brat — i przykładając krucyfiks do ust jego, rzekłem

głośno: Polecaj się Bogu, Michale i ufaj w Jego miłosierdzie!

Cud boski! cud! Na te moje słowa odzyskał siły i przytomność, ucałował krzyż. Krajewski dał mi znak... oddaliłem się, a Wołodkowicz zaczął mówić: *W ręce Twoje, o Boże, polecam...* Kule przecięły mowę i modlitwę; upadł, ale padając, krzyknął: Jezus! Marya! Józef!...

Podskoczył Krajewski; Wołodkowicz żył jeszcze i rzucał się na ziemi, lubo krew ryszłokiem płynęła; skinął więc na unteroficera, a ten z pistoletu wystrzelił mu w ucho i dobił.

— Wyszedłem ja zaraz, JO. ksiązę, od księdza brata — mówił dalej Surwint.

— Mniejsza tam zresztą, panie kochanku!...

— Nie, JO. ksiązę, bo wyszedłszy sam, widziałem jak deputaci w nocy wyjeżdżali z miasta i doprosiłem się do trupa; obaczyłem więc kochanego mojego pana! pomodliłem się przy nim za jego duszę i dowiedziałem się, że dlatego odrazu nie zabito, że on, jako pobożny katolik (ktoby się spodziewał, patrząc na jego hajdamactwa i swawole), nosił na piersiach obraz Najświętszej Panny na srebrnej blasze, to Ona trzy kule odbiła od jego serca i za żupanem je znalaziono.

— A czemużeś waść tych kul nie przywiózł — rzekł ksiązę.

— Pan rotmistrz zabrał je sobie; prosiłem choć jednej i mówiłem, że zawiozę JO. księciu panu.

— Oho! — odpowiedział Krajewski, — żeby potem niemi mnie potraktował? Nie dam żadnej... i wyprawił

mnie z kordygardy. Więc ja wnet na konia i spotkałem waszą księżęcą mość.

Po tem opowiadaniu Surwinta, jechaliśmy cicho, ksiązę milczał, ani słowa do nikogo nie rzekł; i tak w kilka godzin dojechaliśmy do Swierźnia. Ksiązę zawrócił przed kościół, zawołał plebana, dał mu kilka dukatów, kazał dzwonić za duszę Wołodkowicza, a ponieważ jeszcze nie po mszy był ksiądz, więc mu żałobną mieć zalecił. Wszyscy słuchaliśmy jej nabożnie, a po ukończeniu, ksiązę zaintonował: *Wieczne odpocznienie racz mu dać Panie!* a zatem w półtorasta przynajmniej głosów prześpiewaliśmy to polecenie duszy Wołodkowicza Bogu. Ksiązę odprawił myśliwstwo, a pogładając na nas z Surwintem, zapytał: Czy waśc szlachta?

— Szlachcie jestem, mości ksiązę, z pod Oszmiany.

— A, to waśc szlachciec oszmiański! a czemuż to Panie-kochanku, obie nogi masz w butach? (Bo musiałeś to jegomość słyszeć, że nie wiedzieć skąd jest ta pogłoska, że okoliczna szlachta oszmiańska jedną nogę w bucie, a drugą w łapiu nosi).

— A ja — odezwał się Surwint — szlachciec z pod Rosień.

— A, to waśc Żmudzin, Panie-kochanku! No! obadwa z poczciwych gniazd i poczciwi ludzie widać jesteście, bo przywiązani do waszego pana, macie więc u mnie służbę: jeżeli zgoda, to ze mną do Nieświeża; potem obaczym, kto do czego zdalny.

Uścisnęliśmy kolana księcia i za nim ruszyliśmy w tropy.

Otóż masz jegomość dobrodziej całą historję śmierci Wołodkowicza, jakbyś na nią patrzył, a na ostatni koniec

Hanulka moja zaśpiewa jegomości pieśń o nim, którą on sam przed śmiercią ułożył. Anulku! Hanulku!

Przybiegła dziewczyna do wrót odryny.

— Zaśpiewaj jegomości pieśń o Wołodkowiczu.

— Zapomniałam tatuleńku!

— Nie kłam, moje dziecię! onegdaj jeszcze prześpiewałaś ją od deski do deski przed panem Żabczycem, twoim *per modum* kawalerem, więc śpiewaj mnie zaraz.

Panna Anna zaczerwieniła się i spuściwszy oczy, zaczęła śpiewać. Niema co mówić, głos bardzo piękny i cienki.

Obacz ojczyzno, jaka twoja strata!
Gdzie twa nadzieja? kędy moje lata?
Ledwie ze światem zabieram przymierze,
Jeden mi życie cudzoziemiec bierze.
Wiadomy Bogu, przyjaciołom miły,
W śmiertelne od was dziś idę mogiły.
Nie exces żaden, ani krwi wylanie (???)
Lecz zazdrość pisze z światem mi rozstanie.
Dom starożytny, senatorskie progi,
Stargał to wszystko jeden tyran srogi!
Jak niegdyś Tracki Buzyrys dla koni
Krew ludzką miotał, zjadł mnie Morykoni.
Sądowa izba, spraw wszelkich świątnica,
Istotna dla mnie stała się rzeźnica.
Przebóg! wszak prawo powzięte z ryczałtu
Nie każe czynić przed sądami gwałtu!
Mnie z sądów wzięwszy sędziego elekta
W równości kreślą, formują dekreta.
Omijam innych, ty ciotecznym bratem
Szykowski będąc, stałeś mi się katem;
Z mych ręku przez cię odebrana szabla,
Krew niewinnego wlewa na cię Abła.
Sądzą mnie zatem nie dawszy patrona —
Wszak i zabójcom wolna jest obrona —

Kują i biorą do ścisłej katuszy
Trzy ledwo wolne godziny dla duszy.
Najświętsze, proszę, dajcie sakramenta —
Zegarek na stół — tak liczą momenta!
Wtem i ta Matka, co cały świat broni,
Wtenczas mnie swoim puklerzem zasłoni,
Gdy blisko do mnie wystrzelone kule,
Od jej obrazu spadły jak pakule.
Czynią poprawę, srogości dość ze mną!
Zatem gdy acz co wszystkich nas nie minie
Nim się w Józefatowej obaczym dolinie,
Żegnam cne domy, gdy mi czas domierza,
Stryja pasterza żegnam Włodzimierza,
Byleś mi ojcem i nie skąpym w darach,
W najświętszych pamięć miej o mnie ofiarach ¹⁾.

— To widzi jegomość, jak to on składnie skoncy-pował i jeszcze kilku godzinami przed śmiercią; to także cud — dodał Bielewicz, — bo on przez całe życie książki ani pióra w ręku nie trzymał.

— Chyba po śmierci tę pieśń ułożył — rzekłem.

— Jako? — zapytał zdziwiony Bielewicz.

— A naturalnie, że chyba po śmierci, bo jakżeby mógł pisać o tych kulach, które od obrazu Matki Boskiej odbiły się?

— Ach! poczekaj tylko jegomość... pomyślał pan Bielewicz. — A dalibóg, że prawda! To nie on, to ktoś inny widać napisał. Proszę uniżenie! Oto mi mądra jegomościna głowa! odrazu spenetrował prawdę; a ja kilkanaście lat wierzyłem, że to mój kochany pan na pożegnanie ułożył.

¹⁾ Pieśń tę, czyli lament, jeszcze i teraz posłyszeć niekiedy można śpiewaną przez szlachcianki okoliczne na Litwie.

Wieczór nadszedł. Poszliśmy z gospodarzem na łąkę, gdzie stóg siana wyrastał, a na nim harcował mój Marcin, mając przy sobie flaszę z naszego podróżnego puzderka. Poznałem więc, że zapasy nasze będą zawsze pod jego *kustodyą*. Wkrótce stóg się zawierszył. Zasiedliśmy do chłodniku i kurecząt, a po wieczerzy każdy w swoją stronę na paciorki i potem każdy na swoje miejsce na odpoczynek. Moja kwatery w świronku, do którego wprowadzając mnie pan Bielewicz, rzekł: jegomość dobrodziej jutro po śniadaniu ruszysz w drogę. Już to moja Anulka częstować będzie, bo ja z synami przededniem wybiorę się na młodzież i na zajęczki w dalsze knieje od domu. A tak dziś żegnam jegomości dobrodzieja. Dziękuję najpokorniej za odwiedziny i proszę nadal nie mijać ubogiego mojego domku. Baran mój już przy *prewodyrach*.

— Nie, nie, — odezwał się, słysząc to Marcin — spać długo nie dam mojemu jegomości. *Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje*. I my przededniem razem wyruszymy.

Znowu poznałem, że nie tylko moje puzderko, ale i ja jestem pod *kustodyą* pana Marcina.

Tak się i stało. Jeszcze się niebo czerwieniło tylko na wschodzie, kiedy wypiwszy po kufelku grzanego mleka, wyruszyliśmy za wrota; my z Marcinem na naszych kałamaszkach, a pan Bielewicz przy nas piechotą z dwoma gończymi i wyżłem. Ojciec z synami w uniformach wyżej opisanych myśliwstwa Radziwiłłowskiego.

Postępowaliśmy cicho, bo każdy modlitewki poranne odmawiał, pieski tylko, ciągnąc się na sforach, odzywały się niekiedy i po rannej rosie znaczyły swoje ślady obok drogi.

Nakoniec i słońce się pokazało. Pan Bielewicz, skoń-

czywszy paciorki — No, synki! na dobry humor i na szczęśliwe polowanie — *zajaca*.

Więc huknęli synkowie, a z nimi ojciec basem:

Siedzi sobie zając pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą, nie wiedzą;
Siedzi sobie, lamentuje,
Testament życia spisuje,
Śmiertelny! śmiertelny! ¹⁾

Aż echo rozległo się po kniejach. Ja zawróciłem się na lewo ku gościńcowi, a myśliwi zapuścili się dróżką w las. Długo jeszcze słyszeliśmy ich pieśń wesołą; nakońiec pieski doławiać się zaczęły; więc odezwała się trąbka i razem: *ho! ho! był tu kot!! kot! kot! tu! tu! tu!...* że aż nam w uszach zadzwoniło. Pieski zagrały i na sercu mnie tak grało, tak wesoło stało się, że aż miło!

XVI.

Popas i uwagi Marcina.

Czwarty to już czy piąty dzień był po naszym wyjeździe z klasztoru i przy *Barabaszu* i *Eliaszu* trzodka się powiększyła. Żaden dwór lub dworek nie chybił nam jeszcze z baranem; w kalitce nawet mojej do czerwienców pana rotmistrza przybyło kilka talarów bitych i złotych. Wszędzie mnie przyjmowano łaskawie a obdarczono chętnie i skwapliwie, wszędzie pocziwie i po

¹⁾ Dawna piosnka myśliwska.

chrześcijańsku żyjące znajdowałem państwo i chudopacholstwo, wszędzie traktament i gościna i przynuka zawsze, tak, że wyjeżdżać czasami nie chciało się, a nigdzie jeszcze nie spotkałem się z owem niedowiarstwem i zgorzeniem, o którym ksiądz gwardyan nadmieniał.

Przebywszy Niemen w Mikołajewie, ciągnęliśmy się gościńcem. Popasy nasze odbywaliśmy zawsze pod gołym niebem, jeżeli nie we dworze jakim. — Po co nam do karczmy? — mówił Marcin — mamy zawsze z łaski dobrodziejów zapas podróży: i barany napasiemy i sami posilim się i nic nie zapłacim.

Mieliśmy więc, podług zwyczaju, mijać karczmę, do której dojeżdżaliśmy, ale postrzegłszy przed nią stojącą piękną karocę, która widać do stodoły wleźć nie mogła, a stodołę pełną wozów i koni, a zatem pomiarkowawszy, że to jakiś dwór pański zajechał na popas, postanowiłem i tu pokorną moją odbyć żebranie; na co i Marcin się zgodził; a zatem stanęliśmy z naszymi kałamaszkami obok pańskiej karocy. Ujrzały mnie piękne panięta, to jest chłopiec wyrostek i dziewczynka podlotek wybiegli z karczmy, a za nimi ichmość rodzice wyszli. Weteraniństwo poważne, niema co powiedzieć!

— *Laudetur* Jezus Chrystus! — rzekłem, kłaniając się *humillime*.

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedział *Magnificus!* — jak się potem dowiedziałem, starosta. — Zajęliśmy karczmę, rzekł on, nie masz gdzie popasać księżę kwestarzu!

— Nic to, dobrodziej! ja też nie na popas tu zajechałem, odpoczną tylko moje szkapy i powlokę się dalej.

— Owszem, pomieścimy się jakkolwiek. Wozy twoje mogą postać przed karczmą, a konie między mojami

i mój obrok zjedzą; samego zaś waści na nasz podróźny obiadek proszę. Zostań więc dla kompanii, księżę kwestarzu!

— Chętnie spełnię rozkaz JWpana, bylem nie przyczynił *subjekcyi*.

— Żadnej, żadnej — odpowiedziała pani.

Zostałem zatem, choć Marcin się krzywił, biorąc się do odprzegania koni; ale gdy na rozkaz starosty stajenni jego pomagać zaczęli staremu i gdy postyszał rozkaz pański, aby i konie i jego dobrze nakarmiono, a forysie aby pilnowali wozów naszych i baranów, udobruchał się przecie i wnet pobratał się ze wszystkimi.

W karczmie już był stół nakryty, a nim dano, starosta, zacząwszy od pytania, jakie mnie zwykle i wszędzie spotyka: z jakiego klasztoru Pan Bóg prowadzi? zadawał rozmaite inne, wyzywając mnie zawsze na jowialne odpowiedzi, bo widać nawykł do conceptów kwestarskich. Jak mogłem dotrzymałem placu: i uśmiechał się pan, a nawet sama imość, bo ja, pamiętając na instrukcyę księdza gwardyana, umiałem trzymać język za habitem; nakoniec przystawiono piąty talerz i zasiedliśmy do stołu.

— Będiesz głodny, księżę kwestarzu — rzekł starosta — obiad podróźny, krótki i porcyj bernardyńskich nie będzie; bodaj tylko rosół i pieczyste.

— *Deo gratis*, dobrodzieju! a na cóż więcej?

Jakoż uczciwy był rosół z indora. Pani starościna po dwa razy mnie nalewała i posiłem się regularnie.

Dano pieczyste. Były to cztery jarząbki, wyraźnie dla dwojga rodziców i dwojga dzieci po jednym.

— Oto sęk, księżę kwestarzu! — jarząbków cztery, a nas pięcioro!

— Posiliwszy się z łaski państwa tak wyśmienitym ro-

sołem, nie potrzebuję nic więcej i obejdę się bez jarząbków.

— Nie, nie, tak być nie może. Poczekaj, *Charissime!* Jak miarkuję, jesteś człowiek bywały i nielada kwestarz; musiałeś więc i szkoły traktować?

— Oho! pomyślałem, coś z wojewodzińska zakrawa. — A jakże, JWpanie! aż do *Poezymy inclusive*: a Alwar gryzłem na pamięć, jak rzepę.

— Zapewne uczyłeś się i arytmetyki?

— Uczyłem się i arytmetyki, lecz zostawszy kwestarzem, najczęściej praktykuję *dodawanie i mnożenie*; dalsze zaś działania dla mnie niewiele potrzebne, a o *ułamkach* i słuchać nie chcę, nigdy ich cierpieć nie mogłem, tem bardziej teraz, gdy o całe barany proszę.

Otóż, pomyślałem sobie znowu i wędę z konceptem zarzuciłem do wspaniałości pańskiej. Punktualnie wypełniam instrukcję ks. gwardyana. Obaczmy, co wyciągnę.

— A więc daj eksperyment — rzekł starosta — ze swojej nauki, podziel te cztery jarząbki na nas pięć osób, ale bez frakcyów, gdy ich cierpieć nie możesz, to jest, bez rozrzynania, tak jednak, aby wszystkim po równej porcyi się dostało; kiedy tego dokażesz, powiem, żeś gracz i żeś kwestarz *re et nomine*.

— Nic łatwiejszego, dobrodzieju! byleście się na moją *dividendę* zgodzić raczyli.

— Przyrzekam solennie — rzekł znowu starosta — i za siebie i za żonę i za dzieci. Ale bez noża, księżu kwestarzu!

— Ani się dotknę nożem. — Podsunąwszy więc bliżej do siebie półmisek, wziąłem widelec w rękę i tak dzieliłem:

— Jegomość dobrodziej, jejomość dobrodzika i jarzą-

bek, to troje; panicz, panienska i jarzabek, to troje; kwestarz i dwa jarzabki, to znowu troje.

— Bravo! — krzyknął starosta, śmiejąc się serdecznie, toż samo i pani starościna. — Zgadza się na podział! wysmienicie!

— Ale ja się nie zgadzam — rzekłem. — Jarzabki zostaną przy państwu i przy paniętach, a w *indemnizacyi*, jeżeli JWpani dozwoli, wezmę tę bułkę piroga dla mnie, a dla klasztoru, co wola i łaska.

— Z największą ochotą jedno i drugie ofiarujemy ci, *Charissime*, z warunkiem wszelakoż, że po jałmużnę dla klasztoru przyjedziesz do nas. Dom mój stąd mil pięć. Drogę rozpowiedzieć każę twemu furmanowi, a fatyga nagrodzi się dobrą kwestą. Czy zgoda?

— Zgoda, JWpanie! Dla mnie wszystko jedno. Gdzie jadę, to jadę, byłem do dobrodziejów trafią.

Wkrótce pożegnało mię to zacne państwo i my też powlekliśmy się za niemi.

— A cóż! mój Jegomość! — rzekł do mnie Marcin — baranów z sobą nie miał starosta, więc musiało przybyć kompanistów do czerwieńców rotmistrzowskich.

— Nie, nic nie przybyło, ale zaprosił mnie starosta do siebie i obiecał sutą jałmużnę. Furmani musieli tobie drogę rozpowiedzieć.

— A rozpowiedzieli. Ale to widzisz, mój Jegomość, *obiecanka cacanka!* Jegomość wiesz, jak tam dalej. Coś mnie wszystko zdaje się — mówił Marcin trzęsąc tabakę z rożka — że Jegomość nie samowity na kwestarza. Po-

wiedz mnie naprzykład Jegomość, jak domawiasz się do baranów?

— A na cóż mam się domawiać? Już skoro kwestarz wchodzi do domu, to pocziwy gospodarz wie, że zbiera jałmużnę, a zwyczajnie barany, dla swego klasztoru.

— E! czy tak? mój Jegomość! Nie pocieszy się ks. gwardyan z naszej kwesty; a Jegomość pójdiesz znowu na *kanaparza*.

— Czegóż chcesz? Kilka dni jeździm, a już z dziesiątek mamy baranów.

— Da co to znaczy? co to znaczy? Nieboszczyk ksiądz Jacek, z którym lat cztery jeździłem, dotądby już kopę nazbierał. Czy raz to bywało, że my po dziesięć baranów z jednego dworu wypędzamy, które on albo konceptami swymi wyłabudził, albo w *elbecwelba* czy w *maryasza* wygrał? bo u niego zawsze bywało *ze czterdziestu* i *tuz kozerny*. Miał on na to, jak sam mówił, jakąś *inkluzyę*. A dla Jegomościa po jednym baranku cedzą, aż żal patrzeć. A o puzderku i wiktuałach podróżnych gdybym ja nie pamiętał, to przyszłoby i zęby na policy położyć. — Czy Jegomość zawsze zakąsujesz po wódce?

— A jakże? naturalnie, że zjem kawałek chleba. Wszyscy tak robią.

— Otóż widzisz Jegomość, że ksiądz Jacek tak nie robił; on, bywało, powiada: Napilem się gorzałeczki, a całym baranem zakąsim. — Ot już jest i baran. — Albo, bywało, prosi u jakiego pana rozmienić talara na drobne; no, to pan łatwo zgadza się, dobywa kieskę i odlicza za talara drobne; a on znowu: Dajże dobrodzieju i talara twardego, abym miał czem za monetę za-

placić. — Ot jest i talar. — Kiedy we dworze którym był młyn, to prosił o pozwolenie zmlecia beczki żyta bez miarki. No, któż takiej małej rzeczy odmówi? — Miel księżę kwestarzu, choć dwie. — Da choćby jedną, kiedy mnie ją dasz, dobrodzieju! — Ot znowu chcąc nie chcąc, musiał pan gospodarz dać żyta.

A raz przyjechaliśmy do okolicy szlacheckiej koło Pińska. Szlachta — rzekł do mnie ksiądz *Jacek* podjeżdżając — niewiele chowają owiec i sami kożuchów potrzebują, ale za to wiele i tłustych wieprzów żołądziami ukarmiają, bo lubią kielbasy i słoninę, muszą więc mieć jej zapasy dobre. Obaczysz waszeć, jak ich zażyję.

W okolicy, tak jak u Bielewicza, wszyscy my brat za brat, razem w jednej chacie, więc słyszałem, jak on ich zażył.

Po *pochwalonym* i rozgoszczeniu się, nazbierało się do tego domostwa, gdzieśmy zatoczyli nasz obóz, wiele sąsiadów i sąsiadek, zapalono krupniczek w kilku miskach i posilaliśmy się sobie skutecznie. Prawdę mówiąc, ksiądz *Jacek* lubił pociągnąć; wypróżniając więc drugi lub trzeci kubek: Dobrze mnie tu między wami, panowie bracia szlachta! — rzekł on — używam w zdrowiu z łaski waszej darów Bożych, a tam w klasztorze biada! bardzo źle!

— Cóż takiego? — odezwali się.

— Choroba, śmiertelna choroba!

— Jaka? gorączka? zaraza?

— Oj, nie to licho, gorzej! Oto! wszyscy z mocnego śpiewania w chórze pozrywali sobie piersi i teraz wszyscy kachu, kachu! — ani sposobu. Pan doktor *Eme*, nadworny księcia, całemu konwentowi zadeklarował suchoty, kiedy rychłego nie będzie ratunku.

— A niechże Pan Bóg broni! Niech doktor daje lekarstwa. Na toż on doktor.

— Otóż to bieda, że ani on, ani żadna apteka takiego lekarstwa nie ma, a proste, ale djabelnie, jak on mówi, skuteczne.

— Jakież to lekarstwo?

— Trzeba nosić na piersiach szrot tłustej słoniny, taki, aby całe piersi pokrywał.

— Ale to ciężko — powiedział któryś.

— Ciężko, ciężko, ale zdrowo!

To tedy zawołał mnie ksiądz gwardyan i rzekł:

— Jedź waszeć, księżę Jacku, do braci szlachty pińskiej. Cały świat wie, że to ludzie pobożni i poczciwi, a przyjaciele Bernardynów niechże nas ratują.— A gdym już był na wozie, powiedział jeszcze: Pamiętaj waszeć, biorąc słoninę, mierzyć połcie na całe piersi, bo tak pan doktor kazał, i dostarczaj prędko, bo poumieramy.— Ratuście więc, panowie bracia! szczególniej imości, jako siostrzyczki różnych bractw pobożnych. Za to cały nasz konwent, i niegodny wasz sługa ksiądz Jacek, ubogi kwestarz, o żadnej w modlitwach nie zapomnimy, a zatem po najdłuższem życiu, wszystkie jak z rejestru do nieba iść będziecie.

Niektórzy panowie szlachta pokręcali głową, nie bardzo wierząc tej naszej chorobie; ale jednakże nazajutrz, siostrzyczki jak zaczęły nam znosić lekarstwo, tak całą furę połciów wyprawiliśmy do klasztoru.

Dla poprawienia mojej opinii w głowie Marcina, opowiedziałem mu moją *diwidendę* jarząbków.

— No, cóż na to? Marcinie!

— Niema co powiedzieć, — rzekł on pokręcając głową — masz i Jegomość oleju; ale komparacya jego-

mościnnego rozumu do Jackowego jest tak rychtyk, jak tego piroga kasztelańskiego do pińskiej słoniny. A pomiarkuj Jegomość, — czego bardziej Bernardynom potrzeba?

Wtem dropiaty zawrócił się do dworku blisko gościńca.

XVII.

U w d o w y.

Na dziedzińcu ledwo przejechać mogliśmy przez roje gęsi, kur, kaczek i indyków. Nie byłem tu ani razu — rzekł Marcin — ależ widać, że tu dobra gospodyni mieszka, pół roku cały klasztor wykarmiłby się tem ptastwem. No, dajże Boże Jegomościu szczęśliwie, a ja rozgoszczę się na popas. — Podjechaliśmy pod ganek.

Wchodząc do sieni posłyszałem, cienkie, ale chrapliwe trochę śpiewanie:

Ciesząc swoją biędę,
Za mąż sobie idę.

Zatrzymałem się więc trochę do pomiarkowania okoliczności. Śpiewano dalej:

Ja sobie wdówenka, ja sobie pani,
Choć sobie podpiję, nikt mnie nie zgani.

I znowu:

Ciesząc moją biędę,
Za mąż sobie idę.

Poznałem wraz co się święci i wszedłem do izby.

Na środku stał długi stół, nakryty dywanem, a za nim siedziała imość, której pieśni przerwałem, otyła i czerwona dobrodzika, w czepku na bakier, z oczami trochę zachmurzonymi i noskiem zaczerwienionym.

— A! ksiądz kwestarz dobrodziej! A! na wieki wieków! — I trzymając się za stół, chciała powstać. lecz gdy postłoniła się trochę, podbiegła córka, która przy drugim stoliku szyła, i podtrzymała mamunię.

— Precz wasanna! — ofuknęła ona odpychając córkę — czy to ja sama nie wstanę? ksiądz kwestarz gotów pomyśleć kto wie co!

Widzi Jegomość dobrodziej, kołtun tłucze mi się po kościach, więc czasami odbiera nogi.

Siadajże jegomość dobrodziej, siadaj. Mam barana dla Jegomościa, mam, a może i dwóch, obaczym tylko, obaczym! Bieda, powiem Jegomościu, bez gospodarza chata płacze. Zażyjem tabaczki. — Podałem mojej. — Dziękuję. A wasanna każ przynieść podwieczorek: wędlinki, ratafi i starej gorzałeczki, — na co pozwoli Jegomość dobrodziej. Bieda, bieda mojej biednej głowie. Już to trzeci raz owdowiałam. Folwarczek niczego, substancya jest, dzięki Bogu, jest. I to nie dożywocie, nie, ale moja własna właściwość, bo nieboszczyk mój pierwszy mąż zapisał mnie samej jednej, a tej kłepie dam co, czy nie dam, to jak moja łaska.

Wszystko to za jednym tchem wygadała dobrodzika, że nie mogłem ani słowa mojego przemówić. Zmordowała się jednak, czy jęczyczek się splątał, bo trochę zamilkła.

— To córeczka dobrodziki? — zapytałem w niepewności, słysząc, że ją kłepą zwała.

— A tak, córeczka, córeczka; a cóż z tego, że có-

reczka? o niczem innem nie myśli, jak tylko, żeby za mąż pójść. Ale poczeka mościa panna, poczeka! Jużbym to zawsze wołała mieć syna. Pojechałby w świat i nie przeszkadzałby w niczem matce. A to czy kto przyjedzie do domu, czy gdzie sama wyjadę, to panienka na swoje kółko niteczkę mata, a o matulce ani pomyśli.

Wtem i podwieczorek przyniesiono. Przyszła i córeczka, stanęła za matką zbiedniona nieboraczka, ale jednak *formosa puella*, i nie dziw, że przemyśliwa *circa connubium*.

— Niema gospodarza, dobrodzieju, to przyjmiesz z rąk gospodyni. Ja ratafii trochę zażywam. W ręce!— Spory kieliszek machnęła baba i zaczęła zajadać wędlinę; poszedłem za jej przykładem, choć nie tak skwapliwie.

— Proszę, suplikuję, nie wytwornie, ale pokornie. — Znowu powstać chciała, ale znowu kołtun nogi poplątał.

— Otóż, mój mości dobrodzieju, miałam już trzech mężów. Proszę teraz na moją tabaczkę. Jegomości dobrodzieja z tomką, a ja dodaję po trochu wiszniowego liścia. Miałam trzech mężów... Sto lat Jegomości dobrodziejowi!

Jakiejś ciemierzycy baba mnie poddała, bo paliłem z nosa, jak z pistoletu, i z pięćset lat mi nażyczyła.

— A wszystkich trzech najlepszych. Co ja napłakałam się po każdym! bo każdy mnie kochał i respektował.

Za pierwszego poszłam młodziuteńka, jeszcze dziecko byłam, powiadam Jegomości dobrodziejowi; ale i on był jak dziecko, *symplaczek* sobie, lecz że z godnej familii i miał ten folwareczek, a ja posagu *pasz!* więc mnie ro-

dzice za niego wydali; a on wraz mnie całą swoją substancję zapisał. Potem stał sobie zawsze przy piecu i słu-chał, co ja rozkażę; a ja sobie bonowałam jak pani. Dziesięć lat aniołeczek stał tak przy piecu, a choć go bywało i szturchnę, jak mnie uprzykrzy się ta jego niemota, albo gdy zechce mięszać się do czego w domu, to pokłoni się mnie, pocałuje w rękę i wyjdzie do *kwatery* swojej na folwarku. Rozpił się potem nieboraczek — ale nie z mojej przyczyny! cóż ja temu winna? tak jemu Pan Bóg dał — i umarł, zostawiwszy mnie na głowie córkę, tę mościapannę. Oj! co ja napłakałam się po nim! co ja napłakałam się! Skosztujem ratafii, księżę kwestarzu dobrodzieju, po wędlinie.

Zaraz sobie pomyślałam, że dla ludzkich języków, mnie młodej wdowiec długo nie wypada. A zdarzył się tu w sąsiedztwie tenutorem półwieczny jegomość, ale *moderat* wielki, *sensat*, a gospodarz zawołany, i jak zaczął do mnie podejżdzać a radzić serdecznie w mojej gospodarce, a obiecywać złote góry z tego folwarku, i nakoniec pożyczać mi po trochu pieniędzy, a molestować o deklarację, tak ja, zmówiwszy modlitewkę do świętego Eliasza, patrona wdów pragnących tego *sakramentu*, poszłam z nim na kobierzec. Oj! gdybym nogę wtenczas złamała! Bo ten pan moderat i sensat był, prawda, gospodarz, ale hypokondryk, śledzionnik, liczykrupa, sknera, tak, że musiałam ja teraz, jak niegdyś biedny mój symplaczek, stać przy piecu z założonemi rękami, a jegomość rządził i dysponował jak chciał w mojej fortunie, i jeszcze przymuszał mnie, abym mu zapisała. Oto wpa-dłam, mój mości dobrodzieju! Ale nie dotrzymałam tak długo, zaczęłam mu wetować. Dopiekał on mnie do żywego, do żywego dopiekałam i ja jemu; on chce tak,

a ja na złość inaczej; on chowa pieniądze, a ja wykradam i zabieram; on mówi: moja praca, a ja mówię: moja fortuna; on do kija, a ja do wałka. I tak sądny dzień w domu. A nakoniec jednego dnia z wielkiej złości paraliż jegomością naruszył, i umarł nieboraczek. Oj, co ja napłakałam się!

— Zdaje się, dobrodziejko, że nie było czego.

— Oto! jakto? W małżeństwie bywa i tak i owak, a dlatego potem żal!

Sześć latek z sobą przeżyliśmy, i sama nie wiedziałam, co począć po jego śmierci? Różnie głowę moją łamałam. Aż tu, jakby z przeznaczenia Bożego, przechodzi tędy pułk husarski i staje u mnie na kwaterze porucznik. Młody, mój dobrodzieju! hohol na trzy łokcie! koroniarz! wersat! bywalec, mój dobrodzieju! Kiedy ubierze się bywało, a siądzie na konia, mój dobrodzieju, złoto z niego ciecze! A jaki zuch! Czego on nie dokazywał? Najtrudniej zaś bywało wytrzymać, że jak zacznie sadzić strzeliste koperczaki, to aż dreszcz idzie po skórze. Pułk stał stąd gdzieś o mil dwadzieścia, on tu sobie zapisał zimowe leże i rozlokował się. To długimi wieczorami na dobitkę, jak zawiesi bywało teorban, a zagra i zaśpiewa albo wesołego kuranta, albo jaką dumkę ukraińską, żałobliwą, to już ani sposobu wyperswadować sercu swemu nie mogłam, i rozamorowałam się zupełnie. A do tego: Moja duszko! mój aniołeczku! — mówił — będę cię na rękę nosił, będę cię zwierzynką karmił, a jak pojedziem do moich fortun w Koronę, to będziesz tam jak pączek w maśle opływała. — Tak już, mości dobrodzieju, poszłam za sercem! poszłam za sercem... i trafiłam jak kulą w płot.

Na drugi dzień po ślubie szatan go opętał. Jak wrza-

śnie nademną: Babo! dawaj pieniędzy! — Rozumiałam, że żartuje; ale on nie żartem wrzeszczał: Babo! dawaj pieniądze. Czy to ja darmo młodość moją takiej *szkulepie* zaprzedałem? — I nie długo czekając, wyrwał mi z rąk kluczyki, odemknął kantorek (a wiedział, że tam jest gotówka, bo ja głupia z wielkiej miłości wypowiadałam mu się przed ślubem ze wszystkiego), zabrał więc cały zapas po nieboszczyku zaklęty i ruszył do pułku...

...Rozumiałam, że i nie powróci. Żal mnie zrobiło się, nie tak moich pieniędzy, jak jego samego: bo to (myślałam sobie) młode piwko, uchodzi się; wybierałam się więc za nim do komendy; aż wraca przecie, wraca! ależ za nim koni, psów, bez liku; a co najgorsza, hajdamaków z pułku takich jak sam, kilkunastu. Rozumiałam, że dom przewrócą. Hulanka dzień i noc. Znalazła się i skrzypeczka, pozapraszał sąsiadeczki, więc i tany i bale i pijatyka; a wszyscy krzyczą jak na złość: *U wdowy chleb gotowy...*

... Poszło wszystko świdrem: i pieniążki i wędlinka i gorzałeczka, a mój pan porucznik ani słuchać nie chce moich żalów, a co najgorsza, że jak czasami wyjechała od nas ta żołnierska hałastra, to on znowu śpiewał dumki piękne, ale nie dla mnie, a dla panny Teresy, mojej kochanej córeczki. Czy tak? O, ja panienkę do klasztoru, do panien Benedyktynek nieświeżskich *insperate* zapakowałam. Niechaj już ja jedna, myślałam sobie, ten krzyż Pański znoszę. A do tego jeszcze taką cierpiał *zelozie*, że kiedy raz powróciwszy z polowania znalazł pana vice-regenta gościem u mnie i grającego ze mną *w paszyka*, to porwał go za kark, wyniósł za drzwi i rzucił z ganku; tak, że ten nieboraczek ledwo powstał. A do mnie wpadł-

szy krzyknął: *Babo! kiedy kochasz, Kochaj stale, a nie kochasz, w łeb zapalę!*...

... A święta Urszulo z towarzyszkami! Aż mnie strach teraz, jak na to przypomnę... Skosztujęm po kropelce.

— Dziękuję, dobroduszko! Wolej zażyjem jeszcze tabaczki, ale mojej, bo imościna kaducznie mocna.

— Dobrze. Mój nieboszczyk *drugi* mąż zażywał tabaczkę, a od niego i ja nauczyłam się; a ten *trzeci*, bisurmanin, to palił fajkę. Nie mogłam z nim dać rady. Wypustoszył mnie dom, zrabował gospodarkę, rozhajdamaczył i rozpoił mnie dwór cały, a ja *pijanstwa cierpieć nie mogę*... Przecież niedźwiedź przyszedł mnie na ratunek. Na obławie strzelił on do niedźwiedzia i spudłował, a niedźwiedź na niego; nim dobiegli ratować, zdarł mu skórę od głowy do pięt, pogruchotał mu kości, i tak umierającego do mnie przywieźli; ot temu jak raz piąty miesiąc. Ach! co ja napłakałam się! Nie było czasu i doktora sprowadzić. Umarł, ale po swojemu: bo choć i wyповідаł się i za grzechy żałował, a jednak przywoławszy mnie do łóżka i postawiwszy na mnie oczy słupem, krzyknął: Słuchaj babo! (choć Jegomość dobrodziej widzisz sam, że ja jeszcze nie baba), słuchaj babo! ty pójdiesz zaraz za mąż za tego *jura*, któremu że do reszty kości nie połamałem, wielce żałuję, i pokrzywdzisz biedną Teresię (co to do niego należało?), ale pamiętaj, że na pierwszym nowiu po waszym ślubie ja zostanę upiorem, przyjdę do was o północy i obojgu głowy poskręcęam. — Czy to może być, mości dobrodzieju... aby on został upiorem? Jegomość tak i lepiej o tem wiedzieć możesz. Czy upiory chodzą po świecie? Czy nie widział Jegomość dobrodziej choć raz upiora?

— Nie widziałem, dobrodżiko! ale przecież ludzie powiadają, że to zdarza się. Jednakże bez woli Boskiej nie się nie stanie. Są sposoby w modlitwach za duszę.

— A, są sposoby — przerwała mi imość mowę — wiem i ja o tem, mój dobrodżieju! i pan vice-regent powiada, że trzeba tak zrobić, żeby kochaneńki leżał sobie spokojnie w ziemi, i nie hajdamaczył tak po śmierci, jak za życia. Trzeba odkopać trupa, uciąć jemu głowę rydlem i położyć w nogach, żeby rękami nie mógł dostać. To będzie mocował się, mocował się, silił się, ale jak nie dostanie rękami głowy, to nie wstanie. A jeżeliby dostał, to weźmie głowę pod pachę i pomaszeruje. Już ja raz tak jego i śniłam z oczami wytrzeszczonemi z pod pachy. Mogiła wiadoma. Więc jak Jegomość dobrodżiej radzisz?

— Ja dobrodżice zupełnie inny poradzę sposób, i pewnie skuteczniejszy.

— Słucham, mój dobrodżieju, słucham!

— Oto, daj naprzód dobrodżiko na msze święte, na exekwie, i na ubogich za jego duszę; a ponieważ przed śmiercią on sam powiedział, że wtenczas zostanie upiorem, gdy Imość przez nowe z jurystą poślubienie się ukrzywdzisz córkę, to radzę jak najprędzej ją za mąż wydać i regularnie wyposażyć.

— A co to księdzu kwestarzowi do tego? Waspan dobrodżiej, jako osoba duchowna, nie powinienes w to mięszać się, co do niego nie należy.

Otóż i po moich baranach! — pomyślałem.

— Ja bo tylko chciałbym ochronić dobrodżikę, aby pan porucznik na pierwszym nowiu z pod pachy na nią nie spojrział.

— Już my sobie damy rady bez Jegomości, a exorcistów nie potrzebujemy.

Rozsierdziła się babula, i uciekłaby pewnie odemnie, gdyby mogła powstać, ale spróbowałszy razy kilka, osiadła znowu.

— Wiesz co? dobrodziko! — rzekłem — zapijmy tę sprawę!

— Niechaj sobie i tak. — Udobruchała się wnet i wychyliła do kropki kieliszek. — Niechaj sobie i tak! A do tego, widzisz wasan dobrodziej, że pan vice-regent, to mądra głowa, on wszystkie statuta na palcach liczy, a powiada, że niedawno postanowiła Rzeczpospolita takie prawo, że kiedy gdzie jest matka i córka, a obiedwie chcą iść za mąż, to córka nie może wyjść pierwej od matki i musi czekać, aż póki matka nie wyjdzie.

Stojąca córeczka za krzesłem matuli, *miknęła* z cicha: Oho! oho!

— Co to waspanna *mikasz*? — krzyknęła imość — co to waspanna *mikasz*? Mikaj waspanna, nie mikaj, tak będzie, jak Rzeczpospolita przykazała. Co to?... bunt?...

— No, dobrodziko, ja nie prawnik; ze mną rzecz o barany, do tego więc przystąpmy. Za trzech mężów, trzech baranów, a na sukces z czwartym, czwartego.

— Na sukces z czwartym!... at niechaj sobie! Coś mnie trochę słabo... kołtun ten przeklęty!...

Ostatni kieliszek dogodził widać dobrodzice, bo drzemać zaczęła.

— Kołtun ten przeklęty... i głowę i nogi odbiera i tak coś morzy... morzy... Na sukces z czwartym... czwartego... panna Teresa... i Rzeczpospolita... Upiorem zostanie...

Bredząc tak i mrucząc baba, założyła ręce na stole, opuściła głowę na ręce i zachrapała jak w trąbę. A panna Teresa, podziękowawszy mnie za dobre serce i prosząc o modlitwę na jej intencję, czterech baranów wydać kazała.

— No — rzekł stary Marcin, gdyśmy za bramę wyjechali — daj Boże po wiek mieć do czynienia ze starymi wdowami. — A gdym mu rozpowiadać zaczął całą historję tej kwesty: Wiem o wszystkim — przerwał mi — i więcej wiem, niżeli Jegomość i niżeli sama pani, bo ona tego nie wie, że palestrancik, którego ona dla siebie kaptuje, jutro, gdy ona zaśnie po obiedzie, wywiezie panienkę i ślub z nią weźmie. Już ma indult gotowy i wszyscy we dworze wiedzą o tem, ale nikt jej tego nie powie, bo nienawidzą baby. Góra z górą nie zejdzie się, a człowiek z człowiekiem zejdzie się; otóż i ja znalazłem tu ochmistrzynię, dawną moją kumę, która wszystko mnie to powiedziała i *króbkę* naszą podróżną napakowała wędlinką.

XVIII.

U pana starosty.

W późny wieczór przywlekliśmy się do dworu pana starosty i lubo z pałacowych okien świeciło jeszcze jak z kościoła, wolałem jednak zajechać na noc do ekonomii, a nazajutrz rano pokłonić się panu.

Obaczmy jutro, pomyślałem sobie, jaka to komparacya między państwem pana starosty a państwem pana wojewody. Jakoż przenocowałem wygodnie u pana dyspozytora, który mnie przyjął poczciwie, a nawet i kordyalnie, gdym mu powiedział jeszcze, że przybywam na rozkaz starosty.

Nazajutrz rano, nim jeszcze w pałacu okienice otworzono, już ja ze dwie godziny *kwerendowałem* po całym dworze, przypatrując się wszystkiemu, nie w celu, broń Boże, jakiegokolwiek cenzury, ale że to odezwało się w człowieku życie niedawne dworskie. Bo to nie tak łatwo, jak się komu zdawać może, wyrugować z głowy dawne nalogi i obyczaje. Za każdą okazyą odnawia się pokusa, jak recydywa po chorobie, przeciw której jedyna *salva* w łasce Boskiej, utwierdzającej człowieka w dobrem postanowieniu. To też, Bogu dzięki, nie na długo mnie zachwyciła ta chętką, a ciekawość bez złych myśli i zamiarów nie jest, zdaje mi się, grzechem, tem bardziej, że we dworze tym zbudować się i za każdym krokiem za dobry przykład Bogu dziękować trzeba było.

Ludzi tu jak mrowia, ale wszędzie ład, dostatek, wygoda. U pana wojewody szumno, huczno, buńczuczno, po pańsku nawet, bo hojnie i wspaniale, ale we dworze rygor i nie zawsze ład i spokojność. Tu wszystko jak w zegarku, każdy swego pilnuje z ochoty, nie z bojaźni, u każdego na twarzy wesołość, zgoda między wszystkimi; a u nas, bywało na dworze pana wojewody, ja marszałek, musiałem codziennie rano rozsądzać nocne sprawki libery i *boćkowskim* hamować procedera.

To, pomyślałem sobie, dom staropolskiej cnoty i poczciwości. — A tu kto mieszka? — pytałem się, stojąc przy stajni u masztalerza, wskazując na jedną oficynę,

— Tu sami gracyaliści pańscy, starzy słudzy, albo i nie słudzy; ot byle biedny a poczciwy, to ma i chleb.

— A w tej drugiej oficynie?

— Oho! tam panowie rezydenci godnej kondycyi; oni zawsze na pokojach pańskich i do pańskiego stołu siadają i koniki swoje pańskim obrokiem karmią. Są tam jeszcze pokoje gościnne, nigdy, chwała Bogu, nie próżne.

— A w tej trzeciej najdłuższej?

— A w tej trzeciej, to grunt. Widzisz jegomość, że już z komina się kurzy. Tam mieszka nasz pan marszałek i nasz chlebobawca pan szafarz; tam kuchnia i służba wszelka pokojowa, tam i kapelia. My stajenni mamy masztarnię. A w czwartej oficynie, tej najbliższej od pałacu (bo już pewnie jegomość zapytasz), same babstwo, Panie, odpuść ciężkie grzechy, faworyty imościne, stare *szkulepy*. Jak zacznem w niedzielę wozić je do kościoła, to i koni nie staje. Nic nie robią, tylko z księdzem kapelanem, który mieszka w pałacu, do różańca i godzinek stają codzień w kaplicy, regularnie z okularami na nosach. Są tam i młode; uczą się czegoś, kto ich tam wie?

— A może jegomość dobrodziej naszą stajnię opatrzy?... Ale oto i pan na ganku.

— *Hospes venit, Chrystus venit!* — wykrzyknął pan starosta, spostrzegłszy mnie podchodzącego do ganku. — Dziękuję waści, księżę kwestarzu, żeś moją obligacyę tak rychło i ochoczo spełnił.

Sentencyę na sentencyę odkładając, rzekłem: Hospes non invitatus recedit, saepe ingratus; lecz ja, stawając tu na rozkazy JWpana, mam nadzieję i łaskawego przyjęcia.

— Brawo! erudyty! Marszałka do mnie! (a gdy ten wnet się okazał) mamy gościa — rzekł doń starosta — którego sam wczoraj zaprosiłem. Do południa jestem za-

trudniony, proszę więc tymczasem księdza kwestarza ugościć i zabawić; a na obiady zapraszam go do siebie.

Co dwór, to marszałek, a wszyscy jednego kroju; każdy powinien mieć głowę nie dla proporcei, nosić się nietylko chędogo, ale i z pańska, dla honoru pryncypała swojego, być rezolutnym, ale razem poważnym i statystą, a nie fireykiem ani świszczypałą, nie dać się skonfudować nikomu, mieć animusz i figurę, ale też znać się dobrze *cui quod debet*, na *preeminencyach*, *stallach* i urzędach, aby, gdy u obiadu pańskiego z laską chodzisz koło stołu, hajduk nie podał półmiska pierwej panu skarbnikowi, niżeli panu stolnikowi lub wojskiemu, bo za taki *feller* i miejsce i konsyderacją utracić można na zawsze. Umiałem ja to wszystko... ale cóż? *Sic fata tulerunt!* to jest: *dziej się wola Boska!*

Pan marszałek dworu pana starosty, ma, zdaje mi się, wszystkie takowe *kwalifikacye* i jest *peritus rei* w swoich *officyach*; posłał zaraz do pałacu po kawę dla mnie, dla siebie i dla panów rezydentów, których dwóch przyszło doń na śniadanie.

Jeden młodzieniaszek; widać niedawno z pod *feruły preceptorskiej*, bo nieśmiały i nie nabrał jeszcze dworskiego *szyrmu* ani *lustru*; ale drugi całą gębą *homo*, bo i *persona* i *eloquentia* i krotochwilność subtelna, właśnie jak potrzeba do ozdoby dworu wielkiego pana. Żartowali z siebie wzajemnie, jeden drugiemu czyniąc *alluzye* do dworskich panien, a obadwa biednemu podstolicowi o *inklinacye* jego do panny horodniczanki, faworyty i wychowanki pani starościnej.

Czerwienił się biedny chłopak, ale widać trafili mu w sedno, bo nie umiał im odciąć się.

— Dziecko bo jesteś, mój kochany podstolicu — mó-

wił starszy pan rezydent, chorąży z tytułu, — męczysz się codzien i suszysz sobie głowę, smarząc do niej wierszami jakieś *fabuły*, jakieś *dyalogi*, w których wszystkich bożków pogańskich wzywasz na sukurs, w których co słowo, to *Cerery* i *Wenery* i wszystkie *olimpijskie dziardyny* stawiasz w paradę. To bardzo pięknie i rozumnie; widać, żeś niedawno *poezymę* przeszedł; ale cóż, kiedy piękna Franusia o Bożym świecie tego nie rozumie? A kiedy jesteś razem z nią na pokojach, to stoisz zdaleka, jakbyś trzech zliczyć nie umiał; w tańcu z nią, to jakby ci kto ołowiu do kieszeni nakładł. Idziemy całym dworem na spacer: znowu toż samo! panienki śpiewają, biegają, swawolą, ja starszy a pomagam im i śpiewać i biegać, a wasan... *Jezu mój, Panie!*... idziesz wyprostowany i zamyślony, jak pan dyrektor za żakami, a zachmurzony i krzywy spoglądasz na Franusię, jak na kwaśne jabłko; a to słodzienka gruszczyca, mój podstolicu! Przecieżeś chłopiec jak malina. Kiedy cię widzę na polowaniu rzeżwym i ochoczym, harującego na koniu, a wesołość i swoboda z oczu ci tryska, to aż miło drugiemu! Czemuż tak nie polujesz i na serduszko horodniczanki? Wyskocz! doskocz! raptem do niej! i twoja będzie. Nieprawdaż? panie Sebastyianie! — rzekł do marszałka. — Tak po naszymu!

— Bywało — odpowiedział, kłaniając się marszałek. — Wiele masz lat? panie chorąży!

— *Inutilis quaestio solvitur silentio!* — odpowiedział ten, kłaniając się wzajemnie i obadwa rozśmieli się, a ja z nimi trzeci. Pan podstolic tylko spokojnie popijał kawę.

— Cóż? szanowny nasz gościu! — odezwał się znowu do mnie pan chorąży, — wieleż już nazbierałeś baranów?

— Będzie z tuzin, licząc z tym, którego dobrodziej darujesz.

— Brawo! po kwestarsku! Ale ja gospodarki nie mam; wszakże baran a talar, to na jedno wychodzi, tego więc chętnie ci ofiaruję. Za moim przykładem, ręczę, że wszyscy nasi dworscy pójdą, nie licząc kontrybucyi, którą ci nasz babski regiment z tamtej oficyny złoży. Nie mówię o JWstaroście. Opowiadał on nam wczoraj twoją dowcipną *dividendę* jarząbków i hojnie cię zapewne obdarzy. Zabawisz tu z nami, księżę kwestarzu, dni kilka, bo cię starosta nie wypuści. Chwała Bogu, u nas jak w raju; nie zatęsknisz ani po swojej celi, ani po nabożeństwie; kaplica w ogrodzie, codzień msza święta; na którą oto i dzwonią.

— A więc pójdziemy — rzekłem — może jeszcze trafię posłużyć księdzu kapelanowi. — I trafiliśmy wcześniej.

Na podziękowanie Bogu za szczęśliwie odbytą podróż państwa, msza śpiewana odprawiać się miała, więc i kapelia była na chórze: bo to nie kaplica, ale kościółek prawdziwy, murowany, piękny, ozdobny, a ludu jak w niedzielę w jakiej parafii. Prawdę mówił masztalerz: kilka babulek okularowych, każda własnym dyszkantem ciągnęła *Zdrowaś Marya*. Kiedy to ja huknę *insperate* za niemi basem po bernardyńsku, aż przychyliły się babulki w ławkach i obróciły na mnie zdziwione okulary, a wszyscy uśmiechali się potrosze.

Skończyliśmy różaniec, zadzwoniono raz drugi; weszli państwo z dziećmi do kościoła i zasiedli ławkę w *presbiterium*. Ubrałem w zakrystyi księdza kapelana, który mnie na zaznajomienie się pobłogosławił i wyszedł ze mszą, a ja z jednym *gracyalistą* za *serwitorów*.

Daj Boże na najdłuższy wiek pobożnym państwu,

a na zasługę u Pana Boga wszystkim, jako się pięknie i przykładowie odbyło nabożeństwo. Po supplikacyi, do patyny przystąpili naprzód JWstarostowie oboje, przy nich dziatki, a potem cały dwór, jak kto docisnął się. Natenczas postrzegłem jakąś figurę *generis masculini*, stojącą przy ławkach pańskich, po niemiecku ubraną, twarzy chudej i żółtej z głową pudrowaną, z włosami w tył zebranymi, z harcapikiem *na potylicy*, w trzewikach i pończochach, a z kapeluszykiem składanym pod pachą. Z oczu biegających na wszystkie strony, coś mu kociego czy szatańskiego wyglądało, do czego i ubiór jego wielce się akkomodował. Pomyślałem, że to musi być doktor niemiecki, a jak zwyczajnie Niemiec, widać, że luter, dlatego ks. *celebrant* nie dał mu patyny i on sam nie cisnął się do niej. Pokręciłem głową, myśląc, po co on tutaj?

Po nabożeństwie starościna powitała mnie łaskawie i panięta mile się ukloniły, a Niemiec zmarszczył się; ale i ja na niego spojrzałem tak, że mu aż w pięty pójść musiało i poszedłem za księdzem kapelanem, który mię do siebie zaprosił.

U księdza kapelana także jak w kaplicy: relikwiarzami całe ściany zawieszono, a przy każdym kwiaty bardzo misternej roboty, rąk, jak mi powiedział ksiądz kapelan, fraucymeru pani starościny. Pokoiki dwa małe na skrzydle pałacowem, a w nich czysto i cicho, jak w celi.

Gdy on się posilał śniadaniem, ja rozpatrywałem się w tych wszystkich świętościach; ale że mnie ten Niemiec wbił się w głowę, więc zapytałem:

— Dlaczego, *reverendissime*, nie dałeś patyny temu Niemcowi, który stał przy ławce starościńskiej? Musi on być jakiś *szoldra* dyssydent, a zapewne doktor nadworny tutejszy?

— Oj, ani luter, ani kalwin, ale gorszy od nich wszystkich — odpowiedział ksiądz Joachim, — bo to przekłęty heretyk, bezbożnik, ateusz, farmazon bodaj, a chrzci siebie filozofem i bardzo mądrym człowiekiem. To nie Niemiec, ale Francuz i nie doktor wcale; mamy tu doktora pocziwego Węgra; a ten bezbożnik nie leczy, ale truje i to nie ciało, ale duszę! a co jest najgorzej, młode i niewinne dusze, dzieci pańskie! bo to jest *per modum* nauczyciel ich do języka francuskiego.

— A dlaczego, *reverendissime*, nie ostrzeżesz tych zacnych i pobożnych państwa o takich bezbożnych jego i szkaradnych naukach? Na cóż go wpuszczacie do domu Bożego!

— Czyż rozumiesz, kochany księżę kwestarzu, że ja obojętnie patrzę na to zgorszenie? Fulminuję, upominam, błagam oboje państwo i zaklinam na zbawienie duszy, aby tego niegodnego człowieka oddalili od dziełek swoich; ale na nieszczęście, bies ma swoich na tym świecie apostołów, a tymi są ludzie zgorszenie czyniący, pełni szatańskiej przewrotności i światowego rozumu, przez który bałamuca pocziwe i łatwowierne głowy.

Oh! takich już wielu jest w naszym kraju. Wyrzutki z własnego, znajdują u nas, szczególnie w domach pańskich, nietylko przytułek i wygodę, ale nawet konsyderację wyższą od naszych własnych, mądrych i uczonych a bogobojnych mężów, na których, chwała Bogu, krajowi naszemu nie zbywa.

Bóg, gdy chce kogo ukarać, to mu rozum odbierze —

powiada dawne przysłowie, — ołóż i my spodziewamy się kary Bożej, bo nam Bóg, własny staroświecki poczciwy rozum odebrał, a przypuścił na nas wiarę w mowę i rozum francuski terażniejszy, bo dawniejszy rozum i francuski nie był takim. Terażniejszy bezbożny, niecnotliwy, niechrześcijański, pragnący wyrzucić wiarę świętą, obyczaje, zwyczaje i wszystko, co dotąd ludzie czcili i szanowali. I to jest dzisiejsza filozofia z piekła rodem, która się u nas z językiem francuskim, a najbardziej z książkami francuskimi rozszerzać poczyna, między panami naszymi najpierwej, a przejdzie potem i do małpującej ich szlachty.

Na wielkim świecie, w Warszawie naprzykład, ani stąpić bez francuzczyzny; sam tego byłem świadkiem, gdyśmy tam przeszłego roku byli. Stamtąd właśnie przywieźliśmy i tego filozofa; ale zażyłem go tu niezłe!

Po długich jegomością rozmowach, po sprzeczkach ze starostą i samą panią, którzy umieją po francusku, którzy jako pobożni katolicy nie mogli słuchać spokojnie jego bluźnierstwa, a przez delikatność i respekt dla takiego mędrca zawiązać mu gęby nie śmieli, po nieuważnem jego znajdowaniu się w kościele i innych okolicznościach, wiedząc zwłaszcza o powszechnem duchu jego braci, poznałem, co się święci. A więc wezwawszy Ducha św. na pomoc, który odrazu nauczył apostołów wszystkich języków, wziąłem się, nie nikomu nie mówiąc i owszem, tając się z mojem postanowieniem, do francuzczyzny.

Umiejąc dobrze po łacinie, nie tak bardzo i trudno mi przychodziło. Znalazłem dykcyonarze i książki w bibliotece pańskiej, przysłuchiwałem się niby to od niechcenia lekcyom jego samego dzieciom dawanym, a nocami

i rankami pracowałem bez ustanku; tak za trzy miesiące rozumiałem cały skład języka tego i mowę filozofa; milczałem jednak, czekając pory, a doskonaląc się codziennie i rozmawiając nawet sam z sobą.

Jednego razu u obiadu, przy wielu gościach, rozporował się francuzisko w swojej ulubionej materii, jak on nazywa filozoficznej. Wielu było panów, umiających po francusku, a przysłuchujących się pilnie jego zuchwałym eksklamacjom. Dowodził, że duchowieństwo jest ciężarem niepotrzebnym dla kraju, bo wszyscy księża próżniacy.

— Kłamiesz! beczelnie kłamiesz! — odezwałem się. — Ciężarem dla naszego kraju są włóczęgi, którzy we własnym nie umiając na chleb zarabiać, nasz zjadać przychodzą i za ten chleb nasz przynoszą nam zepsucie i potępienie!

Nie umiem opowiedzieć Jegomości zdumienia powszechnego, samegoż Francuza, moich państwa i całej kompanii. Francuz oniemiał, patrzył na mnie osłupiałym wzrokiem, jak złodziej na uczynku złapany, nakoniec pan starosta rzekł: Księżę Joachimie! czy cię Duch św. darem języków nawiedził? Co to się ma znaczyć? Od lat pięciu mieszkamy razem. Czyś swoją naukę ukrywał? i dlaczego?

— Nie tałem się z nauką, JWpanie — odpowiedziałem — hom jej nie miał, ale w rzeczy samej wezwałem pomocy Ducha świętego, abym się mógł nauczyć języka, w którym ten fałszywy filozof rozpowiada bluźnierstwa. Trzy miesiące temu, jakem i słowa nie rozumiał po francusku; dziś oto rozumiem, i mogę śledzić tego węża kusiciela, zetrzeć mu głowę jego własnym orężem,

a zasłonić przynajmniej dziatki pańskie od zarazy i zepsucia.

Powszechny dano mi *applauz*. Starosta wstał od stołu i uściśnął mnie. *Konfuzya* Francuza była wielka, i tem większa, gdym mu opowiedział, jakim sposobem i w jakim celu nauczyłem się po francusku, a oraz gdy pan starosta dodał: Odtąd ksiądz Joachim będzie obecnym każdej lekcji, bo nie chcę moich dzieci na niedowiarków sposobić.

Skromniejszym więc jest teraz, i w obecności mojej cyt! książki tylko swoje przedemną zamyka, ale i do tych dobiore się kiedyś.

Przy tem rozpowiadaniu przypomniałem sobie słowa mojego księdza gwardyana, które mi na wyjeździe w tej materji powiedział, powtórzyłem je księdzu kapelanowi.

— Tak, tak — rzekł on — miał rację twój ksiądz gwardyan; widać, że to jest mądry i przenikliwy kapłan. Jest *zło* między nami, jest! Waszeć tu jedną tylko małą widzisz próbkę, ale *non derogando* twemu rozumowi, nie kwestarskim rozmysłem ani kwestarzowi zdarzyć się mogą zrzeczności dojść tego i pojąć, jak *ono* obejmuje najpierwsze w kraju naszym głowy, jak ostudza gorliwość kapłanów nawet, jak z chciwością chwytają dziś książki francuskie, napojone jadem niedowiarstwa, i naczytawszy się ich, żartują ze wszystkiego co dotąd jest u nas świętem i nietykalnem. O biada, biada krajowi, w którym tak się dzieje, jak w naszym! upadnie on, niezawodnie upadnie, bo go odstąpi opieka Boska, gdy bojaźń Boska odstępuje; mamy jeszcze zapas cnót domowych, ale i te wygasają powoli, a natomiast szerzy się bezwstydna rozwiązłość i samolubstwo: lecim więc na oślep do upadku doczesnego i do zguby wiecznej.

— Dla Boga! — rzekłem — ratujcież ichmość teologowie, ratujcie!

— A cóż mogą nasze poziome rozумы i sposoby przeciw woli Boskiej? Za nasze to grzechy karze nas Bóg i przypuszcza obłąkanie. Ale czyż rozumiesz, że dlatego wiara nasza święta chrześcijańska upadnie? O nie, wcale nie! bramy piekielne nie poruszą jej! gdy się zdaje chwiać, to się tylko mocuje!...

Ksiądz kapelan porzucił śniadanie i szerokim krokiem przechadzał się po pokoju, a oczy mu ogniem pałały; wiele jeszcze w tym sensie napowiadał mi *sentencyów*; któż je spamięta? słuchałem go, jakby kaznodzieję na ambonie, i tak przeszedł nam czas aż do obiadu, przed którym wyszliśmy trochę do ogrodu, a potem na ganek.

Odjeżdżał właśnie do stajni wózek saski zielony, parą końmi zaprzężony, a gość na nim przybyły już był w pokoju. Poznał ks. kapelan powóz. i powiedział mi, że to przyjechał pan Kwetko, mecenas trybunalski a plenipotent starosty w jego procedurach, którychby nie było, gdyby on starosty nie podwoził do kłótni.

Weszliśmy więc do sali, gdzie już pan marszałek około nakrytego stołu uwijał się, do którego za wejściem państwa z dziećmi i panem filozofem za nimi, po benedykcyi, zasiedliśmy.

— To tedy jesteśmy *jure victi*, panie budowniczy! — odezwał się starosta do pana Kwetki.

— Niezupełnie — odpowiedział on — niezupełnie, bo *remissa* nie znaczy przegraną. Rozumiałem ja wprawdzie, że od razu w trybunale pokonamy szlachcica; ale co się przewlecze, to nie uciecze, a tymczasem *beatus qui*

tenet! więc niech szlachcie prawuje się, a wioseczka przy nas!

— Nie *beatus*, ale *maledictus qui tenet injuste!* — odezwał się ksiądz kapelan.

— Nie wdawaj się w nieswoje, księżę teologu — odezwał się pan Kwetko. — *Teologia* i *jurisprudencya*, to dwie osobne *sciencye*, które trudno czasem pogodzić.

— A wszelak — odezwał się starosta — ja jestem zdania księdza Joachima, i dlatego niżeli na nowo w subseliach prawować się rozpoczniemy, poradzić się muszę przyjaciół i prosić o prawdę, choćby nie po mojej stronie, a potem wolę oddać wioskę memu *adwersarzowi*, jeżeli ona mu słusznie należy... Ale o tem potem, a teraz, księżę kwestarzu, ponieważ twej *diwidendy* tu potrzebować nie będziemy przy obfitości darów Bożych, więc twojego dowcipu i wesołości pragniemy, którą, panie marszałku, pobudź lampeczką.

Sadzając mnie jeszcze do obiadu, pan marszałek pokazał miejsce samo jedno, na samym końcu stołu długiego, naprzeciw pani starościnej, która także sama jedna najpierwej miejsce zasiadała.

— Tu — rzekł — *miejsce kwestarza*, a to twoja *porcyca* — dodał, wskazując na sporą lampeczkę.

— *Deo gratias!* — odpowiedziałem, i rozsiadłem się wygodnie, a poznałem, że marszałek zna swoje rzemiosło, bo gdyby mnie gdzieindziej posadził, chybiłby zwyczajnej reguły.

Nalał mi więc wina, które z zapachu i smaku na wojewodziński *chleb powszedni* zakrawało; smakując zatem powoli, odpowiedziałem staroście:

— Na dworze JW pana tak wszyscy z łaski pańskiej weseli i szczęśliwi, że obejdzie się bez mojego mi-

zernego dowcipu, którego nie miałem jeszcze zręczności i *wyexercytować*, bo pierwszy raz jestem kwestarzem, a bardzo niedawno w zakonie.

— To źle — odezwał się pan Kwetko. — Kwestarz powinien być *jowialista* i *konceptcista*; takimi są *praeter propter* wszyscy koczujący *fratres* Jegomości; a jeżeli Jegomości na tem brak, to przyjeżdżaj do nas na trybunał, ale miej z sobą kalitę talarów: bo u nas na ustępie, kiedy Najjaśniejszy trybunał w namowie, to prześwietna palestra odbywa wojnę na języki, a za każdy dobry koncept lub żart z kolegi, płaci przegrany po dwa złote do puli, za którą potem śniadanie dla wszystkich ¹⁾. — Otóż małym kosztem nauczysz się u nas rozumu.

— Taniż to rozum — rzekłem — którego za dwa złote można się nauczyć; gdyby tylko nie był on tyle wart, co i tanie mięso?

— A czy nie warta i ta odpowiedź dwa złote? panie budowniczy! — rzekł starosta. — I ostrzegam, nie zaczepiaj skromnego na pozór kwestarza, bo przegrać możesz sówiciej jak w ustępnej.

Ale zaufany w swojej mądrości pan budowniczy, kiwnął głową, i po chwili milczenia zapytał mnie:

— Jakto, mój dobrodzieju, nazywają po klasztorach braci młodych niemiszalnych; posługaczów, *et id genus*, którym jednakowo głowy już wygolono?

Nie mogłem domyśleć się, o co idzie panu budowniczemu. — Nie wiem — rzekłem — żadnego osobnego

¹⁾ Zwyczaj to był dawnej palestry trybunalskiej, i wiele stąd zostało anegdot, krążących dziś pomiędzy nami, a przyswojonych częstokroć niesłusznie.

nazwania. Pospolicie zowią nas podług *officyów*, do jakich kto przeznaczony: brat *kwestarz*, brat *servitor*, brat *zakrystyan* i tym podobnie.

— Nie, nie; jest jeszcze osobna a ogólna *denominacya* dla wszystkich takich braci.

— Nie wiem, dobrodzieju! — rzekłem, a już przewidziałem, że mnie zatnie, tylko nie wiedziałem, jak?

— Oj, wiesz, wiesz, tylko powiedzieć nie chcesz, bo niepodobna, abyś w klasztorze ze zwyczajnem swoim imieniem nie spotkał się.

— Nie rozumiem Jegomością, a kłamać nie umiem.

— No to więc powiem już, kiedyś tak uparty. Każdy taki brat zowie się *pałkuć*, od głowy wygolonej jak pałka. A co? nieprawdaż?

— Prawda, — rzekłem — tylko, że to nazwanie nie w klasztorze, ale za klasztorem częstokroć słyszeć się daje.

— Ale kiedy Jegomość tak bieglły w *denominacyach*, to powiedz nam z łaski swojej, jak to w prześwietnej palestrze nazywają patrona, który sprawy przegrywa, tak, jak naprzykład dobrodziej sprawę JW. starosty? Jest i dla takich osobna a ogólna *denominacya*, z którą się nieraz pewnie zdarzyło Jegomości spotkać.

— Zdarza się wygrywać i przegrywać sprawy — rzekł zbity od razu z humoru pan budowniczy, na którego teraz wszyscy oczy obrócili, przewidując, że mu oddam za swoje; — ale to wcale opinii nie dotyka i żadnego przezwiska nie nadaje.

— Oj, nadaje, dobrodzieju, nadaje, tylko Jegomość nie chcesz onego wymówić, bo trochę za twarde.

— Więc już sam, ks. kwestarzu, powiedz nam to

zaklęte słowo, ktorego pan budowniczy wymówić nie chce — rzekł śmiejąc się pan starosta.

— E, da się uprosić — rzekłem — mój przydomek pamiętał, jakżeby własnego zapomniał? Pomyśl tylko, dobrodzieju!

— Ale powiadam, że nie wiem.

— No, to cóż już robić? to ja muszę Jegomości przypomnieć. Takiego tedy jurystę, który sprawy przegrywa, nazywają *kauzyperdą*, mości dobrodzieju! To z łacińskiego, jak pewnie dobrodziej rozunniesz, *perdere causam*. I tej wielmożności *kauzyperdy* Jegomości winszuję, — dodałem, powstawszy, i kłaniając się mu uniżenie.

Śmiech powszechny skonfundował do reszty pana budowniczego. — Płać dwa złote, płac! — wołał nań starosta.

— To więcej warto — odezwał się pan chorąży — bo ja w tem, że przydomek ten zostanie panu Kwetce do śmierci. A za zuchwałość, z jaką wyzywał księdza kwestarza, *cum duplici* powinien zapłacić.

— Nie mam drobnych — odezwał się budowniczy, zdobywając się na humor.

— Dawaj całego talara, dobrodzieju! — rzekłem, poznavszy teraz *subjectum* pańskie — woła Pana Boga! zdam resztę tąż samą monetą.

— Brawo! brawo! — krzyknęli wszyscy. — Już kwita! Musi po obiedzie zapłacić. — A starosta dodał: Mówiłem ci: nie zaczepiaj kwestarza.

Po obiedzie chciałem pożegnać starostę, ale nie pozwolił mnie mówić o odjeździe. Pan Kwetko *volens nolens* zapłacił mi talara, bo go chorąży obsedował bez

ustanku; i poszliśmy z ks. kapelanem do jego kwatery na zwyczajny *requies*.

Requies tedy trwał aż do niespornej godziny, a potem pod *manudukcyą* kochanego chorążego, poszedłem na kwestę po dworze. U babulek na podziw nam się udało; wprawdzie obdzieliłem je sowito bernardynką, ale jak zaczął pan Atanazy prawie do każdej dykteryjki i przypominać różne intencye, tak wszystkie, to ze skrzynek, to z pod poduszek, to z jakichciś węzełków, dobywały złotówki i koronczyki, a mnie do rąk kładły. Żaden też z dworskich nie puścił mnie bez jałmużny, tak że spory mieszek się napełnił, który chorąży talarem bitym pieczętował.

Nazajutrz rano przywołał mnie starosta i rzekł, dając mi papier w rękę: Jeśli ci pilno, kochany ks. kwestarzu, to cię i nie zatrzymuję. Trzodkę twoją kazałem podwoić, a zatem idź do ekonomii. *Vale! Frater!* i póki będziesz kwestarzem, nie mijaj nas nigdy.

— A tobym, JWpanie, krzywdził nasz klasztor, gdybym minął tak dobroczynnego i wspaniałego dygnitarza. *Dat bene, dat multum, qui dat cum munere vultum* (sentencya mi się dobrze przydała), a właśnie JWpan i hojną dajesz jałmużnę, i łaskawie przyjmujesz kwestarza. Niechże Bóg wszechmogący nagradza cnoty i hojność pańską, a błogosławi panu w dziatkach, wnukach i prawnukach.

Poszedłem zatem pożegnać księdza kapelana; tam przy kawie rozwinąłem papier przez pana starostę dany, znalazłem w nim assygnacyę do ekonomii, aby odesłano do klasztoru Nieświeżskiego: »Żyta beczek pięć, N. 5. Słodu jęczmiennego na piwo beczek trzy, N. 3. i wołów

karmnych dwa, N. 2., a to na jałmużnę ks. Ławrynowiczowi, kwestarzowi klasztoru Nieświeżskiego.

Chciałem biedz znowu do starosty, a pokornie dziękować mu za takie dobrodziejstwa, ale zatrzymał mnie ks. Joachim.

— Nie idź, *carissime!* — rzekł on. — To nie cud, że pan tak możny, jak starosta, jest hojnym i wspaniałym: powiadam waści, że to nie cud: bo niemasz u nas panów skąpych na chwałę Bożą, i tem przynajmniej okupują oni swe grzechy marnotrawstwa i zbytków. Starosta zwłaszcza jest nad innych dobroczynny i wspaniały, i nie dla próżności tylko lub chluby, ale z prawdziwej chrześcijańskiej miłości bliźniego. Cnoty te jego i sentymenta rozpościerają się na cały jego dwór, jak o tem przekonać się mogłeś...

... Sama też pani pobożna i dobroczynna matrona, prawdziwa matka biednych, jak przystało na wielką panią. Wieleż to przez moje ręce przechodzi jej darów do kościołów i do szpitalów! a do tego wieleż to u nas jest i panien i dziatwy, staruszków i staruszek, i tu i po folwarkach, których ona karmi, hoduje, młode za mąż wydaje i wyposaża, a starym do śmierci chleb i kąć ciepły zapewnia! Miło, prawdziwie miło patrzeć na takie użycie dostatków, na takie nasze starodawne cnoty, które bodajby się w potomkach odrodziły. Ale, niestety! i tu nam francuzczyzna broi. Widziałem w Warszawie przykłady, że pan z dawnego mienia i możny z dostatków, powróciwszy z wojażu, przywiózł z sobą *kamerdynera* Francuza, odprawił cały swój dwór i braci szlachtę, którzy u jego ojca i dziada chleb mieli, a służyli im wiernie; a samotny z nowym sługą i konsyliarzem nowej mody, oddawał się cichemu próżnowaniu lub skrytej rozpuście.

— Musiałeś, dobrodzieju — przerwałem, — być ka-
znodzieją.

Uśmiechnął się ks. Joachim, rad widać memu do-
mysłowi.

— No -- rzekł, — dość tego. Musisz, *carissime*,
jeszcze jedną odbyć kwestę. Chodź ze mną do paniąt.
Starościna kazała, abym cię do nich zaprowadził, bo pro-
siły u matki pozwolenia obdarzenia cię także. Niewinne
i anielskie serca, kiedy ich ten zły duch nie zepsuje.

Jakoż poszliśmy do pokoju panicza, gdzie znajdował
się i pan filozof, a nawet przybiegła i panienka, a za nią
dziewczyną z węzełkiem.

— Mama — mówił ten aniołek — ofiaruje ks. kwe-
starzowi do kościoła Nieświeżskiego całe ubranie na mszę
świętą, a ja od siebie ten relikwiarzyk i proszę modlić się
za zdrowie mamy i papy.

— I ja na tę samą intencję ofiaruję, ile mam —
rzekł chłopczyk i podał mi dukata.

Odbierając to wszystko i dziękując dziatkom, aż łzy
mi w oczach stanęły, i księdzu kapelanowi także. A wtem
francuz, uśmiechając się ironicznie, dobył ze stolika kilka
złotówek i niedbale mi podawał.

Patrząc na jego faryzeuszowską minę i postać juda-
szową. krew we mnie zawrzała; umknąłem rękę i jakby
mi kto podszeptał, palnąłem mu z Wirgiliusza:

— *Timeo Danaos et dona ferentes.*

— *Kes? kes? kes?* — zaszwargotał on, obracając się
do księdza kapelana.

— On po łacinie nie umie — rzekł ten, śmiejąc się.

— A więc wytłómacz mu, *reverendissime*, naprzód
moje podziwienie, że taki mędrzec po łacinie nie umie,
a potem powiedz mu, że to, com powiedział, znaczy:

Boję cię darów z ręki nieczystej!

Francuz na to, uśmiechając się znowu, okazał mi swoje rączki wychuchane i białe, jak z wosku jarzącego.

A ja na to rzekłem, obligując zawsze ks. kapelana, aby mu wytłómaczył *peryodami*, że ręka nieczysta znaczy taką, która się nigdy krzyżem świętym nie żegna, ręka niedowiarka i ateusza, ręka, której pocziwy chrześcijanin dotykać się nie powinien, aby się bezbożnością, jak krostą, nie zaraził.

Wytłómaczywszy mu moją *allokucyę verbum de verbo* ks. Joachim, brawo! — rzekł i uściśnął mnie w jego oczach. — Francuz się uśmiechnął wprawdzie, jednak poczerwieniał i wyszedł do drugiego pokoju; dziatki nań z bojaźnią i podziwieniem obróciły oczki.

Pożegnałem ich nakoniec; uściśnąłem i pożegnałem ks. kapelana i wszystkich a wszystkich, których napotkałem, mieszkańców tego bogobojnego domu. Na dziedzińcu czatował na mnie marszałek i gwałtem zaciągnął do siebie. Tam znalazłem panów rezydentów i wielu innych dworskich i uraczywszy się nietylko wybornem śniadaniem, ale i trojniczką wymienioną, po kordylnem pożegnaniu, przyrzekłszy, że za drugim wyjazdem na kwestę znowu tu zawitam, poszedłem na ekonomię, niosąc pod pachą węzełek starościnej, a relikwiarzyk starościanki na piersiach.

— No, jedźmy, Marcinie! — rzekłem, ujrzawszy go przed folwarkiem.

— A w jakież to ordery Jegomość się ubrał? Podobno trochę zapruszył się Jegomość? No, to nic nie szkodzi. Nieboszczyk ks. Jacek to i często bywało sobie podpije, ale wtenczas jeszcze gładziej do baranów domawia się. A to jakiś relikwiarz, nie order, chwała Bogu!

Wytłómaczyłem mu wszystko, rozwinąłem zawiniątko i znalazłem piękny aparat na mszę, a jednak Marcin kiwał głową i nie cieszył się ze mną.

— A cóż u licha! — rzekłem, — czy i to jeszcze tobie za mało?

— A cóż, to do Jegomości należy zbierać ornaty i relikwiarze? Nie po to nas wysłali. Zakrystya nasza, Chwała Bogu, nie uboga, a *dyspensa* jak baranów nie zbierzem, będzie pusta.

— Alboż ci baranów nie wydano jeszcze?

— Ani jednego jagnięcia.

— No to pójdźmy do ekonomii.

Tam dopiero rozmarszczył łeb stary mruk, gdy posłyszał treść assygnaty i zapytanie pana *dyspozytora*, wiele mamy baranów? gdyż pan mu kazał dodać tyle drugie.

— Mamy dwadzieścia cztery sztuki — odpowiedział on.

— I dziesięciu jeszcze nie mamy — rzekłem.

— Ja mówiłem, że Jegomość *zapruszył* się, bo i lik stracił.

Uśmiechnął się pan podstarości.

— Niechże sobie będzie, jakbyście mieli dziesięć, bo i sam widziałem, że więcej niema, drugi więc dziesiątek złączy się wraz z waszemi, a zboże i woły jutro do Nieświeża wyprawię. Pan Marcin przypomniał mnie o waszych zapasach podróżnych, napełniłem więc puzderko i krobę, a to, księżę kwestarzu, przyjm za jałmużnę odemnie.

Napisałem listek do mojego księdza gwardyana, odesłałem aparata i relikwiarz dla odesłania razem ze zbo-

żem i nakoniec wyjechałem z tego rajy ziemskiego, żałując, żem żeń węża kusiciela nie wypędził.

XIX.

Casus fatalis.

Już ze trzy tygodnie włóczyłem się po świecie i trzodka moja do kopy dochodziła, a chociaż nie zdarzyło mi się nic do zapisywania w moim raptularzu, jednak nie nudziłem się moją włóczęgą.

Jadę po kraju żyznym i wesołym. Chłopki na polach koszą sianko, albo żną żytko czy pszeniczkę: bo coś tego roku roboty gospodarskie zbiegły się. Jak odezwę się: *Boże dopomóż!* to odpowiadają mi rzeźwo i wdzięczną twarzą: *Na zdrowie Jegomości!* Czasami Marcin stanie na popasce przy gromadzie żniwiarzy lub kośców; natenczas radzi oni z tego bardzo i my radzi; częstujemy się, czem Bóg dał, nawzajem; a że z łaski ruchliwości Marcina zapasy moje podróżne, a szczególnie puzderko, zawsze pełne, więc za traktament podrzucają i sianka świeżego i snopków owsa moim baranom i koniom. A zatem idzie rozmowa prosta i nie mądra, ale szczerą i życzliwą. Czasami staniemy i przy dwornem polu, to już tam pan ekonom rej wodzi. Chłopki na ten czas nie tak śmiały, ale przecież nie widziałem, chwala bądź Bogu, ani wielkiego rygoru, ani kańczukowania, ani przypędzanek. Ekonomy, po większej części staruszkowie, a przynajmniej

podżyli; niejednego z koronką na szyi, trzepiącego różaniec, postrzegłem, a szkaplerze na wszystkich piersiach, i nieraz sobie pomyślałem, że choćby zepsucie i niedowiarstwo objęło wszystkich wielkich panów, a nawet i mniejszych półpanków, nie dojdzie jednak do poczciwych chłopków i do drobnej braci szlachty, bo oni czytać nie umieją, a z ambony niedowiarstwa ogłaszać nikt nie będzie, a tak chwała Boska nie ustanie.

Otóż tak wlokąc się zawczora spokojnie i powoli, wypatrywaliśmy z Marcinem sposobnego miejsca na popas i upatrzywszy przy drodze piękny gaik brzozowy, a za nim rzeczkę, zwłaszcza, że słońce dopiekało; roztassowaliśmy się z naszym obozem, nie przewidując, że tu miał nas spotkać *casus fatalis*, który mnie omal wszystkich baranów nie pozbawił. Rozbiegły się one po gaiku i zaczęły skubać trawkę. Ja z Marcinem odprzęgliśmy konie i nasypaliśmy im owsa na derkach; przekąsiwszy potem nieco i zdawszy wartę owiec na Marcina, rozciągnąłem się pod drzewem i zasnąłem.

Marcin łyknął bodaj zanadto z flaszy i zdawszy wartę na Panfila, toż samo co i ja uczynił, a trzodka tymczasem przebiegła lasek, napiła się w rzeczulce, a obaczywszy za nią piękną osieliczkę i nie mogąc oprzeć się pokusie, przebrnęła rzeczkę...

Wielkie hałasy i krzyki przebudziły mnie. Zerwałem się z ziemi, a nie widząc baranów, krzyknąłem: Marcinie! a ty śpiochu przekłety! gdzie barany?

Porwał się Marcin i oglądając się na wszystkie strony: Panfil! — krzyknął, — Panfil! a ty śpiochu przekłety! gdzie barany?

Panfil pobiegł tropem czy wiatrem i zaczął ujadać nad rzeczką, a Eliasza i Barabasz odezwali się do nas

żałośnie. Więc przebiegliśmy także brzezinkę i ujrzeliśmy na drugiej stronie rzeczki nasze owce i jakiegoś jegomościa w białej płóciennej kapocie, w szerokim słomianym kapeluszu, z wielkim kijem w ręku; komenderował on kilku chłopami, zapędzającymi naszą trzodę z łąki na drogę, do bliskiego dworku, którego za brzezinką nie dostrzegłem.

— A to ty! popie! proszę uniżenie! — wrzasnął, ujrzawszy mnie ten jegomość. — A to ty, popie, przywędrowałeś tu spasać moje łąki! proszę uniżenie!

— Przepraszam dobrodzieja, przepraszam stokrotnie i pokornie; winien jestem; *mea culpa*, dobrodzieju! Zasnąłem trochę widzi jegomość; toż samo uczynił mój stary furman i mój stary pies i nie pilnowali baranów.

— Piękna *komparacya!* — pomruknął Marcin.

— Ale jegomość nie kaź tak pędzić owiec, bo jeszcze bardziej łąkę podepczą, a czasami wbiegną i do zboża; my zawołamy prowadyrów, to i powrócą na tę stronę.

— A cóż to myślisz? proszę uniżenie, że cię na sucho wypuszczę po takiej szkodzie? Grabię twoje owieczki i kwita!

Jakoż chłopcy jego pędzili nasze stadko ku dworowi.

— Jakto? mój dobrodzieju! Jegomość chyba żartujesz, albo chcesz mnie takim konceptem do siebie *zawokować*. Byłbym i sam zajechał, ale nie obaczyłem dworu pańskiego za brzezinką.

Tymczasem Marcin krzyknął razy kilka po swojemu. Elias i Barabasz, usłyszawszy głos jego, rzucili się ku nam, trzoda za nimi; chłopcy zabiegli im drogę, ale dostawszy tęgie *bukisz*, wyrócili koziołka. Jegomość stanął naprzeciw z kijem, a Marcin przebrnął rzeczkę w sukurs

naszym walecznym *prewodyrom*. *Panfil* wył i ujadał, barany beczały, my krzyczeli, wcale jakby sprawa na *dyferencyi*, lub zajazd.

— A to jeszcze, popie, wozisz z sobą dwóch róbowników! pokaleczyli mnie chłopców! Wara! proszę uniżenie, stary grzybie! — wrzasnął na Marcina, który z biczem około chłopców zawijał się — wara! bo cię opłażę na wszystkie boki. Sto bizunów! proszę uniżenie!

Odwołałem Marcina, za nim Eliasza i Barabasza z kilką baranami przeskoczyli do nas, a resztę popędzono do dworu.

— Kiedy tak, to wołaż Pana Boga! Ten mnie nagrodzi! — rzekłem, podnosząc z piersi i całując krzyż. — Pojadę nazad po moich dobrodziejach, opowiem im moją krzywdę; wspomogą mnie znowu, a klasztor z głodu nie umrze. Marcinie! zaprzęgaj i zawracaj... A jegomość zabieraj moje owce, ale pamiętaj, że pożałujesz tego: bo krzywdą każda o pomstę Boga woła i sumienie własne spać ci nie da! Zechcesz może potem odpędzać własnymi nogami aż do klasztoru, ale już to będzie po czasie... *Bo Bóg widzi — Czas ucieka — Śmierć goni — Wieczność czeka.*

— Cóż to, proszę uniżenie, przeklinasz mnie?

— A broń Boże! owszem, niech Jegomości Pan Bóg nie pamięta! ja tylko ostrzegam.

— A z jakiego waszeć konwentu?

— A na co dobrodziejowi wiadomość ta potrzebna?

— Na co potrzebna? proszę uniżenie! musi być potrzebna, kiedy się pytam.

— Daj mi już Jegomość pokój, i bądź zdrów. Marcinie! dobądź puzderko; napijemy się na ten frasunek

i powleczemy się do łaskawszych, czy litościwszych ludzi.

Marcin podniósł flaszeczkę. — Do ciebie — rzekłem, nalewając.

— A czemuż waszeć do mnie nie przepijesz? proszę uniżenie. Interes interesem, a przyjaźń przyjaźnią.

— Jakto? zabrałeś mi barany i jeszcze mam cię częstować?... Ale, prawda, Bóg kazał przebaczac nieprzyjaciołom. W ręce więc pańskie.

— Dziękuję. Jakże to będzie przez rzeczkę? proszę uniżenie.

Marcin postawił kieliszek pełny na czapce i pobrał w wodę.

A wtem ujrzałem wracające ze dworu moje barany; pędzili je też same chłopaki, a za nimi postrzegłem *imość*, i nawet po minie jegomościnej poznałem, że to żona jego, bo zupełnie opuścił uszy, a wychyliwszy kieliszek: Pogodzim się, księżę kwestarzu! proszę uniżenie!

— I ja widzę, że się pogodzim, bo barany moje wracają z przybytkiem. Nie było czarnego, a teraz jest.

— Co waspanu stało się? mój jegomosteczek! — odezwała się seryo, nadchodząca pani.

— Moje serce... proszę uniżenie...

— Da, daj waspan pokój, wiem o wszystkim. Proszę darować tę mitręgę, księżę kwestarzu dobrodzieju! Mój Jegomostek często sam nie wie, co robi. Cobyś miał zaprosić do domu i obdarzyć, to grabisz i krzywdzisz. Zły duch waspana opętał, czy co?

— Bo widzisz, moje serce, szkoda znaczna, i chłopcy, proszę uniżenie, pokaleczeni.

— Da, co waspan bałamucisz? gdzie tam pokaleczeni? gdzie ta szkoda?

— Szkodę — rzekłem — Pan Bóg nagrodzi, trawa odrośnie, a imości dobrodzice także Bóg pobłogosławi za dobry uczynek.

— Ot widzisz waspan, aż miło słuchać! ksiądz kwestarz rozumniejszy od waspana. Jegomosteczek głupi jesteś, więc zawsze i głupstwa robisz. Ja, wątpiąc, czy po takim *certamencie* Jegomość dobrodziej zechcesz do nas zawitać, dołączyłam i mego czarnego barana, a to, aby on, jako inny od wszystkich, przypomniał Jegomości, że co gospodarz nabroił, to gospodyni naprawiła.

— Mybyśmy już i tak, moje serce, proszę uniżenie, pogodzili się z księdzem kwestarzem.

— Da milez jegomosteczek, zmiłuj się, milez! Ja taki waspanu tego nie daruję; we środę pójdziesz do spowiedzi, a ja sama z księdzem proboszczem o pokucie pogadam. Czy to pięknie? czy to po chrześcijańsku? Aż mnie wstyd za waspana! Jeżeli Jegomość dobrodziej nie masz rankoru to proszę do nas na filiżankę kawy.

— Proszę uniżenie... po staremu...

— A milezże waspan! już mówiłam, milez! ot wolej pomóż księdzu kwestarzowi przeprowadzić się do dworu przez mostek; bo choć tyle razy i kazałam i krzyczałam, dotąd nie naprawiony.

— Widzisz, moje serce... ekonom, proszę uniżenie...

— A znowu gadasz. Leniuch jesteś, na ekonoma zdajesz co potrzeba, a co nie potrzeba, sam robisz. Spowiada się waspan i po wszystkim.

— Mamże oczekiwać księdza kwestarza dobrodzieja?— zapytała imość, a jegomostek stojąc za nią z tyłu, kłaniał mi się pokornie i na inigi zapraszał do dworu.

— Dziękuję dobrodżycie za łaskawe serce. Czarnego baranka nie dam zarznąć i hodować będę na *prewodyra*, aby mnie drugim razem zaprowadził do tak bogobojnej pani, a teraz żegnam moich dobrodziejów, bo mi pilno przed Poreyunkulą wracać do klasztoru i sukurs na *fest* przypędzić.

— Ot widzisz waspan, aż miło słuchać! to niechże Bóg szczęśliwie prowadzi, a proszę nas nie mijać. Mój jegomosteczek drugi raz takiego głupstwa nie zrobi.

— Moje serce! nie alteruj się, proszę uniżenie; dali-bóg wypowiadam się we środe.

— Da, milcz waspan!

Odeszli.

Patrząc za nimi i pokręcając głową: *Hic mulier!* — rzekłem.

A Marcin obok mnie kręcąc także głową: *Szwed baba!* — rzekł.

Wyłómaczył więc *regularnie* moją łacinę i ruszyliśmy dalej.

XX.

U księdza plebana.

Przebyłem już napowrót *Niemen*, zawracając się ku Nieświeżowi.

(*Tu kilka kart wydartych, a potem jak następuje*):

Przed plebanią, na ławeczce, pod starą brzozą, a przed nami stolik i na nim dzban cienkusz, do jakiego ani ja

w klasztorze, ani widać ksiądz prałat w swojej bogatej plebanii nie przywykł. Marszczył się więc *reverendissimus* popijając, ale pił jednak, bo nie było lepszego, a upał choć pod zachód słońca, dokuczał jeszcze.

— Jesteś bezwątpienia — rzekł ksiądz prałat, prowadząc dalej zaczęłą w plebanii rozmowę i napominki, których pleban, staruszek cierpliwy, w milczeniu słuchał dotąd — jesteś kapłan gorliwy i pobożny, służba Boża w kościółku twoim idzie przykładnie, ależ sprawa sprawy nie tamuje. *Et haec facienda, et illa non omittenda*. Mógłbyś przytem pomyśleć staranniej i o doczesnym żywocie. Plebanijka to wprawdzie maleńka, a ziemia dobra, chłopki ciepłe, a gospodarstwo — pożał się Boże! Wstydź się! U mnie inaczej. Przyjedź tylko do mnie, nauczę cię rozumu. Pochodzimy po polach; obaczysz, jak u mnie wyorano, jak wybronowano, jak zasiano, i jak chwala Bogu rodzi. Nauczę cię i pieniążki zbierać, i lepsze piwo robić, bo tą lurą i gardło i humor skwasim.

Staruszek uchylił osiwiiałą głowę, jakby dziękował za ofiarowaną naukę, a potem z cicha, powoli, nieśmiało, modląc się raczej, niżeli odpowiadając księdzu prałatowi, mówił:

— „Albowiem królestwo Boże nie jest ci pokarm ani picie, ale sprawiedliwość i pokój i wesele w Duchu świętym! Przetoż tedy starajmy się o rzeczy, które pokojowi należą, i tego, co jest ku zbudowaniu, społecznie strzeżmy“.

— A toż znowu co? — rzekł ksiądz prałat kręcąc palcem nad łbem — a toż znowu co?

— *Słowa św. Pawła do Rzymian, reverendissime!* — odpowiedział staruszek.

— Prawda, ale cóż to ma wspólnego z twojem gospodarstwem i podpiwkiem?

— »Dla pokarmu nie psuj sprawy Bożej!« *ibidem reverendissime*.

— Porzuć waść te cytacye. Kto cię nawraca do obżarstwa? chyba by kwestarz, jako nawykły do bernardyńskich porcyj.

— Pomierzmy brzuchy, dobrodzieju — odezwałem się na tę zaczepkę, bo widziałem, że *periferya* księdza kanonika dwa razy większa od mojej. — Bodaj pasek mój nie zejdzie się na Jegomości.

— Pleciesz — rzekł ksiądz prałat. — A waść, księżulu, nie wczas wyjechałeś z świętym Pawłem, bo co się mówi o gospodarstwie, to się nie tycze obowiązków naszego stanu; jedno drugiemu nie przeszkadza.

Ksiądz pleban pokręcił głową.

— Pięknie, gdybym ja, mając porządne *beneficium*, gospodarzył jak ty, bracie! A toćbym marnował dar Boży!

— »Są różnice darów, lecz tenże sam duch być ma!« mówi święty Paweł do Koryntyjan, *reverendissime!*

— Znowu wyzywasz mnie na teologiczną dysputę, a ja poprostu chcę ci dowieść, że opuszczenie się w twoich domowych sprawach doprowadzi cię do ubóstwa, tak że nie będziesz mógł potem ani łaknącego nakarmić, ani pragnącego napoić.

— Dam łaknącemu kawałek suchego chleba, który sam pożywać będę — odpowiedział starzec tym samym pobożnym i dobrotliwym głosem — a pragnącemu kubek wody, albo i tego podpiwku, w którym bogaty prałat nie smakuje, a który ochłodzi pragnącego... »Aż Bóg nie obrał ubogich na tym świecie, aby byli bogatymi w wie-

rze, i dziedzicami królestwa, które Bóg obiecał tym, którzy go miłują?« *Tak pisze święty Jakób w Liście powszechnym!*

Prostota i łagodność, z jaką te słowa wymawiał ksiądz pleban, a bodaj i same słowa, dotknęły prałata. Skąsił usta, zmarszczył brew i rzekł:

— Prawda to, ojcze, prawda! Umiesz Ojców Kościoła na pamięć, a naśladujesz ich twojem świątobliwym życiem; lecz też pamiętać należy, że mamy obowiązki na świecie nietylko duchowne, ale niejako i doczesne. Jesteśmy szafarzami darów Kościoła, powinniśmy się więc starać, aby ich nie zabrakło dla biednych w ogólności, a wolno też pomyśleć i w szczególności o potrzebujących, częstokroć powinowatych naszych, krewnych, którym wsparcie za życia, a pamiątka po śmierci od nas się godzi.

— »Bez ojca, bez matki, bez rodu; nie mają ani początku dniów, ani końca żywota; ale przypodobany synowi Bożemu, trwa kapłanem na wieki!« *Tak pisze święty Paweł.*

— Róbże sobie jak chcesz — rzekł powstając zniecierpliwiony prałat. — Jakbyś nie miał słów własnych, konfundować mnie chcesz słowami Apostołów.

— Nie gniewaj się, *reverendissime* — rzekł ksiądz pleban. — Nie miałem zamiaru ubliżyć wyższemu ode mnie w Kościele Bożym; ale w różności naszego przekonania, słowa moje własne naprzeciw słów i powagi twojej, *reverendissime*, nie obroniłyby mnie. »Nie spieraj się słowy, bo się to na nic nie przygodzi, jedno na skazę słuchających, a świeckich rzeczy i próżnomowności strzeż się!« *nauczał także święty Paweł.* Wolałem więc nieudolność moją wesprzeć tem, na czem i codzienne moje życie

i niedostatki, i kłopoty opieram; to jest, słowami, które codzień czytając, rozważając i przepisując, wraziłem sobie w pamięć i w serce. W nich, mości księżu prałacie dobrodzieju, moja obrona naprzeciw światu i jego pokusom; w nich moja pociecha w samotności i utrapieniach, od których któż wolny na tym padole płaczu? z nich moc ducha niewątlącego się wiekiem moim zgrzybiałym. »A owoc ducha (jako powiada *Paweł święty*) jest miłość, wesele, pokój, cierpliwość, dobrotliwość, cichość, wiara, mierność, sprawiedliwość, czystość«...

... Nie przeto, abym te wszystkie dary i cnoty posiadał; uchowaj mnie Boże od takiej pychy; ale myśl moja tak nawykła w każdym zastanowieniu zawracać się na tę drogę, że wprzód, nim własne wynajdę zdanie, natrafiam na gotowe święte prawidło, za którym idę bez namysłu, i nigdy nie zabłądziłem; dlatego dusza moja i sumienie wolne, chwała Bogu, od wszelkiego ciężaru. Nie zapędzam się w gospodarstwie, ani kłopotam się o pomnożenie dóbr i zbieranie pieniędzy. »Obyczaje twoje niech będą bez łakomstwa, przestawając na tem, co teraz jest. Boć sam powiedział: nie zaniecham cię, ani cię opuszczę!«... *Słowa świętego Pawła, reverendissime!*...

... Starania około zbawienia duszy własnej, około dobra a zbudowania trzodki mojej, utrzymania ubogiego tego domku Bożego i w nim chwały Boskiej, oto, *reverendissime*, wszystko, nad czem codziennie myślę i pracuję. Resztę i całą przyszłość oddaję woli i opiece Boskiej, bo: »Nie waszać rzecz, nie waszać, znać czasy i chwile, które Ojciec w swej władzy położył«, *powiedział Chrystus*...

... A jednak Boże uchowaj, abym sądził innych po-

dług siebie, i mniemał, że jest doskonalszy od braci swoich. »Każdy z nas za się zda liczbę Bogu« — mówi święty Paweł. Gotując się więc do tego ciężkiego rachunku, na który przyjsć wkrótce mi wypadnie, do miłosierdzia Boskiego, nie do zasług i wartości mojej uciekam się...

... Zatem przebacz mi, *reverendissime*, jeżeli cię nie chcąc obraził! — i tu chciał staruszek ucałować rękę prałatowi. Umknął ten ją z pośpiechem i zamyślił się głęboko. Ksiądz pleban mileżał, i ja także, rozważając świątobliwość i pokorę jego. — A wtem zadzwoniono na nieszpór.

XXI.

P o w r ó t.

Już nam z daleka orzeł Radziwiłłowski ukazał się na wieży zamkowej i kręcił się od wiatru na wszystkie strony, gdy Marcin rzekł do mnie: Wiele Jegomość zebrałeś gotówki?

— Nie liczyłem. Oddam cały worek księdzu gwardyanowi; niech sobie sam i policzy.

— Daj mnie Jegomość talara.

— A to na co?

— Już to taki obyczaj. Ja od każdego kwestarza biorę po talarze, niby na buty; ale, prawdę mówiąc, idzie on na konsolację ze stajennymi zamkowymi, moimi wielkimi przyjaciami. Na buty zbiore, przyprawiając ta-

bakę dla całego klasztoru, bo mam na to sekret nieboszczyka księdza Rafała, trzeciego kwestarza przed Jegomościem. I nikt tak definitorskim nosom nie dogodzi, jak ja.

Dobylem więc kieskę i dałem mu talara.

— Chwałaż Bogu nie z próżnemi rękami wracamy — rzekł on, postrzegłszy pieniądze; — jest co i do karbony oddać, i sobie zostawić. A wieleż Jegomość sobie schowasz?

— Bałamucisz. Jak ci do głowy przyjść mogło, że choć grosz dla siebie ukryję? Jeżeli tobie daję talara, to dlatego, że zasłużyłeś, jak mi się zdaje, na to, pilnując przez kilka tygodni koni, wozów i baranów.

— To tylko dlatego? Jegomość-że bałamucisz, ale nie ja — odpowiedział z gniewem Marcin. — To Jegomość płacisz mnie tylko jak furmanowi i pastuchowi! Kłaniam uniżenie! Weźże Jegomość sobie nazad swego talara, i kwita z przyjaźni!...

... To Jegomość rozumiesz, że *byle jakiś furman*, to i kwesta uda się? Przepraszam Jegomościu! A ja mówię, że *byle jaki kwestarz*, aby tylko furman dobry i wiedział, gdzie zawracać, to i kwesta pójdzie wyśmienicie. A nawet gdyby puścić dropiatego naprzód i dać jemu przewodyrów naszych, a Panfila za stróża od wilków, to i tak bez kwestarzów i furmanów, jak on zna wszystkie drogi, nazbierałby baranów...

... Onegdaj, pamiętasz Jegomości, ja nie chciałem zawracać do tego sknery, co się schował przed nami za dziurawy parawan, a chłopcowi kazał powiedzieć, że wyjechał. Prawda, że Jegomość, postrzegłszy łysinę za parawanem, po kwestarsku jemu dociąłeś, odpowiadając chłopcowi, że pokłoń się panu jak powróci, i powiedz,

żeby drugi raz, wyjeżdżając z domu, łysiny swojej nie zostawiał za parawanami. No, gdybym ja był w pokoju, tobym ja jego stamtąd wyciągnął, ale Jegomość wielki na to polityk...

... I wszędzie, gdzie ja zajeżdżać nie chciałem, skończyło się na *z Panem Bogiem!* a gdzie dropiaty zwrócił się, to i baran przybył. To nic nie znaczy u Jegomości? a że kroba i puzderko zawsze pełne były, to także nic? Oj, ludzie! ludzie! pożał się Boże!

Głową kiwał Marcin, trząsł z rożka tabakę i wzdychał, ale talara schował do kieszeni.

— Zgoda, panie Marcinie! — rzekłem. — Prawda, żeś ty stary ćwik i doświadczony na kwestę. Pojedziemy znowu z sobą, kiedy Bóg pozwoli.

— A zwyczajnie, że pojedziem, bo i ja przed całym klasztorem inaczej nie powiem, jak tylko, że Jegomość całą gębą kwestarz; umiesz sobie i u panów i u chudopachołków poradzić... Co do pieniędzy, któż Jegomości radzi schować? *Per modum...* — Zamilkł Marcin, szukając grzecznego wyrazu.

— *Per modum* ukraść -- dopomogłem mu.

— Nie... tego... ale... bo Jegomość nowicyusz; nie wiesz tego, że kwestarz powinien sam starać się o wszystko do drogi i w drodze: wozy naprawiać, konie kuć, odziać furmana i siebie: bo, prócz habitu, Jegomości, jako kwestarzowi, nic więcej z klasztoru nie dadzą, a za to rachunku z nabieranych pieniędzy żaden kwestarz nie zdaje. Już to na jego sumieniu. Nieboszczyk ksiądz Jacek umierając, sto talarów bitych oddał do karbony bractwa różańcowego. Za toż codziennie dziady i baby śpiewają za jego duszę *Anioł Pański*. Czy to źle?

Pod wieczór wjechaliśmy tryumfalnie na dziedziniec klasztorny. Dropiaty zarżał, zwiastując nasze przybycie a poznając swoją stajnię.

— *Salve Frater amantissime!* Ot co jest! — wykrzyknął ks. gwardyan, witając mnie na ganku, a ściskając po przyjacielsku.

I wszyscy ojcowie pozdrowili mnie chórem.

— Czekałem cię jak kania deszczu — rzekł ksiądz gwardyan; — rozumiałem, żeś gdzie znowu za marszałka przystał, zwłaszcza, żeś się z panami pobratał. Odebraliśmy z wielką pociechą dary z *munificency* starosty, przez ciebie wyjednane. Niech mu dobroczynność jego idzie na pożytek duchowny, tak jak nas cielesnym zasiłił. Baranów jak gwiazd! Ot co jest! Widzisz, mówiłem ci na wyjeździe, że jeszcze ludzkość, pobożność i dobroczynność żyje na Litwie! Ot co jest!

— Prawda, *reverendissime*, prawda! wszystko prawda! nawet i coś namieniał o niedowiarstwie i zgorzeleniu, gdzieniegdzie wytykającym głowę, i na tom napadł; nawet na samego apostoła złościwości.

— *Caetera ad coram* — przerwał mi ksiądz gwardyan — bracie Michale; a teraz idź, wypocznij po drodze.

Post silentium zawołał mnie ksiądz gwardyan do siebie; widać nie chciał mieć świadków naszej poufalej rozmowy. Przyniosłem mu pieniądze. Odliczyliśmy złotych dwieście kilkadziesiąt w różnej monecie.

— Bóg zapłać, — rzekł on — i waści, bracie Michale i dobrodziejom naszym. Ot co jest!... Cóż tam po-

wiesz mi o swoich obserwacyach światowych, o których nadmieniles?

Więc mu opowiedziałem cały progres bytności naszej u starosty i moją poniewierkę dla francuza i jego pieniędzy.

— *Bene!* Ot co jest! *Bene! valde bene!* Znalazłeś się, jakbym sam lepiej nie potrafił, a powracasz do klasztoru rozumniejszym, jak wyjechałeś, bo nauczyłeś się wojować z nieprzyjacielem, z niedowiarstwem, które z obowiązku twojego stanu gromić zawsze powinienes.

Gdym mu zaś powiadał o pobożności ludu pospolitego, chłopków i drobniejszej szlachty. — I to prawda — odpowiedział mi, — do nich zaraza nie dochodzi i nie dojdzie nigdy, choćby się między panami chrześcijańskimi najszerzej rozlała. Prostaczkowie przyjęli przychodzącego Jezusa na ten świat, prostaczkowie i zachowają go w sercach, gdy bezbożni zawziętość swą wywierać nań będą. Ot co jest! Ale Bóg, w czasie koniec złemu położy; zalepienie przejdzie! A natenczas monarchowie i mędrce świata tego, jak owi trzej niegdyś ze wschodu, przyjdą za gwiazdą prawdziwej chrześcijańskiej mądrości, a z pokorą i skrucną uderzą Mu czołem na nowo. Ot co jest! i co daj Boże! Amen.

XXII.

Rok 1812.

Od powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas Panie! śpiewamy codzień w suplikacyi. Pierwszych dwóch

plag Boskich za moich czasów Bóg na nas nie dopuścił; ogień — co bez czego? ale ostatniej doznaliśmy już pierwszej i doznajemy teraz, ze wszystkimi jej okropnościami, rabunkiem, zniszczeniem i gwałtami wszelkiego rodzaju.

Co potem nastąpi, Bogu wiedzieć. Nie obejdzie się zapewne i bez dalszych nieszczęśliwych konsekwencyj, to jest, moru i głodu. Co zaś najbardziej trwoży nas i boleścią przeszywa, to profanacya świątyń Pańskich i ostatnia pogarda dla sług Bożych, a poniewierka dla świętej naszej wiary. O Boże! Boże! czegoż doczekaliśmy? Widać bliskie skończenie świata!!!

Mieszkałem ja od lat dwóch w klasztorze naszym w Wilnie, gdy zaraz z wiosny rozchodzić się poczęły wieści o wojnie, o zbliżaniu się Francuzów i nareszcie, że stoją nad Niemnem, a rychło i do nas zawitają.

W Wilnie publika wielka, jakiej to miasto dawno nie widziało i widzieć pono nie będzie. Cesarz bowiem Aleksander, którego wszyscy czczą i aniołem dobroci nazywają, założył tu swoją rezydencyę.

Kiedy on konno wyjeżdżał do miasta przez Antokol, to od huku harmat i wszystkich dzwonów, aż miasto się trzęsło.

Kto tylko potem chciał — a któż nie chciał? — mógł go codziennie widywać, czy to przejeżdżającego się także konno po pięknych okolicach Wilna, czy to musztrującego wojsko, którego było w mieście i za miastem moc nieprzeliczona. Sama gwardya cesarska kiedy wystąpiła na rewię za Wileńską bramę, to okryła całe pole i bory od miasta aż pod Zakret.

A jakaż to assistencya! jaka parada przy cesarzu! wiele to tam generałów! książąt! orderowych panów!

a wszystko precz od złota! Było nawet kilku posłów od zagranicznych nacyj. Sam widziałem na tej rewii posła szwedzkiego. Znaczny był zdaleka, bo w granatowym bogato szamerowanym mundurze, z żółtem piórem na kapeluszu i złotą szarfą, kiedy wszyscy mieli szarfy srebrne. Tłumy ludu wysypały się za miasto; a między tłumem i nas kilku ciekawszych dla przypatrzenia się tej niby to wojnie, a za górą była już i prawdziwa.

Do klasztoru do nas hurmem szły nowiny; bo z miasta znajomi i przyjaciele przychodzili codzień wieczorem na wyśmienite nasze piwko do ogrodu i pod cieniem drzew gwarzyli o wszystkim, co słychać było. W mieście zaś był ruch nadzwyczajny. Nakoniec jednego ranka, gdym był u księdza kustosa dla klasztornych dyspozycyj, wpadł nagle do celi pan budowniczy Orzechowski, nasz tercyarz i sąsiad od klasztoru, i krzyknął: 'Tatuleńku! już przeszli Niemen!

— Co wasan mówisz? Czy pewnie?

— A najpewniej! Wczora moje chłopcy, to jest, akademicy mieszkający w mojej kamienicy, byli na balu w Zakrecie i na swoje oczy widzieli kuryera, który wpadł tam na bal nawet, z doniesieniem tej nowiny. Dziś już całe miasto wie o tem i niema sekretu.

— Więc tu będzie wojna?

— Jakie to *futurum*? kiedy tu już *tempus praesens*. Jest już wojna, tatuleńku! jest! tylko nie tu, nie koło Wilna, i u nas, jak powiadają, jej i nie będzie. Bo widzisz, *ut fert fama*, Rosyanie mają się rejterować w głąb kraju i wprowadzić za sobą Francuzów w łyka. Każ dać wódki, tatuleńku! bo to jest *materia gravis*, podług mojej *ekwanimii*.

Napiliśmy się po raz. — Cóż teraz robić? — zapytał ks. kustosz.

— A cóż robić? jedno z drugim *nie*. Podług mojej *ekwanimii*, siedzieć cicho w klasztorze, modlić się Panu Bogu! i przychować dla wszystkiego ważniejsze *preciosa* kościelne. Ja nawet mój kuferek przyniosę dziś w nocy do Ichmościów.

— A to dlaczego?

— Dlaczego?... dlaczego? ot mówiłem Jegomości, *dla wszystkiego*.. a kiedy mam otwarcie powiedzieć — dodał ciszej i jękając się — bo powiadają, tatuleńku... że Francuzi rabują, a nawet... kościoły odzierają!...

— Jakto być może? Fałsz! To naród chrześcijański, mospanie!

— Już to, podług mojej *ekwanimii*, chrześcijaństwo u nich wątpliwe, tatuleńku! Wiesz, że Napoleon Bonaparte papieża z Rzymu wypędził, a syna królem rzymskim ogłosił; więc *signum pro re signata*. Zresztą, rób jak chcesz, tatuleńku. Ja wieczorem podejść, a teraz biegnę na miasto. Nie usiedzieć w domu, gdy co godzina to nowina.

Gdy wyszedł pan budowniczy, ksiądz kustosz zebrał ojców na *consilium*. Przyszedł, opierając się na kij, starszerek ksiądz defnitor, mój najpierwszy gwardyan miński i dobrodziej, z którym po większej części wiek mój zakonny strawiłem i którego kocham i szanuję jak ojca. Szanują go też i słuchają we wszystkim i w tutejszym klasztorze, bo znają jego wielkie *merita* w zakonie i mądrą głowę, a która i wiekiem się nie osłabiła; w ważniejszych więc sprawach do niego idą po radę. Był on razy kilka już prowincyałem i wtenczas naszą wspólną peregrynację po klasztorach opisałem akuratnie w moich

raptularzach; na starość obrał sobie rezydencyę w Wilnie, jako *emeritus*. Za jego to naleganiem, po kilkoletniem rozłączeniu naszym, które ja niewolą babilońską uważałem, przeniesiono i mnie do Wilna. Nazywają nas *inseparabiles*. Oh! śmierć nakoniec zada fałsz temu nazwaniu!... Rozdzieliła nas swoją kosą okrutna *Libityna*!... Com ucierpiał i cierpię, Bogu tylko wiadomo!... do którego codzień modłę się za jego duszę. Ale o tem potem.

Zebrany *Patrom* opowiedział ks. kustosz nowinę i podał do *konkluzyi* kwestyę: cóż robić?

Wszyscy milczeli i takby się rada skończyła; ale ksiądz kustosz obrócił się do ks. definitora i rzekł: *Reverendissime!* czekamy twójego mądrego zdania.

— Francuzi, powiadacie, rabują kościoły? — odpowiedział on — być to może, bo dożyliśmy wieku rozuzdania wszelkich zapędów ludzkich. Ot co jest! Wątpię jednak, aby w mieście, pod okiem wodzów, a może i samego cesarza, do rabunków i swawoli żołnierskiej przyjąć miało. A gdyby i przyszło, nie zrabują nas tak, aby choć drewniany krzyż w kościele nie został; to i przed nim Pana Boga chwalić będziemy. Ot co jest! Dajcie więc pokój wszystkim zabiegom lub trwogom. Ufajmy w Bogu; a Jego woli i miłosierdziu oddając się, módlmy się raczej za pokój i zgodę panów chrześcijańskich. Ot co jest!

Słowa te ojca definitora uspokoiły wszystkich i rozweseliły twarze. — *Fiat voluntas Dei!* Bóg przez ciebie przemówił, ojcze! — zawołali, i rada się rozeszła.

To było we środę dnia 12 Junii.

We czwartek ruch wielki! Pułki coraz nowe przechodziły przez miasto, za Zielony most niektóre, a drugie i najwięcej przez Antokol na Niemenczyn za Wilję. Wieść

o zbliżaniu się Francuzów coraz to głośniejszerzyła się. Do klasztoru naznoszono kuferków i na luftach lokowano.

W piątek, to jest, 14 Junii, cesarz Aleksander opuścił miasto...

Mianował on pana *Lachnickiego* prezydentem miasta, a ochraniając ono od ruiny i zguby, rozkazał poddać bez oporu nieprzyjacielowi.

W sobotę rozkazano, aby wszystkie bramy w kamienicach zatarasowano, okienice od ulicy w oknach zamknięto, a nikt się po ulicach nie szastał. Jakoż wszyscy siedzieli jak szczury w norach. Kiedy niekiedy ktoś wylał na szpiegi; ale daleko nie uszedł, bo miasto zawalone wojskiem i harmatami; a żołnierz zwyczajnie jak w rejteradzie, samem spojrzaniem przestraszał.

Mnie ks. kustosz wypchnął na zwiady. Podobno habit mój jedną mi łatwiejsze przejście. Dobrałem się więc aż na koniec Skopóki, pod pałac Szoazelowski, w którym mieszkał *generalissimus jenerał Barklay de Tolli* i dowiedziałem się, że on jeszcze na miejscu. Konkludowaliśmy więc w klasztorze, że nie tak blisko nieprzyjaciel, gdy sam wódz nie opuszcza miasta. Ale konkluzya nasza była prawdziwie bernardyńska. Ojciec definitor znowu dowiódł, że rozumniejszy od nas wszystkich.

— Gdzież miejsce wodza w czasie wojny? — zapytał on.

— A jużcić nie z tyłu armii, jeżeli nie na czele — odpowiedział ks. kustosz.

— A gdzież czoło armii, kiedy się armia rejteruje?

— Nie rozumiem — rzekł ks. kustosz.

— A ot co jest! gdzie najbliżej nieprzyjaciel, tam czoło armii i wódz. *Subintelligitur* więc dlaczego pan

Barklay de Tolli jeszcze w Wilnie, choć za górą Francuzi. Ot co jest.

Wieczorem tegoż dnia kazano, aby straż miejska zajęła wszędzie warty. Pięknież to berdyszowe rycerstwo w kapotach, w kurtkach, sami z siebie śmiali się, a wszyscy z nich. Stanęli po bramach, przy kordygardach i turmach. Noc całą wojsko płynęło, jak woda.

Nadeszła nakoniec niedziela św. Trójcy *v. s.*, dzień ^{16/28} Junii, którego nigdy nie zapomnę... w którym ujrzałem razem z całym Wilnem *Potentata* Napoleona Bonapartego, na czele wojska z rozmaitych nacyj złożonego, wchodzącego do naszego miasta.

Ale poczynam od początku.

XXIII.

Mój ksiądz definitor miał sobie wygodne dwie cele; więc i ja z nim mieszciałem się, abym mógł w starości jego służyć mu i doglądać. Całe życie czytał on prawie codziennie gazety i tłómaczył mi bywało wszystko, co tam stało, choć ja, nie wielki *politykus*, słuchałem tego piąte przez dziesiąte. Jedno a jedno w nich pisało: zawsze o wielkich zwycięstwach, o wielkich czynach i o wielkiej mądrości Bonapartego. Na całej Litwie, ba! owszem i po całym świecie, o nim tylko gadano i pisano. Kwestując po dobrodziejach, około różnych naszych klasztorów, w których przemieszkiwałem, w każdym szlacheckim czy pańskim domu o niczem innem nie posłyszysz bywało,

i śniło się podobno wszystkim o *Bonaparcie*; to i nie dziw, że nieboszczyk ks. definitor, przez całe życie myśląc tylko o nim, ciekawy był wielce oglądania go nakoniec. — Nie umrę, bracie Michale — mówił — nim go nie obaczę. Ot co jest! — I zgadł, jak prorok: obaczył go i umarł.

Wysyłali oni z księdzem kustoszem mnie, jakem to wyżej napisał, na szpiegi do miasta; i tego więc ranku, ledwo jeszcze szarzało na dzień, wyszedłem za furtę. Zdziwiła mnie cichość i spokojność w mieście. Kozacy tylko przeszmygiwali się po ulicach; a na placu pod ratuszem stał, złożywszy broń w kozły, pułk grenadyerski¹⁾, co to mają kaszkiety w kształcie głów cukru i szerokie na nich blachy mosiężne. Żołnierze gotowali sobie kaszę w kociołkach; inni drzemali, leżąc na ziemi. Oficerowie siedzieli na ławkach, lub przechadzali się po placu, rozmawiając cicho i ostrożnie. Licniejsza ich kupka otaczała pułkownika, którego po sutych szlifach poznałem. Od tej kupki odłączył się oficer, i przejął mię pod Imbarami. Dokąd, księżę? i po co tak rano? — spytał mię po polsku.

— Do chorego, panie kapitanie! — rzekłem zakłopotony.

— Podwójnie kłamiesz — odpowiedział on, uśmiechając się — i ty nie spowiednik, boś bez kaptura, i ja nie kapitan; a może trzecie kłamstwo, i najgorsze, jest w twoim habicie? Gadaj! — dodał surowiej. — Mam rozkaz cię wybadać.

Ale ja przyszedłem już do siebie, i pomyślałem w du-

¹⁾ Pawłowski.

chu: skłamałem, ot i bieda! Mówmy prawdę... cóż mi się stanie?

— Dobrodzieju! — odpowiedziałem zatem — że jestem bernardynem z tutejszego klasztoru, to tak mi Panie Jezu dopomóż! *Mea culpa*, żem skłamał. Stchórzyłem, a strach najgorszy konsyliarz.

— Więc mów, po co tak rano się włóczysz?

— Ciekawość, dobrodzieju! prosta, szczerza ciekawość i nic więcej; a nie tak moja własna, jak moich starszych, którzy, chcąc wiedzieć, co się dzieje w mieście, wysłali mnie na zwiady.

— Więc jesteś szpiegiem? bracie! A wiesz, czem to pachnie? No, ale nie lękaj się; szpieg od armii bernardyńskiej nie straszny: wracaj wszelako wnet do klasztoru, i ciekawym ojcom zanieś nowinę, że przed południem będziecie mieli gości.

Odchodził potem, lecz się zawrócił. — Czekał księżę! — rzekł — masz oto ubogą moją ofiarę, — a dawał mi rubla — oddaj to na mszę na intencję ojca błagającego Boga, aby kula żony i dzieciak nie osierociła... — Westchnął głęboko pocziwiec...

— Dziś zaraz będzie msza na twoją intencję — rzekłem i pożegnałem go serdecznie. — Dziękuję ci, bracie! — rzekł, ścisnął za rękę i wbiegł na plac; ja korzystając z przestrogi, *retro* do klasztoru. Tam opowiedziałem moją przygodę, oddałem oficera i wnet sam ksiądz kustosz wyszedł ze mszą, po której ja znowu za furtę.

Na ulicach więcej cokolwiek było ludzi, ale bojaźliwie przemykających się zaułkami, lub czających się po bramach. Dniało już. Zwróciłem pod pałac Biskupi, do którego pó wyjeździe cesarza przeniósł się pan *Barklay de*

Tolli. Na dziedzińcu stała karetka ośmią końmi zaprzężona; około niej kilkadziesiąt kozaków siedziało na koniach.

Pędem lecący konno oficer od Pohulanki, biały od kurzu, przypadł do bramy.

— Czy jest jeszcze *feldmarszał*? — zapytał.

— Jest — odpowiedziano mu.

Wleciał na dziedziniec, zsiadł z konia i wybiegł na wschody.

— A więc to karetka pana *Barklay de Tolli*, — pomyślałem sobie. — Niema co mówić, dotrzymuje do końca! Obaczmy, co z tego będzie? postoję tu w bramie Święto-Jańskiej.

Po jednym, po jednym, zebrała się koło mnie kupka ciekawych i znalazł się między nimi pan budowniczy Orzechowski. Ranny to ptaszek, gdy idzie o nowinki. Opowiedziałem mu, co się święci.

— A więc podług mojej *ekwanimii* — rzekł on — tu jest przyzwoite *locum standi*: i jeżeli nas nie rozpedzą, dopilnujemy wszystkiego.

Już też i dzień zajaśniał. Wleciał drugi kurjer. Ludu się na ulicach pomnażało. Ten to, ten owo plótł; ten straszył, ten cieszył, a każdy pytał się razem: co słyhać? Gwar jakiś powiększał się coraz. My cierpliwie staliśmy na miejscu, a wkrótce i trzeci takiż latawiec wpadł na spienionym koniu.

Wnet wyleciał oficer z pałacu i pobiegł pędem ku placowi. Ja i kilku ze mną, bocznymi uliczkami za nim. Ledwo dopadł placu, zagrzmiały bębny, żołnierze porzucili niedojedzoną kaszę, w mgnieniu oka już w szyku i marsz krokiem podwójnym za Zamkową bramę, na Antokol.

Ja znowu do bramy Święto-Jańskiej, a raczej, prawdę mówiąc, do furty: bo to te podwoje, które się otwierają z murów świętojańskich naprzeciw bramy biskupiego pałacu, tak, że z nich widać część dziedzińca i schody. Tam pan budowniczy stał jak wryty.

— Ostatni pułk — rzekłem mu — wyruszył nagle na *Niemenczyn*.

— A zatem podług mojej *ekwanimii*.. — Nie dokończył, bo ruch wielki zrobił się na dziedzińcu: kilku konnych wyleciało w różne strony i okazał się na ganku pan feldmarszałek, za nim pan *Ławiński*, nasz były dotąd gubernator wileński i kilku adjutantów. Widać nam było, jak rozmawiali wesoło. Pan *Barklay de Tolli* uśmiechał się.

— A to mi gracz! proszę uniżenie! — rzekł pan budowniczy — Bonaparte za górą, a on ani dba. — Obejrzał się on jeszcze na wszystkie strony, jakby na waletę miastu, dobył zegarka, spojrzął nań i siadł do karety; z nim pan *Ławiński* tylko; reszta wszyscy na koń, których kilka powodnych a osiadłanych tuż przy karecie biegło; i ruszył powóz tęgim kłusem także na Antokol, otoczony strażą kozaków i dragonów.

— No, teraz, podług mojej *ekwanimii*, u nas *interregnum* -- rzekł budowniczy.

Jeszcze kareta nie była za miastem, gdy huk ogromny rozległ się, że aż okna się zatrzęsły; gromady ludu na ulicach *obstupuerunt*; w kilka minut drugi jeszcze mocniejszy.

Serce mnie jakoś mocniej kołatać zaczęło i uważałem, że tłum przerażony miał się ku rejteradzie, gdy doszedł głos i rozleciał się wszędzie: Most Zielony wysadzono w powietrze! magazyny na Łukiszkach wyleciały w górę

i osypały mąką całe przedmieście. — Ochłonęło się więc z trwogi, ale nie na długo, bo znowu trzy uderzenia z harmat zagrzmiały w krótkich pauzach jedno po drugim i ogłuszyły wszystkich. — Strzelają do miasta! — krzyknął jakiś tchórz. Boże! cóż to za zamieszanie powstało między tłuszcza! Ulica na ulicę się pchnęła. Uciekali i wrzeszczeli: Gwałtu!

— Stójmy! — rzekł znowu do mnie pan budowniczy — to bałamuctwo. Za co mają strzelać do spokojnego miasta? Głupia tłuszcza pozaciska się tylko. Podług mojej *ekwanimii*, strzały te z harmat, są to ostatnie sygnały, aby się wszystko, co wojskowe, rejterowało z miasta i że nieprzyjaciel blisko.

I nie zawiodła *ekwanimia* pana budowniczego: przeszedł popłoch, lud się ustatkował; tylko ciekawość przeganiała gromady, jak fale, z jednego końca miasta na drugi. Ja znowu poszedłem uspokoić klasztor i objawić ojcom to kilkogodzinne, jak pan budowniczy mówił, bezkrólewie.

Niecierpliwie tam mię oczekiwno. Opowiedziawszy więc wszystko *summatim* i posiliwszy się nieco, wybiegłem znowu za furte, mając już kilku socyuszów z ciekawszych i śmielszych *patrów* i *fratrów*.

Nawał pospólstwa i wszelkiego stanu ludzi znaleźliśmy na ulicach. Jedni biegli na górę Zamkową i Bekieszową, w nadziei, że obaczą, co się dzieje około miasta; inni leźli na wieże i dzwonnice, w takiejże samej *sperandzie*; inni znowu biegli na Pohulankę, bo stamtąd od Kowna przybywali Francuzi; a wszyscy latali i krzyczeli, jak w odmęcie.

Pan Lachnicki, jako prezydent miasta, siedział spokojnie na ratuszu, a przed nim na pięknej srebrnej tacy

leżały złote, a może i pozłacane tylko dwa klucze, jakoby to od bram miasta, których dawno już w Wilnie niema: bo chociaż *Ostra* i *Zamkowa* zostały, lecz obie stoją otworem i wrót nie mają. Pierwsza najlepszą ma tarczę, bo Przenajświętszą Bogarodnicę, Przczystą Maryę Pannę, która Wilno od Szwedów obroniła, jak to wszystkim dobrze wiadomo.

W takim gwarze i zamieszaniu przeszło parę godzin. Byłem przy Kardynalii i posuwałem się z tłumem ku ratuszowi, gdy nagle krzyk potężny rozległ się około ratusza i pospólstwo hurmem uciekające przejęło naszą partyę. — Koła!... koła!... — wrzeszczeli.

— Kto i kogo kole? — pytałem. Nikt mi nie odpowiedział, a tylko jedno a jedno: Koła!... — Głupia gawiedź, pomyślałem, znowu tchórz ich obleciał. Jakoż inne huczne odgłosy doszły nas... Więc w mgnieniu oka byliśmy pod ratuszem. Aż tu wszystkiemi uliczkami prowadzającymi na plac: *Rudnicką*, *Żmudzką*, *Suboczem*, sypią się pędem ułani z dzidami naprzód, jak do boju (stąd przestrach w pospólstwie) i objęli *odwacht*.

Pan Lachnicki zszedł natychmiast na ganek ratuszowy, rozmówił się z oficerem, i wnet ze swoją tacą i kluczami, w asystencyi kilku miejskich obywateli, pojechał na Pohulanę złożyć je cesarzowi Napoleonowi. — A tymczasem konnica płynąc do miasta poczęła; naprzód ułani, a potem strzelcy konni, z huzarską ubrani, na czele których jechał na pysznym karym rumaku rycerz w węgierce gęsto złotem szamerowanej, w kołpaku aksamiitnym, *permodum* tureckiego zawoju na głowie, na którym strusie pióra się rozwiewały, wywijając szablą i krzy-

cząc: *Wiwat Napoleon!* — a był to szwagier cesarza, król neapolitański *Miurat* ¹⁾.

Przypatrywaliśmy się ciekawie temu wojsku, a wszyscy upatrywali samego *Bonapartego*... Wtem rozbiegła się o południu wieść, a wieści natenczas jak błyskawice latały, że cesarz przy Zielonym moście nad Wilją.

Dalejże ja w tamtą stronę, podchyliwszy habitu, aby nie dać się uprzędzić ludowi tam lecącemu, i wyprzedziłem prawie wszystkich; ale cóż, kiedy tam już była ciżba? Jednak przebiłem się na front, tak, że o kroków dziesiątek napatrzeć się mogłem na tego najślawniejszego mocarza! Nigdy nie zapomnę tej chwili!...

Nad rzeką, po lewej stronie od mostu, siedział na prostym stołku ten człowiek, na którego skinienie miliony ludów drży, a krocie brną na koniec świata! Figura dali-bóg niepoczesna; jubilata dobrego nie obstoi; ależ za to *caput!*... znakomite! a oko czarne, pełne, i spojrzenie nie wiem jak opisać?... Kiedy poprowadził po nas... aż dreszcz przeszedł.

Most był rozdarty na środku, ale cała rzeka pokryta była płytami; więc je wkrótce linami spięto i stanął most pływający. Nim się jednak ta fabryka ukończyła, Bonaparte siedział nad brzegiem i rozmawiał z księdzem Głogowskim, pijarem, któremu kazał podejść do siebie, gdy go w tłumie obaczył. I trafił wyśmienicie, bo ksiądz Głogowski mądry człek i po francusku *expedite* umie. Dziwiło się pospólstwo, że tak śmiało z cesarzem rozmawia, ale jam się nie dziwił, i gdyby mnie był zawołał, takbym mu się po łacinie pięknie explikował, jak nie lepiej pijar

¹⁾ Naoczni żyjący świadkowie znaleźli opisanie to księdza kwestarza wejścia Francuzów do Wilna, zupełnie prawdziwem.

po francusku. Lazłem też wcale naprzód — a nuż!... ale wkrótce most ukończono. Bonaparte siadł na konia mierzyna (co za komparacya konika tego do rumaka *Miuradowego!*) i przejechawszy rzekę, otoczony liczną wojskową kalwakatą, pojechał brzegiem ku Antokolowi. Stał naprzeciw góry Zamkowej i po razy kilka wskazywał na nią ręką. Uważaliśmy i liczyliśmy wszystkie jego skinienia, biegnąc drugą stroną rzeki, póki go dojrzeć mogliśmy; nakoniec wróciliśmy się do mostu, gdzie go nazad wracającego ujrzeć mieliśmy nadzieję. Jakoż i ujrzeliśmy, bo wkrótce wrócił i pojechał na pałac biskupi. Tłumy biegły obok, krzyżąc, wrzeszcząc: *Wiwat!* — a on kłaniał się poważnie lekkim skinieniem ręki lub głowy, witającemu go ludowi.

XXIV.

— Bracie Michale! — rzekł do mnie ojciec definitor, gdy zmordowany i jak uduszony wrócił do klasztoru, a opowiadał mu wszystko, com widział. — Bracie Michale! musisz mię tam zaprowadzić, abym go obaczył. Powiadałem ci, i teraz powtarzam: nie umrę, nim go nie ujrzę. Ot co jest! Ale śpiesz się, śpiesz się, bracie! — dodał — bo codzień słabieję... a nie umrę... — mrucał dalej jakby sam sobie starzec — nim go nie obaczę. — Przynależem więc memu kochanemu ojcu dopilnować momentu, kiedy cesarz wyjeżdżać będzie z pałacu, i zaprowadzić go do furty święto-jańskiej.

Co to za przewrócenie raptowne rzeczy! co to za nieład! natłok! zamieszanie! zawrót!... Jakieś wytrącenie

wszystkich z codziennych kolei i porządków. Każdy w obłąkaniu... W klasztorze nawet zeszedłszy z codziennego trybu, jakbyś regułę zakonną od roku zwolnił, furte odemknął, i *obedyencyę* zniósł. Ledwo stare definitywy i jubilaty siedzą po celach, nie opuszczając klasztoru i służby Bożej. Młodzi włóczą się po ulicach, sami nie wiedząc czego. Na obiedzie nawet często połowa przystawek próżna. Na noc tylko zbierają się wszyscy, i gwarzą nowiny i cudactwa, jakim się przez cały dzień napa-trzyli.

Bo i jest na co patrzeć, prawdę mówiąc! Jak woda płynie codzien wojsko z rozmaitych narodów i rozmaitego *moderunku*. Pancerni, których kirysy błyszczą od słońca jakby złote, na ogromnych koniach, chłopcy jak olbrzymy, a jeszcze sute ogony końskie, spadające im od szyszaków po ramionach, straszniejszymi ich wydają; kupy jakichciś brodyaszów z szerokimi berdyszami na ramionach i z fartuchami skórzanymi, jak kowale; nakoniec cały konny regiment dyabłów. Panie, odpuść ciężkie grzechy, czy Turków, bo to na jedno wychodzi, w za-wojach; u każdego kindzał za pasem, a krzywy jak duha pałasz u boku. Powiadają, że to Mameluki od Czerwonego morza, w którym niegdyś król Faraon utonął.

W mieście wszelakoż *horrendum!* Ulice pozawalane zdechłymi końmi, bo te secinami giną od zielonego żyta, które żołnierstwo w okolicach kosi i w niedostatku siana nawozi do miasta. Stada bydła rogatego i baranów wcho-dzą często za pułkami i wnet na rynku albo na ulicy, gdzie pułk stanął, jatki i kuchnia; więc stąd przy upałach zgnilizna i zaraza.

Po traktach i wsiach toż samo. *Ut fert fama*, rabują z krete sem; a nawet i tu w mieście niedowiarki i niego-

dziwce niektórzy wpadli do kościółka Pana Jezusa księży Trynitarzów na Antokolu i zaczęli przybierać wota srebrne i złote z ołtarza i zdzierać szaty z obrazów. Takie jednak świętokradztwo i swawola nie uszły im na sucho! bo we dwadzieścia cztery godziny sądeni, jak to dawniej powiadano, *kryzrechtem*, tamże na Antokolu kulą w łeb dostali. Dwóch ich było hersztów, ale zakamieniali heretycy!... ani księdza, ani spowiedzi, ani jakiegokolwiek przygotowania *in extremis* przyjąć nie chcieli. Idąc na plac śmierci, jeden jadł obwarzanki, drugi fajeczkę palił; a oba wesoło rozmawiali z tymi, którzy do nich za chwilę wypalić mieli. O Boże, Boże! okropnie to było widzieć taką obojętność około zbawienia duszy! a toć to dwóch potępieńców szło prosto do piekła... Nie wierzyłbym, gdybym własnymi oczami na to nie patrzył.

Patrząc na to wszystko, co się działo, pan budowniczy Orzechowski kiwał głową i mówił: Podług mojej *ekwanimii*, z takim niezliczonym ludem Bonaparte świat przejdzie, ale z takim nieładem kto wie, czy się wróci? Bogu to wiedzieć!

Codzień mi przypominał mój ks. definitor obietnicę upatrzenia mu sposobności widzenia Napoleona. Nie było to i trudno, bo codzień wyjeżdżał on z pałacu konno na lustrowanie wojsk przechodzących przez miasto; lecz że na to nie było godziny stałej, więc tłumy ludu, chcącego widzieć go, zalegały od rana Biskupią ulicę, oczekując po kilka godzin na ukazanie się cesarza. — Choćby mnie przyszło cały dzień przesiedzieć na bruku — odpowiedział *pater*, gdy mu tę trudność objawił — prowadź mię, bracie! bo nie umrę nim go nie obaczę, ot co jest! — Prowadziłem więc go dnia jednego. Zdawało się, że mu sił przybyło na tę chwilę. W klasztorze ledwo przez ku-

rytarz do kościoła mógł się przewlekać i to za pomocą mojego ramienia; teraz przez ulicę po nierównym bruku szedł rzeźwo i żwawo. Posadziłem go na wschodach naprzeciw samej bramy Biskupiej.

— Jakże go poznam? *carissime!* — zapytał on.

— Oto tak, *reverendissime!* Naprzód wyskoczy kilku, jak oni nazywają, przewodników ¹⁾, z których jeden tylko na przedzie, a wszyscy w szafirowych ze srebrnym haftem mundurach; potem dwie pary strzelców konnych gwardyi, z nabita i podniesioną bronią; potem na siwym lub myszaty koniu, w ciennym *werdedragonowym* mundurze z ponsowym kołnierzem ²⁾, bez żadnych haftów, z gwiazdą orderową ³⁾ na piersiach, w kapeluszu niemieckim trzyrożnym *On*; potem generałów i assyistentów, całych we złocie i srebrze tłuszcza; nakoniec znowu kilkadziesiąt strzelców konnych gwardyi i tyłuż ułanów, którzy zwyczajnie zamykają kalwakatę.

Jak na szczęście nasze, ledwom dokończył mówić, huknęły bębny; a to był znak, że cesarz siada na konia. Tłumy skupiać się poczęły. Ledwom mógł zrobić *rum* na przedzie starcowi. Wysypał się orszak z za bramy... Chwycił on mię za rękę... i trzęsąc się jak osika, rzekł z przyciskiem: To *On!* Ot co jest! To *On!!!*

Przed nami o kilka kroków stał żołnierz z niedźwiedzim wysokim kołpakiem na głowie. Nie mogliśmy zgadnąć, dlaczego on tu stoi? Wszyscy zdecydowali, że *musi być*

¹⁾ *Guides.*

²⁾ Mundur pułkownika strzelców konnych gwardyi. Długie jego poły, na końcu wyłogów, ozdobione były dwiema trąbkami złotymi jako symbolem sławy.

³⁾ Wielka gwiazda orderu Legii honorowej.

tak potrzeba. Ale gdy Bonaparte go mijał, on postąpił krok naprzód i *sprezentował broń.* Cesarz się zatrzymał... co już zupełnie poszło na rękę mojemu *patrowi,* bo prawie oko w oko mógł nań się napatrzeć. Przemówił *on* do żołnierza, zapewne pytając się: jaki ma interes? Żołnierz podał mu papier jakiś zatknięty na bagnecie — zapewne *suplikę.* Czytał Bonaparte; było we środku jeszcze kilka innych papierów i te przeglądał; mówił znowu z żołnierzem; nakoniec skinął na jednego ze swoich generałów, ten się przybliżył: wziął odeń krzyż z piersi, a nachyliwszy się z konia, sam go przypiął żołnierzowi... i ruszył galopem.

Kiedyż to krzyknie na całe gardło ów żołnierz: *Wiw-lamperer!* — a to znaczy: *wiwa! cesarz!* jak mi ksiądz definitor wytłómaczył i nauczyłem się tej ekklamacyi, bo codzień o uszy obijała się. Ujrzelśmy tego węża z kresą przez łeb i twarz, który nie przestawał wrzeszczeć jak waryat, całował krzyż swój, a łzy często ocierał i śmiał się i ścisnął zgromadzonych około niego kamratów i narzeczcie kogo napadł.

— No, idźmy nazad, *reverendissime!* — rzekłem. — Ale on stał jak osłupiały, aż się przeląknęłam. — Widziałem go więc! widziałem — szeptał sobie pod nosem, ani zważając na mnie — widziałem go! Ot co jest! *Nunc dimittis, Domine! nunc dimittis...* — Idźmy — powtórzyłem. — Ha! idźmy — odezwał się nakoniec, opamiętywając się; ale ledwo nogami mógł sunąć i z pół godziny wlekliśmy się do klasztoru.

— Cóż myślisz? *reverendissime!* — zapytałem, dawszy mu nieco odpocząć i widząc go zadumanego.

— Co ja myślę? bracie mój! co ja myślę?... oh! tego i nie wymówić!!! Przeżyłem lat tyle! patrzyłem na tyłu

ludzi! na tyle rzeczy i spraw ludzkich! w ostatniej mojej godzinie ujrzałem potęgę ludzką w najwyższym stopniu i w jednym człowieku!!! Ot co jest! Dość więc życia dla świata!...

— Ależ ojcze! prośmy Boga — rzekłem — aby nam życia przedłużył, abyśmy obaczyli przynajmniej, jak się to wszystko zakończy?

— Jak się zakończy?... jak się zakończy?... — mówił dalej rozmyślając ojciec definitor — rzeczy nadzwyczajne nadzwyczajnie i kończyć się muszą... Świat się oczyszcza przez ogień, jak żelazo w hucie... Ludzkość wre, kipi, topi się, musuje... Ot co jest!... Żużle rewolucyjne niedowiarstwa, bezbożności i błędów, spływają na wierzch, w brudnych, czarnych, nieczystych fusach... Szumują one, wyrzucają precz i do reszty wyrzucają... Tak przeważona różnorodna masa myśli i wyobrażeń ludzkich wyklaruje się, zleje się w jeden czysty metal... i spływać będzie w formę starego Chrystusowego krzyża. Ot co jest!

— Niewiele ja z tego zrozumieć, ojcze! — rzekłem — ale cóż to ma wspólnego z Bonapartem?

— O ty głowo do pozłoty! co wspólnego? co wspólnego?... Toż wielki *hutnik*, który warzy tę rudę, mięsza ją, szumuje... wichrami poddyma i podżega płomień... i chcąc, czy nie chcąc, ulepia materyały na krzyżową formę, w której czysty metal ma zastygnać... Ot co jest! Zresztą *Digitus Dei hic est...* a więc wszystko może się zakończyć jawnym dowodem... że Bóg tylko jest Wszechmocnym i Wszechmogącym... a człowiek choćby najpotężniejszy... Ale w głowie mi się płacze... Ot co jest! Daj mi bracie pokój z pytaniami... *Fiat voluntas Tua Domine!* — rzekł, podnosząc oczy w górę i modlić się

zaczął. Przerywać mu nie śmiałem, choć ciekawy końca tego proroctwa...

XXV.

Testament ks. definitora.

Oh! przyszedł nakoniec bolesny dla mnie moment, gdy się rozstać musiałem na zawsze z kochanym moim i czcigodnym ojcem w zakonie, z którym kilkadziesiąt lat wieku mego przeżyłem i któremu winienem wytrwanie w powołaniu mojem. Mądry człek, a przecież *re et nomine* zakonnik! nie tak jak niektórzy, Boże im odpuść! lizną tam nieco łaciny i *Teologii*, i już *jubilaty*, już *do-ktory*, na biednych braci kwestarzy ani patrzą, choć z ich łaski i tłustą baraninę jedzą, i piją piwko *de puro grano*. Niech w Bogu spoczywa! Ale ja, po jego śmierci, sierota.

Na trzeci dzień po owem naszym oglądaniu cesarza Bonapartego, rzekł staruszek do mnie: Bracie Michale! codzień słabieję i bodaj dziś umrę. Ot co jest! Schodź wasze i poproś do mnie ojca spowiednika.

Stałem jak wryty i patrzałem mu w oczy, nakoniec łzy mi popłynęły potokiem.

— Ot co jest! bieda mi z tobą! — rzekł on, ocierając także powieki. — Prawda, wyznaję, żal mi cię, bracie Michale! przyjacielu mój wierny! Pójdź, uściśniemy się raz ostatni. Ot co jest!

Rzuciłem się w otwarte ręce jego, a wnet upadłem na kolana i nogi jego całowałem...

— Błogosławię cię, synu mój! — rzekł on. — Mnie to niegdyś niegodnego służę swego obrał Bóg za narzędzie ku powołaniu cię na drogę zakonnego żywota, który potem razem przebywaliśmy. Jeżeli mi Bóg dozwoli widzieć Najświętsze Oblicze swoje, błagać Go będę, aby ci dał w pokoju i cnocie, jak dotąd, dotrwać do końca. A tymczasem znieś mężnie i z pokorą ten nasz rozdział do czasu... Ufam w Jego miłosierdziu: On nas połączy... Ot co jest! Idź bracie po spowiednika.

Dzień cały przebywszy na modlitwach i opatrzywszy się w Sakramentach zapasem podróжным, jak sam powiadał, na drogę do wieczności, wieczorem zaprosił do siebie księdza kustosza, i za jego dozwoleńiem rozdysponował swoją ruchomostkę, dając i w tem przykład uległości zakonnej. Bo choć sam nieraz był prowincyałem, i chudoba jego najwięcej z podarunków przyjaciół była złożoną, a zatem najmniej do klasztoru nie należała, wszelak i to rozrzadzać bez woli zakonnej zwierzchności nie chciał.

— Rób co chcesz, *reverendissime* — rzekł ks. kustosz. — Ja i słuchać tego nie chcę, żebyś miał tak rychno umrzeć.

— Stanie się jak Bóg chce, kochany ks. kustoszu! ot co jest! a tymczasem, za twojem dozwoleńiem, niech tak będzie: Krzyż mój z koronką, który noszę na piersiach, odkazuję bratu Michałowi. Niech on po mojej śmierci zdejmie go z moich, a włoży na swoje piersi, a własny niech mi w zamian da do trumny.

— Ależ, *reverendissime*, to krzyż złoty — ozwał się ksiądz kustosz — a ziarna koronki ze słoniowej kości.

Warto, aby ozdabiał pierś zasłużeńszego w zakonie, równego naprzykład w powadze tobie samemu, ojcze!

— Prawda — odpowiedział starzec — krzyż to złoty, a zawiera w sobie rzecz droższą nad złoto i klejnoty, bo *partykułę* drzewa Krzyża świętego! Ot co jest! Darował mi go razem z koronką ś. p. książę Karol Radziwiłł, ordynat nieświeżski, na pamiątkę, żem był jego spowiednikiem lat sześć za mego gwardyaństwa w Nieświeżu. — »Panie-kochanku! — rzekł on, wkładając na mnie tę koronkę — daję waszeci ten krzyż z mojego skarbcza na to, abys został kardynałem; bo to krzyż kardynała Radziwiłła, który zostałby pewnie i papieżem, ale w czasie sejników tam w Rzymie, jakiś Włoch kondemnatę jemu zarzucił«.

— Ojcze! — rzekłem — ksiądz kustosz słusznie mówi, że krzyż tak drogi, i ze świętości i z pamiątki i z wartości, nie może być na moich piersiach. Zawieśmy go na ołtarzu, jako *votum* za zdrowie twoje, ojcze, i za przedłużenie życia twego.

— Ot co jest! księżu kustoszu!... Ot co jest! — rzekł starzec, a ks. kustosz spuścił oczy.

— Zresztą — dodałem — zapomniałeś może ojcze, że i ten krzyż, który noszę, jest darem twoim.

— Nie! nie zapomniałem. Jam włożył na ciebie ten prosty krzyż bernardyński, jam teraz chciał go z tobą zamienić na złoty. Ot co jest! Ale twój projekt jeszcze lepszy. Nieprawdaż, ks. kustoszu?

Ksiądz kustosz zarumienił się mocno. . co postrzegłszy definitorem: *Mea culpa!* — zawołał — *mea culpa!* zgrzeszyłem! daruj mi, ojcze! daruj konającemu dla miłości Boga! Czyliż mi to czas teraz urągać ze słabości ludzkich, gdy z własnych grzechów mam zdać rachunek? —

Chciał starzec całować rękę kustosza, ale skrucha ta jego i pokora tak wzruszyła kustosza, że wyrwijąc rękę, sam upadł do nóg starca, i — Ojczy świętobliwy! — zawołał rzewnym głosem — mnie błogosław, mnie odpuść i rozgrzesz z winy i zgorszenia, które pożądaniem krzyża tego, dla złota, nie dla świętości jego, popełniłem. *Mea culpa! mea maxima culpa!* Naznacz pokutę, naznacz dyscyplinę, a daruj! to i Bóg miłosierny darować raczy.

Popłakali się ojcowie, ja z nimi trzeci; pokłękaliśmy potem i zmówili *Sub tuum praesidium*.

— Oto jeszcze mój pektoralik, także w podarunku mnie dany od księcia Macieja Radziwiłła kasztelana, za asystencyę i mowę przy ślubie jego z Chodkiewiczówną. Zaczny to i bogobojny pan. On także poszedł już za księciem Karolem... Oh! wkrótce się z nimi obaczę. Regularny bardzo zegarek, oddaję go tobie, ks. kustoszu!

Ks. kustosz aż odskoczył.

— Nie lękaj się, *reverendissime*; oddaję ci go jako depozyt, i w obecności oto brata Michała obowiązuję cię, albo żebyś go sprzedał, albo zatrzymując dla własnej wygody, wartość onego rozdał na ubogich za moją duszę. Nauczyłem cię, bracie Michale, zażywać tabaki; tobie więc, *bona fide*, należą się moje dwie tabakierki i puszka z tabaką. Ot co jest! A także ten kałamarzyk podróżny wygodnym dla ciebie będzie w twoich kwestarskich peregrynacjach, na skład twych raptularzów i dyaryuszów. Szafę z książkami odnieście do biblioteki klasztornej. Jest ich ze dwieście. Niech służą na pożytek duchowny braciom. Reszta ubogich rupieci jest *secundum regulam nostram* własnością klasztoru. Ot co jest! i po wszystkim.

XXVI.

Śmierć ks. definitora.

Wieczorem zasnął mocno nieborak; w nocy wszakże zdawał się zasypiać. Siedziałem w pierwszej celi, pilnując go. O północy wstał i wyszedł nagle ku mnie, aż się przeląknęłam.

— A cóż to? bracie! rozumiesz, żem upiór? — rzekł, widząc moje zdziwienie. — Chodź ze mną do kościoła. Zebrałem ostatki sił, aby ostatni raz polecić duszę Bogu w Jego przybytku. Zaprowadź mnie, bo sam nie dojdę. Ot co jest.

— Ależ mój ojczu! kościół zamknięty o tej porze. — Myślałem, że się zapomniał.

— Prawda; ale po drodze zastukamy do brata zakrystyana, obudzim go. Pójdzie z nami i otworzy nam kościół przez zakrystyę.

Więc prowadziłem starca przez ciemne kurytarze; ale że dobrze wiadome, a mieszkaliśmy na dole, więc stało się jak żądał.

Brat Hilary, choć zdziwiony i nieco kwaśny z przesenia, otworzył nam jednak kościół.

Zostaliśmy sami jedni! lampa tylko na środku wiśząca migąła się bladym światłem, a cały kościół był ciemny.

Starzec zdjął z siebie krzyż swój złoty z koronką i ucałował go, mnie dał do ucałowania i złożył na ołtarzu. — Dzięki tobie, bracie! — rzekł potem do mnie —

za myśl zbawienną ofiarowania Bogu tego *votum*. Pamiętasz tę chwilę w Mińsku, gdym w nocy w kościele modlił się z tobą, prosząc Boga, aby duszę twą odjąwszy marnościom światowym, skłonił ku służbie swojej; a toż też sama chwila północna, chwila po kilkudziesięciu latach!... Módl się teraz za mną, prosząc Boga, aby moją duszę, wyzwalając ze świata, przyjął do służby swej wiekuistej. Ot co jest.

Ukląkł starzec na stopniach wielkiego ołtarza; ale nie mogąc się utrzymać na kolanach, krzyżem się położył... Nie słyszałem modlitw jego, sam leżąc za nim krzyżem na podłodze kościelnej i modląc się serdecznie, słyszałem tylko westchnienia i łkania...

Tymczasem brat zakrystyan oznajmił o nas ks. kustoszowi. Nadszedł on cicho i ukląkł za nami tak, żeśmy go nie posłyszeli. Powoli i więcej ojców zbierać się zaczęło, bo wszyscy kochali i wielbili starego swego definiatora, i poklękali obok ks. kustosza. Posłyszawszy szmer niejaki, obróciłem głowę i postrzegłem ich w cieniu, jak mary klęczące, które lampa kiedyniekiedy migając oświecała... Mrowie mię jakies przebiegło.. Po dość długim czasie, gdym nie słyszał ani westchnień, ani modłów starca, bojąc się, aby mu tak długie leżenie krzyżem nie uszkodziło, powstałem, i biorąc go pod rękę, rzekłem: Wstań, ojczy!...

O Boże! już on nie żył!... przerażony krzyknąłem...

Ksiądz kustosz i wszyscy bracia przypadli do mnie, zdjęto lampę, oglądaliśmy zmarłego. Oczy zawarte... zimny... ale twarz spokojna, blada, jakby uspiona, a nie zamarła. Bo też usnął on w Bogu przed jego ołtarzem. Płakałem, oh! płakałem, jak nigdy w życiu nie płakał! Położyliśmy trupa na ziemi, zakryliśmy go całunem i wszy-

scy znowu poklękli. *Requiem aeternam dona ei Domine!* rozległo się trzykrotnie po ciemnym kościele. Bracia się wysuwali potem w milczeniu i nikli za filarami... ja tylko, klęczący przy zwłokach mojego dobroczyńcy, modliłem się za jego duszę, i dogorywająca lampa migiała po całunie.

XXVII.

Tylko z nałogu już, mój dyaryusz kontynuować zaczynam. Coż mi po nim? Poszarpany, podarty, poszedł w największej części na ogień, pod garnuszki francuskie. Ledwo tylko kilka seksterników najpierwszych i ten ostatni potrafiłem wymknąć z rąk tych ludojadów. Wprawdzie niema czego żałować, jednakowoż miło mnie czasem było odczytywać moje własne dzieje. Przez tyle latek zebrało się różnych historyj, różnych ciekawych ewenementów, na które *suis oculis* patrzałem; różnych perskrypcyj doktorskich, za które nieraz baranów dostawałem; a dziś tego wszystkiego *pasz!* i nawet kałamarzyk piękny nieboszczyka ks. definitora, *fiat pax* duszy jego, skórką obity, zamknięty na wewnętrzny zameczek, potrzaskany i rozłupiony, wala się za piecem. Podobno Bóg za to na mnie to spuszczenie dopuścił, że sercem mojem nadto był przyłgnął do tej mojej pracy, że często mędrszym się sądził od braci moich dlatego, że pisałem te raptularze. *Vanitas* to była. Dziękuję więc Bogu i za to zmartwienie, bo ono mię w grzechu poprawia. Odtąd więc choć pisać będę, lecz nie rojąc stąd żadnej sobie chluby lub zasługi i tyle tylko, ile mi czasu zbędzie od klasztornych posług i obo-

wiązków, których, Bogiem a prawdą mówiąc, nieraz się dla raptularzów zaniedbało..

Po śmierci mego benefaktora, jeszcze kilka tygodni przebyłem w Wilnie, ale samotny i chory, bo spać i jeść nie mogłem z wielkiego po nim żalu. Ksiądz kustosz pocieszał mnie łaskawie i nie obarczał mię żadnymi prawie obowiązkami, aż dnia jednego wszedł on do mnie i rzekł:

— Bracie Michale! grzech jest tak srodze poddawać się żalowi. Jestto sarkać przeciw wyrokom Boskim. Nie mówię ja, abyś zapomniał o swoim ojcu duchownym i serdecznym przyjacielu. Módl się za jego duszę. Tak mu najlepiej odwdzięczysz jego miłość dla ciebie. Ale ponieważ w Wilnie trudnoby ci było uspokoić się, gdy cela twoja własna przypomina ci w każdym momencie twoją stratę, a zatem postanowiłem wyprawić cię stąd dla twego własnego dobra. W klasztorze naszym bienickim ¹⁾ potrzebują kwestarza. Ks. prowincyał (a właśnie przybył on przed dwoma dniami) naznacza tam ciebie. Oto masz i *obediencyę*. Obowiązek znajomy i upodobany tobie, do którego przez tyle lat nawykłeś, rozerwie cię; a doskonałość w tem twoja wesprze tamtejszą niebogatą naszą kongregacyę. Sęk tylko w tem, jak się tam dostaniesz? Dać ci konia klasztornego, to na pewną stratę; bobyś i miasta nie dojechał, a miałbyś już towarzyszków na kałamaszce, a raczej nie miałbyś i kałamaszki.

— Niema nad czem i myśleć, *reverendissime!* — odpowiedziałem. — Nieraz, jako i powinienem, wyprawowałem się piechotą z klasztoru do klasztoru, a przecież za

¹⁾ Bienica — miasteczko. i klasztor księży Bernardynów w powiecie oszmiańskim.

łaską Bożą a dobrodziejstwem poczciwych ludzi, na porządnych brykach dojeżdżałem na miejsce. Więc jutro wyjdę, *reverendissime!* Dziś dozwól mi jeszcze pomodlić się na grobie ojca definitora.

— Nic nie nagli, *carissime!* Wybieraj sobie dzień najdogodniejszy. Prócz tego, pomówię z ks. prowincyałem, przełożę mu trudność dostania się do Bienicy, bo i piechotą niełatwo tam dojdiesz, gdy po wszystkich drogach wleką się marodery za armią i rabują a odzierają.

— Nie, ojcze! — odpowiedziałem. — Słusznie osądziłeś, że mi Wilno porzucić trzeba, bo tu darmobym chleb klasztorny zjadał, a na żadne zatrudnienie zdobyćbym się nie mógł; a w oddaleniu od tego feralnego dla mnie miejsca, lżej mi będzie na sercu, w wypełnieniu zaś obowiązków moich znajdę może pociechę. A tak jutro rano, przyjąwszy na drogę twoje, *reverendissime*, błogosławieństwo, wyjadę. Maroderów nie lękam się, bo cóż u mnie zrabują? habitu przecież nie zdejmą, bo i ten łatany.

Nazajutrz więc wybrałem się w podróż. Po mszy świętej dał mi benedykcyę ks. kustosz, który od owego krzyżowego wieczora łaskawszym był na mnie widocznie; dawał mi nawet francuskiego talara na drogę, ale ja podziękowałem, bo nie byłem bez zapasu, z którego wzięłem tylko jednego dukata i tego wkopałem głęboko aż na samo dno do tabaki; resztę zdałem w *kustodyę* poczciwego brata zakrystyana, jemu także zostawując w depozycie do spokojniejszych czasów puszkę piękną cynową z tabaką nieboszczyka ks. definitora i jedną jego tabakierkę *permodum* srebrną; a drugą prostą drewnianą, ale którą jakby ze złota ulaną szacuję, bo i to jego pamiątka, wzięłem z sobą. Oh! czemużem i moich raptularzów nie

zostawił? ale nie mogłem jakoś z niemi się rozstać. Spakowałem więc do kałamarzyka, kałamarzyk zawiązałem na plecach, kij w rękę i w imię Boże, pomaluczku, *per pedes Apostolorum!* marsz!

XXVIII.

Wędrówka do Bienicy.

Cesarz Napoleon Bonaparte już wyjechał z Wilna, puszczając się ze swoim wojskiem, które jak powódź płynęło ku Dźwinie; ale po wszystkich traktach wlekło się żołdactwo i pomimo srogich zakazów, rabowało bez miłosierdzia, tak, że wszystkie dwory około traktów, a nawet i kilka mil w głąb kraju, splądrowane pustkami stoją. Bóg dał tego roku nadzwyczajnie obfity urodzaj. Aż miło patrzeć na pola, zbożami okryte! Koszą to wprawdzie zielone zamiast siana, ale gdy i skoszone odrasta, więc zostanie dosyć.

Ledwom wyszedł za miasto, napędziło mnie czterech Francuzów. Idą obok mnie. Poglądamy na siebie. Idziem aż pod Niemeżę. Nakoniec zaszwargotał jeden do mnie.

Myszę sobie, że to naród oświecony, jak powiadają; między czterema, choć jeden może umie po łacinie? rzekłem więc:

— *Non intelligo linguam gallicam, dic mihi latine vestra dominatio.*

Spojrzeli po sobie i znowu do mnie po francusku.

Odpowiadam na los szczęścia: *Ego sum ex conventu Vilnensi Fratrum Minorum, alias Bernardinorum, Bientiam proficiscor.*

— *Bon, bon, se bon* — odezwali się; a potem bez ceremonii dwóch mnie za ręce przytrzymało, a dwóch odwiązali mój kałamarzyk, usiedli na ziemi i pałaszem około zamku majstrować poczeli.

— Stójcie! — krzyknąłem po polsku już — pieniądze tu niema — i podałem kluczyk.

— *Bon, bon, se bon* — poklaskali mię po ramieniu, odemknęli, przebrali papiery, a nie więcej nie znalazłszy, rzucili skrzynkę na ziemię i poszli dalej. Pozbierałem więc papiery, uwiązałem znowu kałamarzyk na plecach i rozumiałem, że już między nami *kwita*.

Ale o kilkanaście kroków znowu mię zatrzymali, zdjęli z siebie dwie cielęcinki, to jest tłumoki swoje wojenne, i na mnie je gwałtem włożyli. Szamotałem się wprawdzie, krzyczałem i po polsku i po łacinie: *Non possum, senex et debilis sum!* — A oni swoje: *Bon, bon, se bon!* Maszyr kamrat, maszyr! — I przy tej perswazyi, pokazując mi argument *ad hominem*, to jest bagniet, skonwinkowali mnie zupełnie, tak, że dźwigając dwie cielęcinki, szedłem spokojnie pod ich konwojem.

Co miła luzowali na moim grzbiecie swoje tłumoki, aby każdy z nich równą miał ulgę i za każdym takim popasem traktowali mnie wódeczką ze swoich manierek. Dobrej gdzieś Judasze dopadli staruszki. Łyknąłem z biedy, choć od gorąca i ciężaru pot ze mnie łał się kroplami; a oni śmiali się jeszcze, szwargocąc między sobą, i znowu: Maszyr kamrat!

Tak wędrowaliśmy aż do Miednik. Nieraz zatrzymałem się, aby odpocząć. No, to niebronno było. Usiadłem

sobie na kamieniu i oni koło mnie; dobyłem tabakierki, potraktuję ich tabaczką, zażywają; a jak poczną czchać, to ja krzyczę: *Vivat!* — a oni w śmiech i — *Bon kamrat!* — I ja też sobie drwię z nich w duchu. — Oho! mądrzy wy jesteście — myślę — ale zgadnijcież! oto dukat wam pod nosem, a nie zwąchacie! nie! Więc i ja się śmieję. Słowem, w dobrej maszerujemy *komitywie*, ale cóż, kiedy cielęcinek nie zdejmują?

W Miednikach pustki. Dwór, wieś, karczma, plebania, bez okien, kościół stoi otworem i spustoszony; sklepy nawet otwarte i trumny powywracane. Ani żywego ducha nigdzie, prócz kilkunastu kamratów; podobnych moim, a gospodarujących po tej ruinie. Kilka psów wyło na śmietniskach i kilka kogutów, przelatując ze strzechy na strzechę, piało, jakby urągając rabusiom.

Niedługi jednak był ich tryumf *Cel, pal* i kogut na ziemi. Pobili wszystkich. Prosię jakieś brnęło na ulicę; i temu w łeb. Garnków po chatach się znalazło, a zatem postanowiono gotować obiad.

Jam się położył na ziemi. Wszyscy pozdejmowali tłómoki, więc i ja odpiąłem moje. Ale też oni i skrzynkę moją odpięli i złożyli razem. Poznałem, że to, abym nie uciekł. — Trudno — pomyślałem — uciekać od takich ichmościów, którzy kulą cię dopędzić mogą.

Rozłożono więc ogień w ogródku wiszniowym jakiegoś chłopka, a do mnie odwrócili się wrzeszcząc: *Kleba! kleba!*

— A skąd ja wezmę? — krzyknąłem wzajemnie. — *Niema kleba!*

— *Niema kleba!* — powtórzyli żałośnie i pokazali na dwór, do którego iść z nimi musiałem.

Cóż z tego? Próżno tam szukać, gdzie tysiące po-

dobnych mistrzów przed nami szukało. Kręcili tylko głowami, rozbijając i niszcząc wszystko do reszty, a za całą zdobycz wynieśli tylko szczypce złamane i pół talerza. Każdy podchodził do mnie i powtarzał: *Niema kleba!* — Aha, *niema kleba!* — odpowiedziałem.

Powróciliśmy. Ale jakaż moja była rozpacz, gdy postrzegłem, że kałamarzyk mój rozłupiony, a jeden z tych herodów drze moje raptularze i pod drewno podkłada, aby się lepiej paliły! Wyrwałem mu ten, który w rękę trzymał i porwałem skrzynkę, w której jeszcze z parę się zostało.

Patrzył mi on w oczy z zadziwieniem i złością, narazie porwał się do mnie z pałaszem, ale moi kamraci odróżni stanęli w mojej obronie. Zaczęła się zwada. Moi także dobyli pałaszów, inni chwycili za karabiny. Więc ja widząc, że przyjdzie do krwi rozlania za moje szparpały, wpadłem między nich i machnąłem ręką, aby się uspokoili. Stanęli zadziwieni... a ja moją skrzynkę oddałem w ręce podpalaczowi.

Spojrzał on znowu po mnie, postawił skrzynkę na ziemi, a mruczając, odszedł spokojnie i usiadł przy ogniu.

Wszyscy inni rzucili się do mnie, zaczęli mnie ścisnąć, całować, ledwo mię nie udusili; klaskali po ramieniu. — *Bon, bon, se bon! Vivat kamrat!* — wrzeszczeli. — Ha! — pomyślałem sobie — ci ludzie rozumieją jednak i znają szlachetność; jakże to dziwno, że rabują i palą! jaka dziwna mieszanina złego i dobrego!

Zakaty smacznyż był nasz rosół, a jak oni nazywali *sup*, znaczy się *zupa*, którą zgotowali; mieli jednak w swoich blaszankach ryż i sól; a że jeść się chciało bardzo, więc uszła i mnie nawet za wyśmienitszą. Szanowali już mię teraz, posadzili na pierwszym miejscu

i dali srebrną łyżkę z herbem *Kościusza*, widać u jakiegoś szlachcica zrabowaną.

Gdyśmy po posiłku zabierali się w dalszą podróż, spostrzegłem, że każdy z moich pierwszych towarzyszy kładł na siebie swoje tłómoki, a moją pobitą skrzyneczkę, którą ja paskiem moim związałem, podpalacz wziął na siebie. Rozumiałem, że ma ją przywłaszczyć i już nie chciałem się upominać, aby znowu do batalii nie dać powodu. Poznawszy moją wątpliwość, obrócił się on do kamratów i perorował coś do nich. Wysłuchawszy, uściśnęli go, a mnie na migi dali poznać, że on przez wdzięczność chce mi tę ulgę uczynić. A więc także ściśnąłem go za rękę i nie chciałem na to przyzwolić; ale on nie uważał na moje protestacye i poniósł kałamarzyk na sobie.

Pod wieczór weszliśmy do Oszmiany, w której nie można było rabować, bo był komendant placu i niejaki porządek.

Dano żołnierzom kwatery, a ja przed rozejściem się naszym zebrałem ich wszystkich około siebie w kupę, dobyłem tabakierkę i potraktowałem wszystkich, a potem w ich oczach wykopałem z pod tabaki dukata i okazałem każdemu w oczy... Spojrzeli po sobie, pokręcili głowami i rozśmieli się do rozpuku. Rozmieniłem i za całego pół rubla kupiłem obwarzanków i rozdzieliłem między kamratów. — *Bon! bon kamrat!* — krzyczeli; a ja, odebrawszy mój kałamarzyk, udałem się do ojców Dominikanów, którzy mię przyjęli *benevole*; a nazajutrz z bliskim sąsiadem od Bienicy, panem Szczepanowiczem, pisarzem, bezpiecznie i wygodnie tu zdążyłem.

XXIX.

Nieboszczyk Kocięł.

Pan pisarz, wielki *gadativus*, prawił mi w drodze rozmaite historye; ale między niemi rozpowiedział ciekawą rzecz o samejże Bienicy, do której dążyłem; co, wedle mego zwyczaju, zapisuję tutaj.

— Czy już mieszkałeś kiedy w tej rezydencyi? — zapytał on mnie.

— Nie. Pierwszy raz tam będę.

— To nie wiesz zapewne, z jakiej pamiątki założony tam wasz kościół.

— Nie wiem, dobrodzieju!

— To ja ci powiem.

— Proszę najuniżeniej i słucham.

— Oto tak było ¹⁾. Dobra te należą od dawna do możnej i bogatej w Litwie familii *Kocięłków*. Jeden tedy z ich *antenatów* powracał z jakiejś podróży do domu, a mieszkał pono w *Młodecznie*, bo i *Młodeczno quondam* do *Kocięłków* należało, i niedawno jeszcze *per exdotationem* przeszło do imienia *Ogińskich*. Przełęknione czegoś tam na drodze konie jego uniosły; wzięty na kieł i leciały jak szalone, cugle pękły, stangret spadł z kóz, a pan Kocięł bez żadnej *salwy*, widząc widoczną swą zgubę, polecał się tylko Bogu. Nagle przysła jemu myśl, od Boga widać natchnięta, uczynić jakie pobożne *votum*.

¹⁾ Podanie.

Postanawia więc wymurować kościół i uczynić fundusz na tem miejscu, gdzieby konie stanęły.

Ledwo myśl ta jak błyskawica mknęła mu po głowie, gdy konie, jakby najsilniejszą ręką w tył targnięte, zaryły się i stanęły.

Pan Kocięł wysiadł z karocy, ukląkł na ziemi, zmówił pacierz, czy jakąś tam *pitumannę*, modlitewkę swoją, ponowił *votum*, i we dwa lata na tem samem miejscu słuchał mszy świętej, gdzie mu Bóg życie zachował.

Mało na tem, mości dobrodzieju! — pod kościołem zmurował on dla siebie w ziemi sklepik osobny, i przeżywszy matuzalowe lata, tam się i położył. Lecz gdy czuł się słabym, kazał odmalować swój portret w całej postaci, przy nim stolik, pod stolikiem szkatułę otworzoną, a w szkatule kilka worków z pieniędzmi jakoby; nawet na każdym worku ponaznaczał malarz z rozkazu jego liczbami sumę, którą on podyktował; i portret ten obok swego łóżka na ścianie zawiesił.

Dziwili się wszyscy i odgadywali, coby to miało znaczyć, aż gdy wkrótce pan Kocięł oddał duszę Bogu, znaleziono rozporządzenie jego własnoręczne pod głowami, że obraz ten przenieść on rozkazuje do kościoła, i umieścić na ścianie nad jego sklepikiem; że sumy na workach oznaczone, są zakopane w jego grobie i przeznaczone na podźwignienie kościoła Bienickiego, jeżeliby kiedy uległ zupełnej *konflagracie*; lecz aby bez takiej tylko ostatecznej potrzeby dobytymi nie były, sam zatem ich strzedz postanowił, i dlatego w grobie własnym one zakopał, i świętokradzkim lub chciwym rękom nie da.

Otóż tedy przed laty kilkadziesiąt spalił się dach na klasztorze Bienickim; a był natenczas gwardyanem świę-

tobliwy i przykładowy kapłan, którego sam dobrze pamiętam, bom był potem na jego powtórnej *prymicyi*, ksiądz *Czapkowski*, i umarł on w Bienicy, przeżywszy lat sto z górą. On tedy osądził, że właśnie stał się *casus* naznaczony przez fundatora i że może poruszyć strzeżonych przez niego worków.

A więc po solennych exekwiach za duszę jego, przystąpiono do odwalenia wielkiej i ciężkiej płyty marmurowej, pokrywającej grób pana Kocięła.

Że nie chciano publikacyi tej roboty, więc wzięto się do niej w nocy, przy lampach i w zamkniętym kościele, a kilku *patrów* i przy nich kilku zaprzysięgłych braciszków pracować zaczęło.

Mrowie wszystkim po skórze przechodziło i robota szła niesporo. Ks. *Czapkowski* modlił się bez przestanku i kropił pracujących, ośmielając ich i tłómacząc, że pieniądze te pójdą właśnie podług woli pana Kocięła i że tyle tylko z nich weźmie, ile konieczna potrzeba wymaga. Nakoniec podważono kamień i podjęto na drogi... Grób otwarty... Pokropił go i schylił się doń ks. gwardyan, chcąc zajrzeć w głąb.

Wtem lampa, jakby z rąk mu wyrwana, wpadła do sklepu i rozprysła się tam z brzękiem i dźwiękiem, a razem kamień runął z łoskotem na swoje dawne miejsce i rozrysował się na kilka części... i na dobitkę, w tym samym momencie, ogromny a okropny trzask, jakby łamiącego się muru, ogłuszył wszystkich i wszystkie lampy pogasły...

Ojcowie i bracia padli na ziemię, jak nieżywi, a każdy posłyszał jakby ponuro szepnięte sobie nad uchem: *Requiescat in pace!*

— Więc pan Kocięł nie dał pieniędzy?

— A oczywiście nie dał i miał rację, bo klasztor, to nie kościół mospanie! a nawet zawarował sobie pokój przez *requiescat in pace!*

Otóż jak przyjdiesz do Bienicy, możesz i obaczyć ten portret, który i teraz znajduje się na swoim miejscu; kamień nad grobem porysowany na kilka części i szczelinę wielką na ścianie kościelnej, którą nazajutrz spostrzeżono i którą chociaż zaprawiają, znaczną jest jednak i do dziś dnia.

Jakoż, przybywszy tu, wszystko własnemi oczami obejrzałem.

XXX.

Przed kwestą.

»I komuż zbiegło kiedy na myśl pytać się kwestara o jego przeszłość i rodzinę? Zapytują ich tylko, gdzie nocowali przeszłej nocy? i czy już po śniadania? Poczem nie czekając ani twierdzącej, ani odmownej odpowiedzi (bo też na to zimne pytanie porywa jakaś taka złość człowieka, że nawet po gwardyańskim śniadaniu gotówby był odpowiedzieć, że nie szkodziłaby *jaka taka przekąska*, rozkazują służącemu przynieść wódeczki dla *jegomości dobrodzieja*, dają naprędce znak ekonomowi, aby wybrał tam jakiegokolwiek pół-żywego barana, i zostawiają cię przy stoliku nad darem Bożym, nie pytając się już o nic więcej. Tym świeckim ludziom zdaje się

niemal, że kwestarz bernardyn musiał się urodzić bernardynem. I jak, pytam, po takiej czułości ze strony ludzi, zakonnik nie ma nabrać wstrętu do świata i nie umiłować swojego konwentu? Tak mi się skarżył brat *Placyd*, mój poprzednik, kwestarz w tejże Bienicy, a który, zniechęcony tą *receptą* ludzką, nie chciał już więcej kontynuować swej peregrynacji i przyjął *kanaparstwo* po zmarłym bracie. Dlatego mię i sprowadzono z Wilna.

Niestety! prawdę on powiadał. Sam nieraz bywam tak przyjęty; i tem bardziej mnie to martwi, że przypominam czasy, gdy wcale inaczej było; gdy wyprawując mię po raz pierwszy na kwestę nieboszczyk ks. *Ot co jest*, upewniał mię, »że jest jakaś powszechna domowa skłonność dla Bernardynów; że pobożność, dobroczynność i ludzkość żyją na Litwie; że kwestarzy z gotowym baranem oczekują jak bocianów na wiosnę; i przepowiadał, że źle będzie na świecie, gdy cnoty te wygasnąć będą; gdy szczerłość, prostota i pokora nie będą już trafiły do serca: bo wtenczas jad niedowiarstwa i pogardy naszej świętej religii rozszerzy się jak plaga egipska między narodem«¹⁾.

Otóż i zgadł. Patrzał on nawet na to zgorwienie, martwił się, *fulminował* z ambony i przypominał mi swoje prorocstwo. A jednakowoż przed śmiercią nieraz mi powiadał: »Nie bójcie się, kupcie się tylko około krzyża z gorliwą wiarą i nadzieją. *Et crux triumphabit super aspidem et basiliscum!* Bo Bóg nie opuścił sług swoich i nie poda na poniewierkę niezbożnym swojej

¹⁾ Patrz wyżej »Wyjazd na kwestę«.

świętej nauki!« Dajże Boże, aby i to drugie proroctwo jego sprawdziło się czempredzej.

Oziębłość więc ta dla nas biednych kwestarzy, na którą tak się zawziął ksiądz Placyd, jest to mała gadzinka, biorąca jad swój z wielkiej kałuży niedowiarstwa po świecie rozlanej: bo to mało na tem, że nawpółżywego dadzą barana, że potraktują wódeczką, od której trzy dni człowiek kotłem swędzi, ale jeszcze w domu szlachcica, którego ojciec pocziwie Boga chwalił i ludzi szanował, posłyszysz nieraz wyrazy i zdania, o których ani mu się śniło nawet. Religia, to *fanatyzm*; zakonnicy, to *popi*; artykuły wiary, to *zabobon*. W piekło jegomość nie wierzy, czyśca nie lubi, na niebo nie zasługuje i sam nie wie, gdzie podzieje się po śmierci. Filozofia! filozofia! to u niego grunt, której że ja nie znam i znać nie chcę, to rzecz naturalna; ale że i oni nie znają, to tak mi Panie Boże dopomóż!

Nie raz, a co mówię nie raz, nie sto razy uszy mi wędły, słuchając takich bredni; a zawsze wolałem się odrzec barana, jak potakiwać bluźnierstwu. Opisywałem ja takie wszystkie zdarzenia w moich raptularzach i jak mi udało się nie raz i niejednego niedowiarka *skonfundować* po kwestarsku, jak niegdyś owego francuza u starosty, ale to wszystko z dymem poszło pod francuską zupą w Miednikach.

Giwardyan nasz w Bienicy, *simplex Dei amicus*, był niegdyś profesorem *Infimy* w Cytowinach, na co niewiele potrzeba *sapientii*. Ledwom wysiadł z wozu, ucieszył się mocno i mówił szybko, cienko, jakby lekcyce recytując:

Salve bracie! bratuniu! bratunieczku! *salve!* Jedź, jedź, jedź zaraz, kwestuj, zbieraj, proś bracie! bratuniu!

bratunieczku! bo z głodu poumieramy. Objedli naz Francuzi. Na trakcie żyjemy. Gwałtu! Kiedym był profesorem *Infimy* w Cytowianach, zjadałem pirogi i łakocie od mamuniek mnie nasyłane, a teraz *panem nostrum quotidianum careo*. Jedź, bierz, co dawać będą. Ziarnko do ziarnka, zrobi się miarka. Ratuj, bracie! bratuniu! bratunieczku! Konie wszystkie pozabierali. Jedź!

— A na czymże pojedę, kiedy wszystkie pozabierali

— Zostawili jednego swego *herharę*. Osedniony i chudy, ale pod konno dobrze chodzi. Smaruj go łojem i jedź, bracie! bratuniu! bratunieczku!

— Jest jeszcze jedno *impedimentum grave* — rzekłem.

— *Impedimentum* — przerwał mi staruszek — *est generis neutrius. Gravis, grava, gravum, vel grave*, dobrze zgodziłeś, *Latinescis, bene et valde bene*: bo teraz łaciny nie usłyszysz ani za grosz, *amantissime fratercule!* to jest, bracie, bratunieczku! Kiedym był profesorem *Infimy* w Cytowianach, to żaki moje, pilnując *notalingwy*, lepiej gadali po łacinie, jak dzisiejszy pan jaki, marszałek lub podkomorzy. A bo do zgodzenia *generis masculini cum feminini...*

— Ale *reverendissime!* nie o to idzie — przerwałem mu niecierpliwie. — *Impedimentum grave* jest w tem, że jak kwestować, gdy marodery wszędzie się włóczą? Gdybym i dostał baranów lub jakichkolwiek wiktuałów, to odbiorą pewnie. Daj Boże, abym sam przynajmniej na sucho uszedł.

— Manowcami, bracie! bratuniu! bratunieczku! lasami, błotami, jedź dojeżdżaj, gdzie można... *Prowodyra* schowałem w lesie, zajedziesz po niego. Ratuj! jedź!

Widziałem, że nic nie pocznę z moim głodnym gwar-

dyanem, poszedłem więc przygotować jakkolwiek wyprawę, choć źle bardzo o niej tuszyłem.

Nazajutrz, urządziwszy jak mogąc kałamaszkę i założywszy owego wielkiego kusego konia, zajechałem przed klasztor.

— Jedź! jedź! bratuniu! bratunieczku! — wołał na mnie z okna poczciwy profesor infimy.

— Właśnie przyszedłem po benedykcyę twoję, *reverendissime*, na drogę.

— *Adde reverendissime pater!* bracie! bratuniu! bracie! bratuniu! bratunieczku! bo kiedy byłem profesorem *Infimy* w Cytowianach, inaczej mnie nie nazywano. A zresztą *benedykuje*, *benedykuje*, ale spraw tylko, abyśmy mieli co *benedykować* na stole.

— Przynajmniej-że daj mi innego woźnicę. Cóż pocznę z tym małym chłopczykiem? Jemu do mszy służyć, ale nie kwestarza wozić. Któż dopilnuje wozu, konia i baranów, jeśli ich Bóg zdarzy.

— A skądże wziąć innego? Ten co był i woził brata Placyda, za młodu traktował żołnierkę. Postrzelany jak sito i pokiereszowany, przywlókł się tu nie wiem skąd i ufundował się w klasztorze, jak mówił, przy ołtarzu do śmierci. — Bóg tam z nim — pomyślałem sobie — *restat*: bo prócz tego odrazu pojął się do woskowni i wyśmienicie stoczki ciągał. Ale potem zachciało mu się jeździć po kweście, a nie chciał włożyć habitu; więc na to powiedziałem: — *Nego*. Bo kiedym był profesorem *Infimy*...

— Ależ *reverendissime!* czas nagli.

— To nic, bracie! bratuniu! bratunieczku! Słuchaj tylko. Otóż uparli się oba z bratem Placydem. Ja swoje, oni swoje. Skończyło się na tem, że on *semi-socyusz*,

semi-woźnica, ofiarował się towarzyszyć kwestarzowi. Rzekłem tedy: — *Concedo*. — I dobrze się powodziło; bo ten *peregrynant* zawołany, prawie wszędzie *mirabilia* o swoim życiu, o krajach, gdzie bywał i wojował, o bataliach i szturmach, brał za to barany jak grzyby. My sami słuchamy bywało jego rozziawiwszy gęby. Kiedy byłem *profesorem Infimy w Cytowianach*, to geografię na klasę pierwszą sam umiałem na pamięć; a bywało nigdy nie mogę rozgatkować, w której części świata on bywał i wojował.

Otóż jak tu napłynęło wojsko, jednego dnia poznał on swoich dawnych towarzyszków; naprowadził tu ich do klasztoru. Nie rabowali to oni wprawdzie, ale objedli i opili nas do szczętu; a nasz *semi quaestarius* chwycił w rękę karabin i pomaszerował z nimi szczęśliwie.

Ad felix videndum, bracie! bratuniu! bratunieczku! — rzekł — i po wszystkiemu. Bez niego, ani brat Placyd kwestować chce, ani furmana gdzie dostać. Jednakże to nic nie szkodzi, jedź! Chłopak twój choć mały, ale sprytny. Trzymaj go tylko w *subordynacyi*; bo kiedy byłem *profesorem Infimy w Cytowianach* to to bywało *corona asinorum* na głowę i *flectat*, a wnet żaki *szarf!*... Razu jednego...

— *Vale* — rzekłem — *reverendissime! vale! Ad felix videndum* — i siadłem na kałamaszkę.

— Jedź, jedź! bratuniu, bratunieczku! *benedykuję* i oczekuję! ratuj! oczekuję i *benedykuję*.

XXXI.

Kwesta.

Pan Bóg jednostajnie co rok obdarza nas darami swymi, ale tego roku nadzwyczaj nam błogostawi w urodzajach. Jakie piękne zboża! jakie bujne kłosa! jaka obfitość daru Bożego! Ale wojna! wojna!... chociaż teraz przeszła jak wichur i grzmi gdzieś tam od nas daleko, ale jeżeli powróci, broń Boże, połknie wszystko, a może i nas samych! Bądź wola twoja Panie.

Wyjechawszy z klasztoru, zawróciłem na manowce, bo ta jedna rada kochanego ojca profesora *Infimy* w Cytowianach była dobrą. Już też i wypędzeni strachem i rabunkami mieszkańcy powracali do domów i krzatali się około gospodarki.

Nie tak bardzo i oziębło mnie przyjmowano. Wszyscy ze zwyczajnego toru zbici, o niczem nie myślą i nie mówią, jak o tem, na co patrzą; a niespokojnie wyglądają, co będzie? W takiej niepewności niema czasu do filozofii. *Kiedy trwoga, to do Boga!* Wprawdzie gdzie przeszedł rabunek, trudno żądać jałmużny; ale jednakże niejedyn gospodarz, widząc na polu i ciesząc się z pięknego żytku lub pszeniczki, a niepewny, czy one szczęśliwie zwiezie do gumna, na tę *intencję* ofiarował mi asygnatę na jesień i do klasztoru odesłać obiecał; niejedna mamunia, zaprowadziwszy mię w kątek, z płaczem wetknęła rubelka *na intencję*, aby synek szczęśliwie z wojny wrócił; a nikt przecie do świętej *filozofii* na mszę nie dawał.

Przyszło mi jednak spotkać się i z tą zarazą, a to jeszcze na tem samem miejscu, gdzie niegdyś cnoty chrześcijańskie najozdobniej kwitnęły — jako o tem niżej.

Już o mil dziesiątek oddaliłem się od klasztoru ku Niemnowi i kilka baranów wlokło się za *prewodyrem*, gdym zdaleka dostrzegł dwór wielki, a we wsi dowiedziałem się nazwiska pana. Nazwisko to przypomniałem wnet; dwór to był bowiem starosty, ów, w którym przed laty tak hojnie obdarzony byłem. Dowiedziałem się także z żalem, że oboje to bogobojne państwo pozmiało; że ich, to miłe wleczas paniątko, sukcedował po rodzicach i jest we dworze. A więc choć pora była spóźniona i ciemno już, w inię Boże zawróciłem do dworu.

Coś mi się w duszy smutno zrobiło, gdym wjeżdżał na dziedziniec... czy to przypomnienie lat młodszych i lepszych, czy poczciwych ludzi, których tu poznałem, a nie pewny byłem, że żyją jeszcze?... Oj czas, czas! Dobrze mówił nieboszczyk mój ks. definitor: *Tempus edax rerum!* a w przysłowiach wojewodzińskich stoi: *Contra vim mortis non est medicamentum in hortis* — przeciw srogiej Libitynie niemasz rady w medycynie! Zawinie się ona bodaj wkrótce i koło mnie.

Tak dumając, kazałem chłopcu poszukać stajni i sam szedłem, gdzie się świeciło, a świeciło się tylko z okien jednego pałacowego skrzydła.

W sieniach ani żywego ducha. Dalej przeszedłem jeszcze kilka pokojów, kierując się na krzyki i śmiechy, które mi do uszu dochodziły.

Wszedłem nakoniec do wielkiego pokoju i znalazłem siedzących za stołem kilku panów, jednych z żołnierska, innych z węgierska ubranych, hołdujących królowi egip-

skiemu i razem Bachusowi: bo przed każdym kupy złota, karty i kielichy z winem stały.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— A to co za pop? — razem wymówili.

Nie było ani z jednej, ani z drugiej strony odpowiedzi.

Znowu powtórzyłem: *Laudetur Jesus Christus!*

I znowu zamiast chrześcijańskiego responsu: Skąd cię tu licho przyniosło?

— A — pomyślałem sobie, — pięknie trafiłem!

— Jestem ubogi kwestarz — rzekłem nakoniec. — Rozumiałem, że trafiłem do chrześcijańskiego dworu; ale, jak widzę, wpadłem do jakiegoś *Pandemonium*, bo i na chrześcijańskie pozdrowienie nie odbieram zwyczajnej odpowiedzi.

— Zresztą: na wieki wieków — odezwał się jeden z nich. — Kto cię tu wpuścił?

— Nikt nie wpuszczał, i nikt nie bronił wejścia; a niegdyś wejście do tego pańskiego pałacu nie było bronionem dla poczciwych ludzi.

— No, no, popie, nie gniewaj się. Albożes tu był kiedy?

— Byłem, i nie zapomnę tego dnia, w którym poznałem zacnego, wspaniałego a bogobojnego pana tutajszego, starostę... Niech w chwale Boskiej świeci jego dusza. Rozumiałem, że znajdę teraz podobnego ojcu syna, z którego natenczas cieszyłem się, bo w maluczkiej dziecinie już pańskie i chrześcijańskie okazywały się cnoty; ale widać, że go tu niema; a zatem na pożegnanie jeszcze raz *Laudetur Jesus Christus!*

— Stój! księżu! — rzekł powstając od stołu i rzucając karty mężczyzna w mundurze gęsto srebrem szy-

tym. — Jam jest syn starosty... i gospodarz tego domu...

— Tak, tak — dodał jakiś podpiły *sampan* — to nasz pułkownik, hrabia... Czołem, popie! bo cię skropię!

— Mógłbyś to i uczynić, dobrodzieju! — odpowiedziałem — bo trzymasz kielich pełny, a sam już się tego jak widzę zakropił.

— Brawo! — rzekł inny. — Masz za swoje! To po kwestarsku. Skropże go za to, to jest oddaj mu swoją szklankę.

Odsunąłem podawaną szklankę, a w milczeniu patrzałem na starościca. On także na mnie.

— Znałeś mię dzieckiem, powiadasz?

— Znałem, znałem cię, gdyś miał obok siebie anioła i djabła, to jest księdza kapelana i Francuza! Oh! któryż zwyciężył?

Odwrócił się starościc, przechadzał się po pokoju, przecierał czoło... to patrzył na mnie, to się odwracał; odsunął także podawany mu kielich...

— Tak — rzekł potem — tak, miałem przy sobie jakiegoś fanatyka... a może był i poczciwy człowiek. Umarł...

— Przecież za sprawą tego fanatyka — rzekłem znowu — serce twe młodziuchne skłaniało się ku dobremu. Ofiarowałeś mi natenczas dukata, który ja z płaczem i błogosławieństwem przyjmowałem, a teraz...

— A teraz rozumiesz-że mię być nieludzkim? Masz oto pięć takichże samych dukatów — rzekł, biorąc je z kupy złota na stole.

— Dobrodzieju! — rzekłem — gdybyś mi i całe złoto, które widzę na stole, oddał, nie będzie ono tyle

u mnie znaczyło, ile tamten dukat. Rozumiesz mię, panie, dlaczego?

Staroście znowu przeszedł kilka razy salę zadumany. Goście nań poglądali i na mnie z ukosa.

Nakoniec, jakby gwałt sobie czyniąc, odwrócił się do mnie:

— Kaprysisz, księżu! — rzekł. — Co było, to było... przeszło.. a dukaty zawsze jednostajne..

Wtem wszedł lokaj i zawołał: Wieczera!

— Proszę — rzekł staroście — do kompanii i ciebie, księżu!... Przypomnimy się lepiej przy półmisku i szklance.

Gdyśmy usiedli do stołu (a było to w tejże samej sali, gdzie przed dwudziestu z górą laty obiadowałem), przypomniały mi się wszystkie osoby, z którymi wówczas zasiadałem; stanęły mi w oczach... i oczy zaszyły mi łzami. Nie jadłem, bo i prócz tego był to piątek, a mięso na stole. Milczałem; podobno nawet na kilka kwestyj nie dałem responsu; a tymczasem cała wrzaskliwa drużyna gładko zajadała, a jeszcze gładziej piła.

Nakoniec odezwał się ten sam jegomość, który mię chciał skropić: Cóż milczysz? popku! Zarwę cię z teologii. Powiedz mi, gdzie w człowieku dusza siedzi?

Obudziłem się jak ze snu. — A wspomóżże mię, Panie — pomyślałem — skonfundować tego chłystka.

— U żołnierza — odpowiedziałem — który nie broń, ale szklankę ma w ręku, dusza siedzi w piętach.

Przygryźli usta wszyscy, uśmiechnęli się niektórzy, i spojrzeli po sobie, a *homo quaestionis* krzyknął:

— Słuchaj popie! ostrożnie z żartami, bo ci własną duszę wycisnę.

Pomiarkowałem, że tu za kwesę guza tylko dostać mogę, więc wstałem od stołu i wynieść się chciałem.

— Dokąd? księżu! — rzekł starościc, czy pułkownik, jak go nazywano. — Nie uciekaj, bo dowiedziesz, że u ciebie dusza w piętach. Przebaczam ci żart, bo nie wiesz, dlaczego jeszcze tu jesteśmy. Gdy czas przyjdzie, powinności naszych do munduru przywiązanych nie zaniedbamy. Zresztą nie lękaj się, w moim domu nikt cię nie skrzywdzi. A ty — dodał, obracając się do pytającego się *sampana* — siedź i pij. Nie umiesz teologii i dlatego cię zjeździł, a przy tobie i nam się dostało. Nie idzie o to, gdzie dusza siedzi, ale *czy jest* dusza, na tem grunt.

— Dowiedz mi, kwestarzu, że jest dusza, to ci dziesięć baranów dać każę, albo lepiej dam ci dziesięć dukatów, bo baranów podobno w całej ekonomii niema.

— A co? zabrakło ci conceptów?

— Dobrodzieju! — rzekłem do starościca — dziś nam wszystkim nie do dysput, a tem bardziej w takiej ważnej materii. Jutro odpowiem na kwestyę pańską, a dziś wszystkim dobrodziejom życzyłbym porzucić służbę Bachusa, bo to bożek pogański, a pójść zaraz spać, abyście z duszami przynajmniej wstali.

— No, to do jutra masz zakład — rzekł starościc.

I nie mogłem inaczej zrobić, jak odłożyć, a namyślić odpowiedź, bo pierwszą nastęrczyło mi przysłowie zwyczajne, że u tchórze dusza w piętach; ale na drugą, zarwany tak *insperate*, zdobyć się nie mogłem.

Wyszędźszy z sali, szukałem noclegu, bo nikt się o mnie nie frasował. Ujrzałem światelko w oficynie niegdyś marszałkowskiej, tam się więc zawróciłem.

XXXII.

Stary marszałek dworu i stary rezydent.

— *Ave Maria, gratiae...* — posłyszałem jeden głos wchodząc do izby, i drugi odpowiadający: *Sancta Maria, Mater Dei...*

— A! — pomyślałem sobie — tu przecież trafię po myśli. Może to i pan marszałek dawny trzepie różaniec.

— *Laudetur Jesus Christus!*

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedziało dwóch razem staruszków, siedzących przy stoliku i niżących ziarnka koronki. Jeden z nich w białym dymkowym żupaniku, a drugi w tabaczkowej kapotce; przy jednym stała trzcina ze srebrną gałką, przy drugim leżała klapka na muchy.

— Może dobrodzieje przyjmiecie mnie trzeciego — rzekłem — za socyusza do koronki i trzeciego starca do kompanii?

— *Cum apertis manibus* — odezwał się staruszek biały. — Dawno już takiego gościa Bóg nam nadarzał.

— Niegdyś, a to bardzo dawno, sam byłem gościem w tych progach; i zdaje mi się — mówiłem, wpatrując się w witającego mię jegomościa — że oglądam, a oglądam z pociechą prawdziwą, marszałka dworu zeszłego starosty?

— Tak, tak, *quondam* — odpowiedział, pokręcając siwego wąsa. — Radbym wiedzieć, kiedy to było?

Tymczasem tabaczkowy staruszek wpatrywał się we mnie. Poznają, przypominam — odezwał się. — *Anno millesimo septingentesimo...* był tu brat kwestarz, którego zapomnieć długo nie mogliśmy, którego nieboszczyk starosta co rok wyglądał, który budowniczego Kwetkę i Francuza skonfundował gracko...

— Ten sam — przerwałem — ten sam; — i obaj starcy rzucili się mi na szyję, i obaj całowali i ściskali najkordyalniej.

— Więc dobrodziej jesteś ów pan chorąży, rezydent na dworze starosty?

— Rezydent i teraz z łaski jego, bo zapewnił on mnie aż do śmierci *victum et amictum* w swym testamencie, jako i wszystkim, którzy się jego pańskiej klamki trzymali. Daj mu Boże niebo!

— Widziałem i jaśnie wielmożnego starościca, teraz, jak uważam, wojskowo traktującego, bo go pułkownikiem nazywają, i hrabią nawet. Widać, że niedawno nim został, bo zeszyły starosta tak się nie *magnifikował*.

Obaj starcy kiwali smutnie głowami. Nakoniec rzekł marszałek: W pałacu *Sodoma i Gomora!*

— Nie widziałem i ja tam nic dobrego. Ale skądże to przyszło, że syn tak zacnego i bogobojnego ojca, jak uważam, wcale inny?

— Oh! długoby gadać jegomości o naszych nieszczęściach i dniach opłakanych. Siadaj, *carissime!* Dość ci pokrótce powiedzieć, że po śmierci obojga naszych państwa, która nastąpiła niespodzianie w lat kilka po twojej tu bytności, bo starosta we trzy miesiące poszedł za swoją żoną *ad patres*, opiekunowie (bodaj z piekła nie wyszli!) wywieźli panicza i panienkę na edukację do War-

szawy. Poczciwi my a życzliwi słudzy ich, błogosławi-
liśmy ich z płaczem, i oczekiwaliśmy potem powrotu
paniąt naszych, jak wybawienia z niewoli babiloń-
skiej; aż tu nam po długiem oczekiwaniu powiadają, że
starościanka poszła za męża, a pan starościec pojechał na
wojaż do Paryża. Powrócił aż po latach pięciu. Pożal
się Boże! wyjechał od nas miłem pobożnem, ślicznem pa-
nięciem, a przyjechał... Ale *non licet mihi* mówić źle o sy-
nie mojego pana i benefaktora... Już to on, widać, pod
taką konstelacyą urodził się...

— A u wasana wszystko *konstelacye*, same *aspekta*
niebieskie i *horoskopy* w głowie — przerwał chorąży,
i zwrócił do innego obiektu ciekawe dla mnie opowiada-
nie marszałka o starościcu.

— A juźci też pewniejsze moje *aspekta* — odpowie-
dział z gniewem marszałek — niż waspana *Apokalipsy*.
Terazniejszy kometa nawet nic nie znaczy u waspana?
Przecież jak tylko się pokazał, wnet przepowiedziałem, że
będzie wojna; a jak wsiadł na wózek niebieski, czy nie
mówiłem, że przywiezie biedę na cały świat? To jeszcze
będzie szczęście, kiedy nas ogonem nie muśnie, bo wten-
czas zapadniem. A tymczasem, czy nie prawda? czy nie-
ma wojny i biedy?

— Tak; ale waspan mówiłeś, że taki sam kometa
świecił, gdy Jan III szedł na Turka pod Wiedeń, i poka-
zywałś go namalowanego w Janinie; to prorokowałeś,
że i teraz Turcy tu przyjdą...

— Nie prawda. Mówiłem tylko, że i Turki będą w ro-
bocie. A czy nie są? Proszę tylko spojrzeć na kometę,
a najbardziej na jego ogon: w którą stronę...

Gdy pan marszałek zwrócił się do okna, pan chorąży,

pokazując nań wzrokiem, kręcił palcem po łbie, i z cicha mi powiadał: — Ma... ma...

Marszałek wpatrywał się w kometa, a rezydent rzekł do mnie: — Co innego zupełnie, gdy ja jak na dłoni tłómaczę, że wszystko co się dziś dzieje, stoi wyraźnie w *Apokalipsie*.

— Winszuję — przerwał śmiejąc się marszałek.

— Wolno śniać się — mówił także obrażony chorąży — wolno śmiać się, ale czy nie mówiłem waspanu dawniej, że *Apolion*, anioł przepaści, *exterminans*, jest to *Napoleon*. Różnica o literę nic nie znaczy.

— A przecież — przerwał marszałek — *litera nocet litera docet*.

— I uważ jegomość — mówił dalej rezydent, nie zważając na przekąsy kolegi — jak tu wszystko kwadruje się:

Baranek otworzył jedną z siedmiu pieczęci (bo już to pewnie otworzył). *I oto okazał się koń biały, a ten, co na nim siedział, miał łuk (łuk czy pałasz, wszystko jedno, byle broń), i dano mu koronę, i wyszedł zwyciężając, aby zwyciężył*¹⁾... Aż dowiaduję się teraz, że i Napoleon na białym koniu jeździ.

— Prawda — rzekłem, — sam go na białym koniu widziałem; a ma go, jak mi powiadano, aż z Egiptu.

— O to, to, to, to! — rzekł żwawo uradowany starsuszek, tupając aż nogami — o to, to, to! widzisz waspan, z Egiptu, z pod Babilonii, „*i dano mu koronę, i wyszedł zwyciężając*.” Jak nie wstyd nie wierzyć?

— A w drugim miejscu znowu co pisze?

„*I widziałem niebo otworzone, a oto koń biały* (znowu

¹⁾ Apocalipsis Rozdział IV.

koń biały, widzisz waspan!) *a siedzący na nim sądzi i walczy, a oczy jego jako płomień ogniowy.*“ Wszyscy mówią, że oczy Napoleona przeraźliwe.

— Prawda — odezwałem się, — sam to widziałem także i doświadczyłem: czarne, a świecą jak karbunały.

— O to, to, to, to, to. A mójże ty dobrodzieju! O to, to, to, masz waspan żywego świadka.

Marszałek kiwnął głową.

— Nie wierzy, dalibóg nie wierzy! Niechże cię bestya o siedmiu głowach połknie!

— Dalej tak stoi: „*A na głowie jego wiele koron, a obleczony był szatą krwią zmoczoną.*“ Chybaż waspana jaka gwiazda oslepiała! To już jak łopata w głowę. Na dobitkę jakież to wojsko tego *Apoliona*. Oto szarańcza: *a podobieństwo szarańczy, koniom zgotowanym na wojnę, a twarze ich jako twarze człowieka, a miały pancerze, jako pancerze żelazne, a ogony podobne niedźwiadkom.*“ Albo znowu: „*I takżem widział konie, a siedzący na nich mieli pancerze ogniste!*“ Cóż tu mospanie i wątpić? Francuzów jak szarańczy, chmurami idą i niszczą wszystko: a sami widzieliśmy, jak onegdaj przejeżdżał do naszego pana *ad praesens* półkownika, zbrojny rycerz w pancerzu ognistym, i z włosistym ogonem na głowie...

— I pewnie z twarzą człowieczą — przerwał znowu marszałek. W tem tylko sęk, że, jakeś wasan wczora czytał, tej szarańczy zakazano, aby nie psowała trawy ani wszelkiej zieloności; a wasana szarańcza żyto kosi

— No to cóż? no to cóż? — odpowiedział zakłopotany nieco chorąży — kosi, ale wszystko odrasta, i trawa i żyto. Sądzże sam księżę kwestarzu, czy to nie widoczne? czy to nie jak na dłoni? Kometa! kometa! I cóż ten kometa? Przyszedł swoją drogą. Niema z nim biedy. Ale

co będzie kiedy druga piecieć otworzy się? i trzecia, aż do siódmej? kiedy *Gog* i *Magog* ¹⁾ nadejdą...

— Nie bredź! nie bredź! — przerwał z gniewem marszałek. — To mi głowa do tłumaczenia tych *hyperbolów* i tajemnic. Tu widoczny znak na niebie, tu wraz idzie i widoczny skutek: wojna a on mnie tu baki świeci o *Gogach* i *Magogach*. Powiadają wszakże, że i Napoleon ma swoją gwiazdę, w którą wierzy; i w *Apokalipsie* nawet czytasz wasan, że będą znaki na niebie.

— O to, to, to, zaraz waspanu o tem się sprawię — rzekł, biegnąc staruszek do alkierzyka po Biblię

A tymczasem marszałek pokazał palcem za odchodzącym, a potem kręcił nim na czole i mówił z cicha: — Ma... ma... tu... ma!...

— Obu wam biednym klepki nie dostaje — pomyślałem.

Otóż to ci dwaj rzeźwi niegdyś, strojni i przystojni dworacy, fantazyą piękną i animuszem dodający lustru powagi pańskiemu dworowi, a mogący iść o *prym* na każdym innym, teraz pokureczeni, podupadli, niedołęzni, niepodobni do siebie, dysputują o skończeniu świata, a nie myślą, że sami wnet się skończą. Oj starość! starość!

Wyskoczył z alkierza staruszek z Biblią; ale ja rzekłem: — Dobrodzieje, wiecie co? oto zamiast tych tajemnic apokaliptycznych i niebieskich, dokończmy tajemnic Koronki świętej. Ja pomogę, i pochwalim Pana Boga, w którego mocy wszystkie komety i wszystkie bestye i smoki.

Spojrzeli oba na mnie. Chorąży położył spokojnie Biblię na stole. Oba ucałowali krzyżyki wiszące przy ko-

¹⁾ Ibidem Apocalipsis.

ronkach, i oba usiedli cichuteńko przy stoliku, jak dzieci zgromnione w swawoli.

— Na którejże tajemnicy przestaliśmy, panie chorąży? — zapytał marszałek.

— Na ósmem *Ave Maria*, tajemnicy trzeciej. Na pana marszałka kolej.

— *Ave Maria gratiae plena...* — rozpoczął zatem nabożnie marszałek — *Sancta Maria Dei...* odpowiedzieliśmy, i dokończyliśmy koronki, po której posłałem się na tapczaniku, i poszliśmy spać. Marszałek jednak, nim się ułożył, spojrzął przez okno na kometę, a rezydent Biblię pod głowę podłożył.

XXXIII.

S n y.

Obudziłem się. Moi gospodarze wstali raniej i oba siedzieli już przed kominem. Jeden grzał piwo, drugi gotował sobie kawkę; i rozmawiali sobie po cichu, wrzekomo aby mnie nie rozbudzić.

— Imaginuj sobie wasan — mówił marszałek — śniłem dziś, że kometa do mnie przemówił. Zniżył się jakoś, ogon po ziemi włókł. Głowa rychtyk jak w *Janinie*¹⁾ wymalowana. *Horret animus!* na sam ten widok

¹⁾ Janina — opisanie wyprawy Jana III pod Wiedeń, gdzie jest i rysunek komety, który natenczas na niebie świecił. Księgę tę piękną czytałem w klasztorze wileńskim. (Nota Autora).

pot zimny na mnie wystąpił! Kiedy to huknie: — Zapada-sz! zapadasz! — Drgnąłem ze strachu i ocknąłem się... aż patrzę — zapadłem i siedzę na ziemi, a głowa tylko na wierzchu, cały zaś *corpus* pod łóżkiem, bo płótno pękło do reszty i ja z piernatem zapadłem. No proszę uniżenie, powiedz waspan, skąd kometa wiedział, że u mnie łóżko dziurawe.

— *Extraordinaryjna rzecz!* panie Sebastyanie! *extraordinaryjna rzecz!* — odpowiedział rezydent; a tem bardziej, że i mój sen także dziwny i straszny. Imaginuj sobie wasan, śni mi się, że wychodzi z morza *bestya* ogromna, o siedmiu głowach, a na każdej głowie po dwadzieścia cztery rogi i w każdej paszczy po dwadzieścia cztery trąby. Jakże zatrąbi ze wszystkich tręb, aż ziemia zatrzęsa się!... Gwałt! Zatknąłem uszy — nic nie pomaga!... Dreszcz mnie przeszedł, ocknąłem się. Aż to ksiądz kwestarż, ta *bestya*, chrapie na całą izbę, No proszę uniżenie, pytam waspana, jakim to sposobem z kwestarża zrobiła się *bestya*?

— Sen mara — rzekłem powstając — a dzień dobry dobrodziejom.

Nie wspominając o snach, nieco zawstyżeni, oddali mi pozdrowienie, i — na co wola? — zapytali — na piwko? czy na kawę?

— *Et haec facienda, et illu non omittenda* — odpowiedziałem — można jedno drugiem zapić.

— Wyśmienicie! obu nam zrobisz łaskę. Bo widzisz jegomość — mówił rezydent — obadwaj w rannym posiłku żywimy się *de propriis*. Niema kawiarni wspólnej, jak dawniej; więc pan Sebastyan większej ode mnie *substancyi*, kupuje sobie kawkę, a ja *cerevisiam* pijam.

Po śniadaniu takowem podwójnem wyszliśmy na przechadzkę po dworze.

O Boże! jakaż to ruina i pustki! jaka różnica od tego, co dawniej było!

— Musiała i tu być szarańcza francuska — rzekłem.

— Nie, my sami tak pięknie wszystko to urządzili, a zaczęli zacni jaśnie wielmożni opiekunowie. Poszły świdrem i dostatki i fortunki ojcowskie, a synek bogatego pana będzie mógł wkrótce powiedzieć:

Chodziłem niegdyś strojno, a teraz obdarty,
Trzy rzeczy mnie zgubiły: Venus, wino, karty.

— Oh! niech go Bóg od ostatniej ruiny zachowa, bobyśmy tego nie przeżyli!

— I ja także — dodał rezydent, a oba z łez oczy otarli.

— Teraz — mówił dalej marszałek — do Towarzystwa Wenery, Bachusa i Faraona — przybył Mars. Nie wiem, czy on nam pomoże, chyba że panicz nasz miał go w swoim *horoskopie*: bo jeżeli rodził się pod tym *planetą*, a w *Zodyaku* miał Lwa...

— A dajże wasan temu pokój! — przerwał niecierpliwie chorąży — dajże wasan temu pokój! Nie może być inaczej, jak jest. Czy tam nie pisze, że gdy „*smok wielki rydzy, pozrze dziecko niewiasty*¹⁾, *natenczas upadną wszyscy mocarze i bogacze tego świata*“. Więc i upadają bogacze, a między nimi i starościc. Bo mogę dowieść jak na dłoni, że *smok rydzy* znaczy...

— A niech cię kaduk porwie i z twoim *smokiem rydzym!* — wrzasnął zniecierpliwiony marszałek.

¹⁾ Ibidem: Apocalypsis.

— Niech ciebie porwie z twemi *horoskopami* — wrzasnął wzajemnie rezydent — bo to, prawdę mówiąc, *magią* pachnie.

— Dajcie pokój dobrodzieje temu wszystkiemu — rzekłem. — Ot wolej dowiedźcie mi i pokażcie, czyli dawna kaplica piękna stoi jeszcze? i czy nie zrujnowana tak, jako i wszystko, co tu widzę?

— O nie, chwała Bogu, nie! — odpowiedział marszałek — obaj my z kochanym chorążym jesteśmy zakrystyjanami tej świątyni Pańskiej, i z ostatniego ważym na jej utrzymanie. Co niedziela moich parę kuców posyłam po księdza i mamy mszę świętą, do której kolejką jeden z nas służy. Ludek prosty i kilku starych sług, którzy nam dotrzymują w tem życiu kroku, gromadzi się natenczas około nas i razem chwalimy Boga, a modlim się za dusze naszych panów i dobrodziejów.

— Tak, tak — dodał kolega — póki żyjem z kochanym marszałkiem, nie damy upaść temu domowi Bożemu.

— Jaka przykładowa jedność około chwały Bożej — rzekłem — a w innych materjach...

— Cóż robić? — przerwał marszałek. — Jedni na starość uczą się rozumu, a drudzy... a drudzy — mówił, patrząc z ukosa na rezydenta — a drudzy *Boże odpuść!!..*

— O to to to to to — przerwał znowu rezydent — jedni na starość uczą się rozumu, a drudzy — rzucając także z ukosa okiem na marszałka — drudzy... *Jezu mój Panie!!..*

Obejrzelismy kościółek, pomodliliśmy się; a tymczasem wstał pułkownik i wyszedł na ganek z fajką na sąż-

niowym cybuchu i z bursztynem, którego gęba objąć nie mogła; a za nim kilku wczorajszych adherentów.

— Dzień dobry! — zawołał on, postrzegłszy mnie. — A chodź-no tu, księżę kwestarzu!

Poszedłem do ganku, oddałem pokłon i postrzegłem, że staroście blade, smutny, jakby niewyspany, czy chory. Jakaś mię troskliwość o nim przejęła. Stał mi on na pamięć w miłej, maluczkiej dziecinie. Pożałowałem go. Dlaczegoż biedny został wcześniej sierotą? Słowem, sam nie wiem, dlaczego zapytałem: — Czy nie chory JW. pan?

— Dlaczego?

— Bo coś mi się bladym i zmienionym wydajesz, dobrodzieju!

— W rzeczy samej — rzekł on — jestem słabym. Nie spałem, a raczej sen mię bardziej udręczył, niżby wzmocnił. Może wino, może twoje zjawienie się tutaj, było tego przyczyną, a może to oboje razem. Ledwom zamrużył oczy, wnet jakieś marzenia napastować mię zaczęły. Widziałem potem siebie w jakiejś przepaści. Węze koło mnie, straszdyła jakieś, mary... Zrywałem się, odcykałem i znowu zasypiałem. Płynąłem potem po jakimś morzu. Łódź pękła — potonąłem, ale się nie utopiłem. Żyłem na dnie morza jak w kryształach, widziałem daleko i szeroko... Tysiące, krocie, miliony postaci rozmaitych, białych, szarych, przezroczystych, mętnych, ogarnęły mię, snuły się koło mnie, jawiły się tłumami jak pokusy i nikły w głębinach. Z niemi i ja unosiłem się miotany na falach; pogrążałem się i wybijałem na wierzch; chwyciłem się rąk podawanych mi jakby dla ratunku,

ale te ręce były z piany. Cały świat, cały Paryż, wszyscy i wszystko, co gdziekolwiek i kiedykolwiek widziałem, zalewało mię, dusiło jak topielca i niknąc znowu z odbiegającymi wałami, na chwilę wolno oddychać mi dozwalało... Ocknąłem się nakoniec; a chociaż przez sen byłem w wodzie, na jawie jednak (i jakaż to była jawa?) głowa mi pałała, a piersi jakbyś kamieniem przycisnął. Oczu otworzyć nie mogłem; i lubo ocucić się zupełnie wstać i otrząść się z tego dręczącego marzenia chciałem, napróżno jednak. Znowu marzyć zacząłem. Jakiś kościół ogromny a ciemny. Ja w nim sam jeden... a jednak sły-
szałem około siebie jakieś szepty głuche, mrowiem mię przejmujące... Dzwony potem się odezwały, kościół się blado oświecał.. mogłem rozpoznawać co się działo... organ zabrzmiał *Dies irae* czy *De profundis*, tak mi się przynajmniej natenczas wydawało i przy każdej kolumnie kościelnej ujrzałem białe marmurowe posągi, a przy dwóch mnie najbliższych poznałem ojca i matkę moją. Chciałem biedz ku nim, ale jak przykuty, ruszyć się z miejsca nie mogłem; ręce tylko ku nim wyciągałem. Przy innych kolumnach stały także posągi; między niemi byłeś i ty, kwe-
starzu, jak *Pastor bonus*, trzymając baranka na ramionach; był i dawny mój nauczyciel ks. Joachim. Oczy wszystkich, a szczególnie rodziców moich, ogniem pałały... Okropny był stan mój!... Nakoniec w takim martwym otrętwieniu zdawało mi się, że sam stygnę i na środku kościoła kamienieję... Pod dzień spokojniej zasnąłem.

— Dziwny sen panie! — rzekłem, sam nad nim rozmyślając — dziwny sen!.. Któż wie, czy nie nauka? Staroście stał zadumany.

— A nauka — odezwał się wczorajszy kropiący jegomość — nauka, że mięsząc trunków nie należy.

Szampańskie szumi, a węgierskie rzuca. Pan zaś wczoraj po odejściu kwestarza piłeś jedno i drugie, jak gdybyś gwałtem rozum i pamięć utopić pragnął. Dlatego we śnie utopiłeś się w morzu szumiącym, a węgryzn rzucał cię na falach. Cha! cha! cha! czy źle sny tłómaczę? Byłbym drugim Józefem, gdybym żył za Faraonów.

— A więc może dobrodziej i mój sen dzisiejszy wytłómaczysz, bo także dziwny.

— Jakto? i ty także śniłeś? — odezwał się staroście.

— Tak — rzekłem — a nawet sen mój ma niejaką *konjunkcyę* z pańskim.

— Mów — odezwali się wszyscy. — słuchamy!

— Oto, byłem w piekle. Jak tam się dostałem, nie wiem; i nie będę opisywał ichmościom wszystkiego, com tam widział: bo sami z czasem tam dostaniecie się i zlustrujecie wszystko należycie.

— A skąd ta pewność, popie — przerwał tłómacz snów — że my tam będziemy?

— *Qualis vita, et mors ita*. Jaka zasługa, taka i nagroda. Ale mniejsza o to. Dość, że przeglądając kotły, w których smażą się potępiency w smole, jak pampuszki w oleju, postyszałem: — Bracie Michale! ratuj mnie! — Obejrzę się, kto tu mój znajomy? aż spostrzegam mojego kochanego starostę, ojca pańskiego. Siedzi po szyję w smole; a Francuz, dyrektor niegdyś pański, który w piekle funkcję *pieczurnika* spełnia, poddmucha ogień, szumuje żelazną stągwią warzącą się smołę, jak kuchcik garnki na kuchni i urąga się JW. staroście. — Ach dobrodziej! — rzekłem — *ex inferno nulla redemptio!* Cóż ja tu dopomogę? Ależ za jakież grzechy tak cnotliwy pan poszedłeś na potępienie!

— Za syna mego tak pokutuję — odpowiedział mi żałośliwie. — On mię tu wsadził, za to najbardziej, że zaniechawszy rad i przestrog poczciwych ludzi i kapłanów, dałem mu w młodych jego latach za *preceptora* tego wcielonego szatana, który mię teraz dręczy, a który zepsuł jego serce i założył w niem fundamenta złego. A oto obok siedzą panowie opiekunowie, którym powierzyłem umierając dziecko moje, a którzy zawiedli moje zaufanie, z fortunki mojej korzystali, a syna mego zaniedbując, dozwolili mu napawać się trucizną dzisiejszej na świecie panującej bezbożności. Oj, takich opiekunów jest tu moc nieprzeliczona, i codzień przybywają. Cokolwiek więc on teraz zbroi albo zbluźni, spada to wszystko na moję i na ich głowy; a tak zamiast kropel ochłody, któreby mnie z jego cnót spływały, dolewa on mnie codzień po garncu gorącej smoły...

— Łżesz! księżu! — przerwał mi pułkownik, rzucając fajkę — kłamiesz nedorzecznie! Ojciec mój tak poczciwy człowiek, że pewnie w niebie.

— Czy tak? w niebie? A więc miał duszę!... *Sequitur*, dobrodzieju!...

— Żeś wygrał zakład — przerwał uspakajając się staroście i uśmiechając się. — Chętnie ci zapłacę przegraną.

— Brawo kwestarz! zawołali towarzysze — brawo!

— Ale to mało na tem, dobrodzieje! Także kto ma duszę, a duszę dobrą i poczciwą, ten obdarzy kwestarza; a kto jej nie ma, niech nic nie daje, bo od bydląt nie biorę.

Spojrzeni po sobie wszyscy, rozśmiali się, i każdy do kieski. Staroście dukatów dziesięć, a ci ichmość po kilka złożyli, i tak od razu zebrała się sumka, z którą bez dalszej kwesty do klasztoru wrócić mogłem.

Gdym żegnał starościca, rzekł on mi: Bracie kwe-
starzu! nie zapomnę twej tu bytności... z wielu przyczyn
i względów... Jeżeli mnie kule oszczędzą, (bo nie myśl,
ażebym moją wojskowość tu przy kielichu odbywał), po-
wróć kiedyś do mnie... Bóg nam natenczas inne sny...
pomyślniejsze zapewne zesłać raczy...

Podniosłem oczy i ręce w niebiosa. On się odwrócił
i spiesznie odszedł.

Pożegnałem potem pocziwych, a po części zdzieci-
niałych moich staruszków. Marszałek dał mi z dawnych
swoich zapasów flaszkę wybornej gorzałki, a rezydent
ze swej partykularnej spiżarni, szczupaka wędzonego na
zakąski, i ruszyłem, zawracając się ku domowi.

XXXIV.

Ł o s t a j e .¹⁾

Zakopałem znowu moje złotko i ruble w tabace głę-
boko, nauczony niedawną *experiencją*, że nosy marode-
rów na tabakę *se bon!* ale kruszcu pod nią zwietrzyć nie
mogą; i wlokłem się, zbliżając się codzień do Bienicy. Ba-
ranów zebrało się kilkanaście, i miałem nadzieję dostawić
ich w całości księdzu profesorowi *Infimy*.

Jużem się pod *Krewa* podbierał, i wjechałem w leśne
i pagórkowate okolice, między którymi i samo *Krewa* sy-

¹⁾ Nazwisko okolicy kraju w powiecie Oszmiańskiej, zamieszka-
nej przez Tatarów.

tuowane, gdy postrzegłem po wzgórkach i dolinach rozrzucone gęsto dworki, przy niektórych ogródki, przed niektórymi sadzawki, niektóre nawet z ganeczkami, a przy każdym zabudowania gospodarskie mniejsze od pańskich, większe od okolicznej szlachty, z którą znam się od dawna. W pośrodku nad strumieniem kapliczka z kulistym dachem i jedną z boku wierzyczką cienką. Zdziwiłem się jednak, że i kapliczka i wierzyczka bez krzyża.

— Już blisko Bienica, — rzekł Jaś wiozący mnie — tylko półtóry mili. To *Łostaje*.

— A cóż to za *Łostaje*?

— Tu na *Łostajach* mieszkają *Tatary*. Oto dworek pana rotmistrza *Ułana*, tamten pana porucznika *Baranowskiego*, tamtem przy meczecie, to ich *Mołny*, a ten przy naszej drodze, to największego ich Murzy, mojora *Amurata Bielaka*. My tu często bywało z tatulą na robocie rymarskiej bywaliśmy, nim mnie on do klasztoru nie oddał.

— Ha! — pomyślałem sobie — więc niema po co do mużulmanów zajeżdżać. Mijaj — rzekłem do Jasia.

Mijaliśmy więc dworek pana *Amurata*, gdy on sam powracając z pola spotkał nas przed swojemi wrotami i — stój zawołał.

— Niech będzie... upadam do nóg! — zacząłem z nabożem dokończyłem postrzegłszy się.

— Na wieki wieków... kłaniam uniżenie! — odpowiedział uśmiechając się. — A dla czegoż to mijasz poczciwych ludzi i sąsiadów? boś pewnie z Bienicy.

— Spieszę — rzekłem — do klasztoru.

— Kłamiesz, księżulu! Widzę, żeś nowicyusz w tych stronach, bo cię nie znam; a nie zajeżdżasz do Tatarów, bo myślisz, że mużulman zamknie ci wrota, albo powie:

fora ze dwora! A mylisz się. Twoi poprzednicy nie mi-
jali nas, a my też nie mijamy waszego klasztoru. Na tam-
tym świecie rozsądzim się o wiarę, a na tym żyjemy w są-
siedztwie po przyjacielsku. Wstąp więc do mojej *Witoł-*
dówki, a zobaczysz, że kołdun tatarski wart bernardyń-
skiego brzucha.

Hora canonica zbliżyła się, wzmógł się apetyt, a jak
na licho, lubię kołduny. Przyszło mi wprawdzie za myśl,
że to tam u nich i młoda żrebięcinka uchodzi podobno;
ale jednak nie bardzo temu wierząc, i szczeremu zapro-
szeniu odmówić nie mogąc zawróciłem we wrota.

Sam pan Amurat, lat z górą pięćdzie-iał mieć mo-
gący, łysy jest, ale wąs ma zawieszisty, i nie po dworsku
zakręcony i gumowany, a suty, siwy i obwisły, że mu aż
gębę zakrywa. *Facies* przystojna, chociaż nieco śniada
i *tandem* za szeroka, wydaje jego *progeniturę*. Na nim
kurtka i szarawary płócienne, szyja i łeb nagie, a w rękę
harap myśliwski.

— Hej *Ajeszko!* zawołał wchodząc do sieni, a na to
wybiegła w jubce tarletanowej młoda *et quidem* jak na
tatarkę, ładna dziewczyna. Stropiła się nieco, postrzegł-
szy mnie.

Oto moja jedynaczka rzekł pan major. — Nie lękaj
się, córko! Mamy widzisz gościa, więc drugą kopę koł-
dunów wsyp do ładu. A tymczasem napijem się wódki.
Mahomet zabronił nam wina, miłościwy księżulu! ale o wó-
deczce w Alkoranie *cyt!* A zatem my winu dajem *kwit*,
a *wódeczkę* i *luleczkę* ciągniem sobie po troszeczkę. Pro-
szę na tę stronę do mojej izby, bo tam po waszemu *klaui-*
zura, a po naszymu *harem*.

— Jakto? — zapytałem — więc jegomość utrzymu-
jesz seraj?

— Oho! przeląkłeś się! A gdybym i utrzymywał, co waści do tego? Wszak gdybyś w moich oczach jadł szynkę, jabym nic na to nie powiedział. Ale uspokój się, my doświadczyliśmy, że z jedną kobietą trudno często dojść ładu, cóż dopiero gdyby ich mieć tuzin! Tam stancya mojej córki i nie więcej; a jam wdowiec.

Weszliśmy więc do izby pana *Amurata*. Pierwsza obszerna; stół dębowy na środku, zedle naokoło. Druga maleńka, tam łóżko i na ścianie wojenny ryszstunek pana mojora. Między tym zdziwił mnie łuk jakiś starodawny, więc zacząłem go rozpatrywać.

— A co? kwestarzu! dziwisz się broni, z którą przodkowie moi wojowali? Tak, tak, jest to najdroższa nasza pamiątka, jest to łuk naszego przodka, *Kara Mirzy*, który długo wojując z Litwą, nakoniec gdy w bitwie jednej dowodził przeciw księciu Witołdowi, okryty ranami dostał się z wielką częścią swej ordy w niewolę. Poosadzał ich miłosciwy ten książę a waleczny rycerz, w różnych miejscach swojego kraju: w Niemieży, w Wace, a *Kara Mirza*, nasz przodek, dostał tu na *Łostai* ziemię. I książę nazwał go *Bielakiem*, naprzeciw imienia *Kara*, co znaczy w naszym języku *Czarny* ¹⁾. Służył mu potem *Bielak* w wielu różnych wyprawach, wszędzie mężnie i wiernie stawając, a skarbiąc sobie coraz większe łaski księcia.

Dawno to już było, panie bracie, bo przed laty czterystu, a może i więcej, plemie tatarskie rozimnożyło się na Litwie, i zawsze poczciwie krajowi służyło. A po naszym walecznym przodku dochowujemy razem z ziemią jemu nadaną i łuk ten jego. Z głowy na głowę, dziedzictwem to przechodzi. Ani ziemi ani łuku żaden

¹⁾ Podanie.

Bielak za miliony nie odda; a choć który *zholeje*, to skła-
damy z ostatniego na zapomogę brata, byle nie wpuścić
cudzego *intruza* między nas. Gospodarstwo u nas nie
wielkie; często na *Bejram* ostatnia idzie pod nóż krowa;
ale za to do *korda* każdy gracz; do trzech tatarowi
nie gadaj: każdy od młodości prochu powąchał a tchó-
rza i piecucha z tureckim abszytem wypędziliśmy z *Łostaj*;
i żadna tatarka nie poszłaby do jego *haremu*, to się ro-
zumie, nie wzięłaby go za męża.

Przy tym rozhovorze, pan major dostał flaszkę z po-
licy i — do wasana — rzekł nalewając sobie spory kie-
liszek; a wychyliwszy do dna i ocierając wąsy rzekł: —
Tacto pectore upewniam cię, że wyśmienita!

— *Tacto pectore!* a to co? — rzekłem zdziwiony —
skąd łacina?

— Z ust szlacheckich, mospanie! bo chociaż w szkole
nie bywałem, różgi nie widziałem, ale przysłowiów po-
czciwych szlacheckich od dziadów i ojców uczymy się;
a choć i z nich żaden łaciny nie umiał, ale kiedy poło-
żywszy rękę na sercu powiedzieli tatar litewski: *tacto*
pectore! to jakby na głowę Mahometa przysiągł. Nie chlu-
biąc się, krew ich we mnie płynie. Jestem synem gene-
rała Bielaka, którego znała cała Litwa... Dźgnij zatem
bracie kwestarzu! bo przez ścianę słyszę, że wrą koł-
duny w ukropie.

Jakoż wnet weszła panna *Ajesza* z przyborem sto-
łowym, a za nią służąca wniosła runtową misę kołdu-
nów. Smakowita woń rozeszła się po izbie. Zasiadliśmy
we dwóch tylko, bo ze zwyczaju tatarskiego, rodzaj
żeński osobno stołuje się, a służy do stołu męzczyznom,
jakoby panom swoim.

Wyśmienite! *magni saporis* kołduny! Odjeść się

i odchwalić się ich nie mogłem, a gospodarz prośbą i przykładem zachęcał. Jakoż misa się wypróżniła i popiliśmy dla *konkokcyi* wódeczką.

Wstawszy od stołu, podziękowałem Bogu po swojemu; pan major jakby tego nie widział: potem i jemu samemu; a po takim bankiecie, nie długo czekając, poszliśmy oba spać do odryny i już słońce dobrze na południe przeszło, gdyśmy się ze smacznego spoczynku obudzili.

— No, teraz, księżulu, dam ci barana pięknego na pierwszą znajomość.

— A więc tu na Łostai nie widzieliście maroderów francuskich, kiedy jeszcze są barany?

— Oho! jakto? tak blisko traktu żyjemy, a więc zawitali oni i do nas. Doczekałem się w Witoldówce dawnych znajomych, bo poznałem się z francuzami na przeszłych wojnach. Ale przyjęliśmy tu ich po tatarsku i po żołniersku. Trafiła kosa na kamień, to jest trafiły karabiny i bagnety na dubeltówki, pałasze i pistolety. Wiedzieliśmy już z sąsiedztwa, co dokazują ci nieproszeni goście, codzień więc byliśmy gotowi na przyjęcie.

Gdy się nakoniec pokazali, wystąpiliśmy wszyscy w mundurach naszych oficerskich. Było ich kilkudziesięciu, ale i nas było ze trzydziestu; w odwodzie zaś ukryłem w życie drugie tyle chłopków, z czem kto miał; z fuzją, z siekierką, choćby z dobrym kijem.

Szli rabusie długim obozem. Kilkanaście fur ciągnęło się wśród nich z narabowanemi rzeczami i z ich cielęcinkami. Gdy weszli w ulicę, spostrzegli nas na dziedzińcu — zastanowili się. Patrzaliśmy na siebie zdaleka. Oni się naradzali; a my nie ruszaliśmy się z miejsca, czekając, aż z całym taborem wejdą w ciasną tę, co

widzisz, wygrodzoną ulicę i pominą moją zasadzkę w życie za płotem ukrytą. Po naradzie nabili broń i *kupno* ruszyli ku nam.

Wzajemnie zakomenderowałem: *Dubeltówki z ramienia!* — i maszerowałem ku nim.

— *Russ?* — zawołali oni, podnosząc karabiny.

— *Tatar!* — odpowiedziałem, podnosząc dubeltówki, a pałasze gołe wisiały u nas na temblakach na rękach.

— Opuścili karabiny, patrząc to na siebie, to na nas.

My natenczas, nie dając czasu do opamiętania się, fuzye na plecy, pistolety z za pasa i *hojże* ku nim. Razem gwiznąłem przeraźliwie i rezerwa moja wypadła z krzykiem z za płotu. Nie było im czasu do karabinów, albo do nasadzenia bagnetów, bo każdy prawie miał pistolet u piersi. Wrzasnąłem więc: *Pardon!* albo *caput!* — a gdyby który palcem tylko kiwnął, kula byłaby mu w sercu... Przerażeni, w mgnieniu oka pardonowali się i batalia wygrana. Zabraliśmy cały obóz i broń i samych rycerzy dostawiłem do *Oszmiany*. Rabowane rzeczy porozdzielali sąsiedzi, każdy swoje. Było i potem jeszcze kilka harców, z których zawsze zwycięzko wyszliśmy. W jednym z nich moją damascenką uciąłem dwa bagnety, jakby świczki łojowe, co niezmiernie zadziwiło Francuzów. Nakoniec zaniechali nas, co dla obu stron szczęśliwie, i dla waści księżuła, bo ci barana dać mogę.

Jakoż i dał.

— A pokażno, dobrodzieju — rzekłem, wróciwszy do izby, gdy nam panna *Ajesza* kawę podała — ową *damascenkę*, którą bagnety jak świczki rozcinasz.

— Skądże ta Bernardynowi *sympatia* do pałasza?

— Aj, bo go niegdyś, jako szlachcic, przy boku nosiłem.

— Oto go masz — rzekł, zdejmując z kołka i obnażając z pochwy. — To moja sukcesya po ojcu moim, generale Bielaku. Wart być obok łuku *Kara Mirzy*, bo był w ręku nieodrodnego odeń potomka.

— Prawda — rzekłem, — klinga prawdziwa turecka, ale osada i *furdament* nasz.

— Tak, bracie! — odpowiedział *Amurat*, — takie pałasze nosim przy boku i sami takimi jesteśmy. Rozumiesz?

Patrzyłem mu w oczy, które się nagle rozplómiły i rzekł dobitnie:

— Tak! Tatarskie prawe i ogniste serce — to *klinga!* Szlachecka mowa i głowa — to *furdament!*

Wtem *Mołna* zaryczał na meczecie; pan *Amurat* szedł na modlitwę i pożegnaliśmy się *ad felix videndum!*

XXXV.

Elżutka.

Szło pod zachód słońca, gdy się wybrał od tego zacnego muzułmana. — Połtory mili przebędę łatwo — pomyślałem sobie — jedna tylko ciężka będzie *rappa*, to jest, kilka staj wielkiego gościńca. A nuż tam spotkam *se bon kamrat!* to jedna chwila całej kwesty, a szczególnie baranów, pozbawić mię może. Co do złotka — myślałem — zjedzą dyabła.

Powstając więc coraz na kałamaszce, rozpatrywałem

się pilnie na wszystkie strony, jak żóraw. Wjechałem na gościniec. Już mi widać kopułkę kościoła Bienickiego. Chwałaż Bogu! Podjeżdżam pod jakąś pustą karczemkę... aż tu z niej jak wysypie się kilkunastu kamratów — bądźcież zdrowe barany!!

Jakoż wnet w moich oczach, *prewodyr* i kilka przy nim legło na placu pod bagnietami tych rycerzy. Pocziwy baranisko! przyzwyczaiłem go do rąk, biegł na zawołanie, a nazywałem go *Jonasz*. Zabeczał biedny tak żałośnie, że aż mi się serce ścisnęło. Gdziekolwiek byłem kwestarzem, zostawiałem zawsze moim następcom pięknie ułożonych *prewodyrów* i częstokroć to tylko jedni przyjaciele, którzy się po mnie tam zostali i jedni, których żałowałem.

Z wielkim hałasem zaprowadzono i mnie do pustej stodoły, a tam nastąpiła rewizya kałamaszki, a potem i mnie samego.

— *Latrones estis!* — krzyczałem, ale ci, zapalczywsi od pierwszych, tuzali mnie bez ceremonii. Pozbyłem kapelusza, paską, nawet i butów. — Dobrze mi tak — pomyślałem, — a czemu, podług reguły, nie noszę trepków?

Inni łupili ze skóry barany, inni rozkładali ogień.

Lecz jeden, wpatrując się we mnie czas niejaki, rozśmiał się i klepiąc po ramieniu, zawołał: — *A, kamrat! Vilna, Osmana* — słowem, pokazywał, że mnie zna.

Ha! — pomyślałem znowu — ponieważ to jeden z moich dawnych znajomych, więc mnie przecie zaproteguje. — Uścisnąłem go z afektem i on mnie. Potem prawil im widać historyę naszej wędrówki i popasu w *Miednikach*. Słuchali, uśmiechali się, ruszali ramionami. Nakoniec, jakby przypomniał rzecz ważną, zacny

narrator odwrócił się nagle do mnie i krzyknął: *Kamrat! tobak!*

Zmięszalem się. Poznał francuzisko mój kłopot; szust rękę do mojej kieszeni i wyjął tabakierkę, odemknął, traktował wszystkich i mnie samego, a potem *Herod* postawił swój kaszkiet na ziemi, wytrząsł nań tabakę, a z nią i dukaciki i kilka rubelków wysypało się... *Obstupuerunt* łotry, a ja z biedną miną stałem jak *delinkwent*.

Wnet łapczywie rzucili się na złoto; ale wynalazca tej *minery* przystąpił do sprawiedliwego podziału: sobie wziął za piękne odkrycie dwa czerwone złote, a każdemu dał po jednym; gdy nie stało złota, dzielił rublami, mnie pytając się na migach wiele rubli za dukat należy. Po takiej dzielance, która spokojnie i przystojnie odbyła się, zebrał skrupulatnie tabakę do tabakierki i mnie oddał. — *Bon! bon! se bon kamrat!*

Ledwo się ta bolesna dla mnie operacya skończyła i jeszcze nie naśmieli się dosyć i nie nacieszyli się szubrawcy z tego obłowu, gdy tentent koni dał się słyszeć na dworze i — stój! — zawołał głos mocny. Wybiegli Francuzi i ja z nimi. Kilkadziesiąt koni ułanów i oficer na ich czele zatrzymało się przed karczmą.

Oficer zagadał do nich po francusku. Coś mu odpowiedzieli. A on do swoich: To właśnie ptaszki, których zbierać i pędzić do Mińska mam ordynans — marodery i rabusie, otoczyć ich!

W mgnieniu oka rozkaz ten spełniono. Już nawet nie mogli wrócić do stodoły, gdzie, gdyby broni dopadli, pewnieby wydali batalię, miarkując po ich złości, dąsaniach się i przekleństwach.

— A co tu między maroderami robisz? księżę Bernardynie? czy rabujesz razem z nimi?

— Owszem, dobrodzieju! jestem zrabowany przez nich. Ubogi kwestarz z klasztoru Bienickiego, którego oto spostrzegasz dobrodziej przed sobą. Jeździłem po świecie, aby coś zebrać na ogłodzony nasz konwent; jakoż Pan Bóg pobłogosławił i z kilkanaście baranów, a najbardziej kilkanaście dukatów w gotówce wiozłem kościołowi na wsparcie, gdy oto przejęli mię ci waleczni rycerze i obrali ze wszystkiego. Goły i bosi, bo mi i buty zdjęli, powrócę teraz do głodnych braci moich.

Krzyknął jak lew rozjuszony na Francuzów oficer, że aż ja zadrżałem; a gdy ci krnąbrnie coś mu odpowiadali, wyrwał pałasz z pochew i kiedy nie zacznie okładać płazem bez różnicy, którego napadł, jak huknie na ułanów, a ci w toż samo... Widzą rabusie, że kuso koło nich. — *Pardon! pardon!* — zaczęli wołać i składali oficerowi moje dukaty.

— Czy wszystkie? — zapytał on, oddając mi garść złota.

— Zapewne wszystkie? — odpowiedziałem, nie licząc — bo Bóg tam z nimi nareszcie.

— Nie wszystkie — rzekł on, — bo oto masz jeszcze jednego — dajac mi własnego czerwienca *cum effigie Bonapartego*.

— *Deus te benedicat*, młodzieńcze! — zawołałem. — I tę twoją własną ofertę i zebraną od ludzi dobroczynnych, już teraz mam z twojej łaski. Modlić się gorąco będziemy do Boga za twoją fortunę i zdrowie. A może też raczysz wstąpić na noc do naszego klasztoru, jeżeli w tamtą stronę Pan Bóg prowadzi. Właśnie byłoby w czas

— Mam też w *marszrucie* — odpowiedział — nocleg zapisany w Bienicy, więc ohotnie twe zaproszenie przyjmuję i ruszajmy. — Chłopy! kilku z koni! poskładać porzniete barany na furgony. Odwieziemy je do klasztoru, a ojcowie i dla nas nie pożałują jednego na wieczerzę.

— Z całego serca i na wieczerzę i na drogę. Ale ja mam i moją kałamaszkę w stodole, którą mnie także skonfiskowali ci dobrodzieje; więc teraz powracając do mojej własności, dowiozę na niej pobite moje barany do klasztoru, nie obciążając pańskich bagażów.

— I owszem — rzekł oficer. — A teraz zabrać broń maroderów, ich wziąć w środek, a jeżeliby który się upierał, płazem! choć nie szkodziłoby i rębem: tylko że ja mojej *Elżutki* nie chcę poniewierać na szyjach tych podłych rabusiów, niegodnych imienia żołnierzy. — I schował szablę do pochew.

Elżutka! coś mi przebiegło po głowie jak błyskawica. *Elżutka!* Spojrzałem na tę szablę — osada staroświecka... zdaje mi się znajoma. Spojrzałem na samego oficera — twarz młoda, przystojna, ale także jakbym go gdzieś widział, albo podobnego jemu.

Tymczasem Francuzi mruczając wkładali swoje cielećcinki, a ułani przypędzali ich grzecznie płazami.

— Dlaczego się we mnie tak wpatrujesz? księżę kwestarzu! — zapytał oficer.

— Daruj — rzekłem nieśmiało i drżącym od jakiegoś nieznanego mi dotąd wzruszenia głosem — daruj, zacny wojowniku, że się zapytałem: czyli to twoją szablę nazywasz *Elżutką*? i jeżeli tak, od kogo ją masz?

— Tak — rzekł — to moja żonka *Elżutka*, a wierniejsza i lepsza od wielu żonek, bo mi wierną będzie do śmierci; strzeże pilnie mego zdrowia, życia i nieraz mi

już to oboje uratowała. A zaręczył mię z nią ojciec mój; bratu memu starszemu dał za przyjaciela i *sekundanta Harasima*, mnie za towarzyszkę *Elżutkę*.

— To więc ty jesteś — mówiłem, patrząc nań łąz nabiegłem a niepewnem jeszcze okiem — to więc ty jesteś *Władysław Swieboda*, syn *Stanisława*!

— Skąd mię znasz? księżu! co to znaczy? — I zsiadł z konia.

— Na ręku cię mojem nosiłem. Byłem najlepszym przyjacielem ojca twojego za jego życia, modłę się codzień za jego duszę po śmierci. Tę szablę jam mu oddał na pamiątkę, sam wdziwając ubogą zakonną sukienkę...

— A więc ty jesteś *Michał Ławrynowicz*! — zawołał on. — Tak! przypominam cię jak przez sen!... Tyś towarzysz młodości ojca naszego... o którym tylekroć nam rozpowiadał, którego kochał aż do śmierci, do którego tęsknił zawsze... a oddając mi nawet tę szablę i wyprawując na świat z błogosławieństwem rodzicielskiem i łzami, jeszcze cię wspomniał!... A więc to ty jesteś?

— Ja! — rzekłem — ja sam!

Młodzieniec rzucił się w moje objęcia.

KONIEC.



OBJAŚNIENIA

DO CZĘŚCI DRUGIEJ.

Str. Wiersz

- 5 9: *duższy* = silniejszy.
5 24: *rankor* = gniew.
8 6, 7: *gemeini* = prości żołnierze.
8 16, 17: *determinativus* = śmiały.
8 22: *wexując* = łącz.
10 28: żelazny list dawali królowie skazanym za wielkie zbrodnie, gdy ci chcieli się przed sądem uniewinnić.
13 4: *swory* lub *sfory* = rzemienie na psy gończe.
14 3: *per modum* = na sposób, niby.
15 2: *odryna* = stodoła.
15 25: *wieża fundowa* = z lochem.
17 21: *quo ad horam* = co do godziny.
18 12: *horret animus* = wzdryga się dusza.
18 20: *indukować* = wprowadzić.
18 30: *deprekacya* = przeproszenia i wynagrodzenia krzywdy.

Str. Wiersz

- 19 10: *In triduo* = w ciągu trzech dni.
9 25: *suspendować egzekucyę* = zawiesić wykonanie.
20 1: *cyrkumstancya* = okoliczność.
20 3: *directe* = wprost.
20 3, 4: *indirecte* = ubocznie.
20 8: *rapt* = gwałt, porwanie.
20 19: *insperate* = niespodzianie.
21 8: *certamentach* = sporach.
22 12: Stało się to 12 lutego 1760 r.
23 1: *wolej* = raczej.
23 17, 18: *Requiem aeternam dona ei Domine* = Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie.
24 4: *jure* = prawnie skazany.
27 10, 11: *particularitatis* = szczegóły.
33 22: *Buzyrys* = starożytny król egipski, głośny ze srogości.
38 2: *przynuka* = zachęcanie do jedzenia i picia.
38 24: *humillime* = bardzo pokornie.
40 3: *Carissime* = najdroższy.
40 23: *re et nomine* = i z istoty i z nazwiska.
40 25: *dywidendę* = podział.
47 9: *formosa puella* = przystojna panna.
47 9, 10: *circa connubium* = o małżeństwie.
48 16: *tenutor* = dzierżawca.
49 14: *hohol* = dryblas.
50 27: *żelozya* = jalousie = zazdrość.
51 29: *taki* = przecież.
55 14: *salva* = ocalenie.
56 23: *Hospes venit, Christus venit* = Gość przyszedł, Chrystus przyszedł, czyli: Gość w dom, Bóg w dom.

Str. Wiersz

- 56 27,28: *Hospes non invitatus recedit saepe ingratus* = Gość nieproszony, odchodzi często niezadowolony, czyli: kogo nie proszą, tego kijem wynoszą.
- 57 9: *cui quod debet* = co komu należy.
- 57 12: *feller, Fehler* = omyłka.
- 57 17: *peritus rei* = biegły, doświadczony.
- 57 20,21: *feruła* = linia; *preceptor* = nauczyciel; *z pod feruły preceptorskiej* = z pod karności szkolnej.
- 57 22: *szerm, szym* = sposób postępowania, obycie się.
- 58 5: *Cerera* = bogini gospodarstwa rolnego; *Wenera* = bogini piękności.
- 58 5,6: *olimpijski dziardyn* = ogród bóstw mitologicznych, siedzących, wedle podania, na górze Olimpie.
- 58 26: *Inutilis quaestio solvitur silentio* = na niepotrzebne pytanie najlepszym jest milczenie.
- 60 5: *generis masculini* = rodzaju męskiego.
- 61 7: *farmazon = francmaçon* = wolnomularz.
- 61 19: *Fulminuję* = piorunuję.
- 64 19: *non derogando* = nie ubliżając.
- 65 11,12: *sentencyj* = zdań moralnych.
- 65 26: *jure victi* = pokonani prawem.
- 65 29: *remissa* = odłożenie na później.
- 65 31: *beatus qui tenet* = szczęśliwy, kto trzyma.
- 66 3: Nie *beatus*, ale *maledictus qui tenet injuste* = nie szczęśliwy, ale przeklęty, kto zatrzymuje niesprawiedliwie.
- 66 24: *Deo gratias* = dzięki Bogu.

Str. Wiersz

- 67 5,6: *praeter propter* = mniej więcej.
- 67 25: *et id genus* = i tym podobnych.
- 69 10,11: *perdere causam* = zgubić sprawę.
- 69 20: *cum duplici* = podwójnie.
- 69 31: *obsedował* = naciskał, oblegał.
- 70 4: *manudukcyą* = przewodnictwo, kierownictwo.
- 70 21: *Dat bene, dat multum, qui dat cum munere vultum* = daje dobrze, daje wiele, kto wraz z podarkiem miłą twarz ukazuje. Zob. Część I Pamiętników, str. 76, sentencya 37.
- 72 26: *Timeo Danaos et dona ferentes* = lękam się Danajczyków (Greków), choćby dary przynosili.
- 72 27: *Kes? kes? kes?* = *qu' est-ce, que c'est* = co to jest?
- 73 10: *allokucyę verbum de verbo* = przemowę słowo w słowo.
- 75 4: *Casus fatalis* = nieszczęśliwy wypadek.
- 76 23: *osieliczkę* = łączka.
- 77 31: *bukisz* = uderzenie rogami.
- 80 9: *certament* = sprzeczka.
- 81 5: *Porcyunkuła* = uroczystość św. Franciszka z Assyżu.
- 82 10: *Et haec facienda, et illa non omittenda* = i to robić należy i tamtego nie pomijać.
- 83 3: *ibidem* = tamże (t. j. u św. Pawła w liście do Rzymian).
- 89 4: *Salve Frater amantissime* = witaj, bracie najukochańszy.
- 89 11: *munificencya* = szczodroblivość.

- Str. Wiersz
- 89 21: *Caetera ad coram* = o innych rzeczach na osobności.
- 89 24: *Post silentium* = po czasie milczenia.
- 90 6: *Bene, valde bene!* = dobrze, bardzo dobrze!
- 91 21: *Antokol* = nazwa przedmieścia w Wilnie.
- 91 30: *Zakret* = jedna z pięknych, lesistych okolic Wilna.
- 92 15: *tercyarz* = człowiek świecki, wpisany do zakonu św. Franciszka, obowiązany do pewnych modlitw.
- 92 25: *futurum* = czas przyszły.
- 92 25: *tempus praesens* = czas teraźniejszy.
- 92 28: *ut fert fama* = jak wieść głosi.
- 92 30: *materia gravis* = sprawa ważna.
- 92 31: *ekwanimia* = opinia, zdanie.
- 93 5: *preciosa* = kosztowności.
- 93 18: *signum pro re signata* = znak za rzecz oznaczoną.
- 93 28: *merita* = zasługi.
- 94 2: *emeritus* = wysłużony.
- 94 4, 5: *inseparabiles* = nierozłączni.
- 94 27: *Fiat voluntas Dei* = niech się dzieje wola Boża.
- 94 29: *Junii* = czerwca.
- 96 1: *Subintelligitur* = łatwo pojąć.
- 96 9: *v. s. = veteris styli* = starego stylu, według kalendarza juliańskiego.
- 98 6: *konsyliarz* = doradca.
- 98 25: *retro* = z powrotem.
- 99 19: *locum standi* = miejsce do stania.
- 100 23,24: *interregnum* = bezkrólewie.

- Str. Wiersz
- 100 27: *obstupuerunt* = osłupiały.
- 101 21: *summatim* = pokrótce.
- 101 27: *speranda* = nadzieja.
- 103 17: *caput* = głowa.
- 103 26: *expedite* = wybornie.
- 105 13: *moderunek* = ubiór i uzbrojenie wojskowe.
- 105 24: *horrendum* = widok okropny.
- 106 6: *kryzrechtem* = *Kriegsrecht* = prawo wojenne, sąd wojenny.
- 106 9: *in extremis* = w ostatniej chwili życia.
- 107 20: *rum* = miejsce wolne.
- 108 13,14: *Wiwlamperer* = *vive l'empereur* = niech żyje cesarz! (Napoleon).
- 108 24,25: *Nunc dimittis, Domine! nunc dimittis* = teraz puścisz, Panie! teraz puścisz.
- 109 26: *Digitus Dei hic est* = jest tu palec Boży.
- 109 30,31: *Fiat voluntas Tua Domine* = wola Twoja Panie niech się stanie.
- 110 13,14: *de puro grano* = z czystego ziarna.
- 112 5: *partykułę* = cząstkę.
- 112 13,14: *kondemnata* = zarzut co do jakiegoś nieprawnego postępku.
- 113 29,30: *secundum regulam nostram* = według ustawy naszej.
- 119 23,24: *Non intelligo linguam gallicam, dic mihi latine vestra dominatio* = Nie rozumiem po francusku, mów po łacinie.
- 120 1—3: *Ego sum ex conventu Vilnensi Fratrum Minorum, alias Bernardinorum, Bienitiam proficiscor* = Jestem z zakonu Bernardynów, idę do Bienicy.

Str. Wiersz

- 120 18,19: *Non possum, senex et debilis sum* = Nie mogę,
jestem stary i słaby.
- 125 27: *konflagracie* = spaleniu.
- 128 23: *fulminował* = piorunował.
- 128 26,27: *Et crux triumphabit super aspidem et basiliscum* = I krzyż zwycięży węża i smoka.
- 129 26: *Simplex Dei amicus* = prosty przyjaciel Boga.
- 129 29: *sapientia* = mądrość.
- 130 4: *Panem nostrum quotidianum careo* = brak mi
chleba naszego powszedniego.
- 130 13: *impedimentum grave* = ważna przeszkoda.
- 131 26: *Nego* = przeczę.
- 132 3: *Mirabilia* = cudowności.
- 132 16: *Ad felix videndum* = do szczęśliwego zobaczenia.
- 132 21: *corona asinorum* = ośla czapka.
- 132 25: *benedykuję* = błogosławię.
- 135 12: *Pandemonium* = zgromadzenie wszystkich dyabłów.
- 139 1: *Ave Maria, gratiae* = Zdrowaś Maryo łaskiś
pełna i t. d.
- 139 17: *cum apertis manibus* = z otwartymi rękami.
- 139 24: *quondam* = niegdyś.!
- 140 2,3: *Anno millesimo septingentesimo...* = w roku ty-
siąc siedmset...
- 140 31: poszedł *ad patres* = poszedł do ojców, umarł.
- 141 8: *non licet mihi* = nie przystoi mi.
- 145 22: *Horret animus* = dusza się wzdryga.!
- 150 22: *Pastor bonus* = dobry pasterz.
- 151 20: *Quilis vita, et mors ita* = Jakie życie, taka
śmierć.

| Str. | Wiersz |
|------|--|
| 151 | 30: <i>ex inferno nulla redemptio</i> = z piekła niemasz wybawienia. |
| 155 | 28: <i>luleczka</i> = fajka. |
| 161 | 18: <i>Latrones estis</i> = łotry jesteście. |
| 162 | 8: <i>Obstupuerunt</i> = osłupieli. |
| 163 | 24: <i>cum effigie</i> = z wizerunkiem. |
| 163 | 26: <i>Deus te benedicat</i> = Niech cię Bóg błogosławi. |



Nakładem „Czytelni Polskiej“

w kwietniu roku bieżącego wyjdzie

WYBÓR DZIEŁ

Klementyny z Tańskich Hofmanowej

w wydaniu jubileuszowym,

z portretem autorki, jej życiorysem i charakterystyką pióra **Dra Piotra Chmielowskiego.** —

W „Wyborze dzieł“ ukazały się najcenniejsze powieści Autorki, a mianowicie:

Listy Elżbiety Rzeczyckiej,

Dziennik Franciszki Krasieńskiej,

Krystyna,

Jan Kochanowski w Czarnolesie.

Całość „Wyboru dzieł“ stanowić będzie 4 tomy objętości od 60 do 70 arkuszy druku. Prócz tego przy „Wyborze dzieł“ wydane będą 2 tomiki utworów tejże Autorki dla dzieci, mianowicie:

Pamiętka po dobrej matce,

Wybór drobnych powiastek.

WARUNKI PRENUMERATY:

Prenumerata za 4 tomy „Wyboru dzieł“ wynosi 2 złr. = 4 m.

Prenumerata „Wyboru dzieł“ wraz z dwoma

tomami dla dzieci wynosi 3 złr. = 6 m.

Prenumeratę nadsyłać można do końca kwietnia r. b. pod adresem:

„CZYTELNIĄ POLSKĄ“

— Kraków, Sławkowska 22. —

NB. Po wyjściu całości „Wyboru dzieł Klementyny z Tańskich Hofmanowej“ cena pojedynczych tomów zostanie znacznie podwyższona.

2. 4/11/59

72

NIE POŻYCZA SIĘ
DO DOMU

Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka
w Gdańsku

26718



26718